

Howannes Tumanian



Utwory
wybrane

Utwory wybrane



Howannes Tumanian

Utwory wybrane

Tłumaczenie
Stanisław Ułaszek, Jerzy Szokalski

Polska redakcja armenistyczna
Andrzej Pisowicz



Kraków 2025

© Copyright for the Polish translation by Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, 2025

Z przekładu rosyjskiego: Ованес Туманян, *Избранные произведения в трех томах*, издательство Айастан, том второй, Рассказы, сказки, письма, Ереван 1969
na język polski przetłumaczył Stanisław Ulaszek

Z oryginału w języku ormiańskim: Հովհաննես Թումանյան, Ընտիր երկեր,
„Սովետական գրող” հրատարակչություն, Երևան 1978
na język polski przetłumaczył Jerzy Szokalski

Opracowanie redakcyjne
Martyna Niewiadomska

Projekt okładki
Lesław Sławiński

Współpraca
Małgorzata Malkiewicz

ISBN 978-83-927161-9-8

Na okładce wykorzystano reprodukcję obrazu *Still life with pomegranates*
Marii Bibiany Walshe oraz fotografię Howannesa Tumaniana (domena publiczna)

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana
z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Wydawca:
Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne
ul. Studencka 2/3A, 31-116 Kraków
e-mail: otk@otk.org.pl
www.otk.org.pl

Wydawnictwo Księgarnia Akademicka
ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
e-mail: publishing@akademicka.pl
Księgarnia internetowa: <https://akademicka.com.pl>

Wstęp

Howannes Tumanian, narodowy poeta Armenii i zasłużony działacz społeczny tego kraju, urodził się w 1869 r. we wsi Dysegh położonej w północno-wschodniej części historycznej Armenii, która wówczas należała do Rosji. Był synem niskiej rangi duchownego Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego (por. przypis 46 w rozdziale *Opowiadania*). Jego ojciec wywodził się ze starego rodu szlacheckiego. Wraz z żoną wychowali ośmioro dzieci. Najstarszym z nich był Howannes (z ormiańskiego: Jan). Nazwisko Tumanian pochodzi od imienia Tuman, którego etymologia nie jest całkiem jasna. Być może było ono spokrewnione z imieniem Tomasz. Odpowiednikiem tego nazwiska w wersji polskiej był Tumanowicz. Tak nazywał się znany ród polskich Ormian.

Przyszły pisarz rozpoczął swoje kształcenie od dwuletniej szkoły parafialnej w ojczystej wsi. Następnie przez cztery lata uczęszczał do szkoły w miasteczku Dżalal-oghły (obecnie Stepanawan), po czym został uczniem ormiańskiego liceum o nazwie Nersisjan Dyproc (dosłownie: Szkoła Nersesowa) w Tyflisie (obecna oficjalna nazwa to gruzińskie Tbilisi). Prawie połowę ludności historycznej stolicy Gruzji stanowili wówczas Ormianie.

W 1887 r. z powodu biedy zmuszony był do porzucenia szkoły średniej. Dalej kształcił się sam, jednocześnie pracując zarobkowo w różnych miejscach, a od 1893 r. był zatrudniony w redakcjach ormiańskich gazet. Pod koniec XIX w. zdobył popularność jako organizator spotkań ormiańskiej inteligencji działającej w Tyflisie, która stworzyła klub literacki o nazwie Wernatun chymbak (Grupa Poddasze). Nazwa ta nawiązywała do miejsca zebrań członków tego swoistego salonu literackiego – było nim najwyższe piętro domu, w którym Tumanian mieszkał w Tyflisie. Do grupy Wernatun należeli m.in. następujący znani pisarze wschodnioormiańscy: Ghazaros Aghajan, Derenik Demirczian, Awetik Isahakian i Lewon Szant.

W 1912 r. Howannes Tumanian został prezesem Towarzystwa Ormiańskich Pisarzy Kaukazu. Podczas pierwszej wojny światowej działał

w Komitecie Opieki nad Ofiarami Wojny, który zajmował się udzielaniem pomocy ormiańskim uciekinierom z Turcji, gdzie w 1915 r. rozpoczęło się masowe ludobójstwo Ormian, znane jako Ceghaspanutjun.

W 1918 r. Tumanian został przewodniczącym Konfederacji Ormiańskich Związków Rodaków, znanej pod ormiańskim skrótem HHMM.

W 1921 r. pisarz udał się do Konstantynopola (Ormianie unikają tureckiej nazwy tego miasta: Sztambuł) w związku z działalnością Ormiańskiego Stowarzyszenia Pomocy (HOM), które opiekowało się osobami poszkodowanymi w trakcie Ludobójstwa. Podczas kilkumiesięcznego pobytu w Turcji dopadła go ciężka choroba. Zmarł w szpitalu w Moskwie 23 marca 1923 r.

Życie rodzinne pisarza rozpoczęło się wcześniej i było szczęśliwe. Już w wieku 19 lat poślubił młodszą o dwa lata Olę Maczkalian. Mieli dziesięcioro dzieci.

Wiersze zaczął Howannes pisać wcześniej, już w 12 roku życia. Jego twórczość poetycka obejmowała różnorodne gatunki: zarówno krótkie wiersze, jak i dłuższe poematy, w tym także ballady, np. *Parwana* (imię żeńskie). Pisał stylem ludowym, poruszając wątki patriotyczne, miłosne, a czasem również filozoficzne.

O wysokim prestiżu, jakim cieszyła się poezja Howannesa Tumaniana w Armenii, świadczyły przypadki wykorzystywania jego utworów przez wybitnych muzyków. I tak np. poemat *Anusz* (imię żeńskie) z lat 1890-1892 stał się podstawą libretta opery narodowej Armena Tigraniana, znanej pod tym samym tytułem. Poemat *Zdobycie Tymkaberdu* (nazwa twierdzy) natchnął kompozytora ormiańskiego Aleksandra Spen-diariana do skomponowania opery *Almast* (Diament). Jego inny poemat, *Dawid z Sasunu* (w oryginale: *Sasunci Dawit*), nawiązywał do walk Ormian z najeźdźcami arabskimi w VIII w.

Zabarwioną folklorem prozą pisał Tumanian baśnie i opowiadania. Te pierwsze były ciepłe i wesołe. Te drugie – nieraz przejmujące w swym dramatyzmie, jak np. *Gikor* (Grześ). Treścią wielu opowiadań była krytyka ciężkiej sytuacji społeczeństwa ormiańskiego żyjącego w carskiej Rosji w warunkach wielkiej niesprawiedliwości. Wiejska młodzież, nieraz uzdolniona, nie miała szans na rozwój swych talentów i się marnowała, por. np. opowiadanie *Im ynker Neso-n* (*Mój kolega Neso*). Dużą wartość miały teksty popularyzujące wiedzę przyrodniczą, np. *Świerszcz*, *Wilk*.

Niektóre z jego utworów doczekały się ekranizacji. W 1980 r. powstał film *Dzachort Panos-y* oparty na treści baśni *Pechowy Panos*. W 1986 r. zostały sfilmowane dwie inne pełne humoru baśnie: *Kadž Nazar-y* (*Waleczny Nazar*) i *Kikosi mah-y* (*Śmierć Kikosa*).

Jako wybitny pisarz, a jednocześnie działacz kulturalno-społeczny Howannes Tumanian wywarł wielki wpływ na całą kulturę XX-wiecznej Armenii. Jego utwory były tłumaczone na wiele języków. Najwyższy czas, by zapoznali się z nimi także polscy czytelnicy.

Andrzej Pisowicz

Opowiadania

*Pani Małgorzacie Malkiewicz
Stanisław Ulaszek*

Gikor¹

1

W chacie biednego chłopca Hambo² trwał spór.

Hambo postanowił oddać swego dwunastoletniego syna Gikora do miasta, żeby się tam otrząsał, zaczął pracować, jakiegoś fachu się nauczył... i wyszedł na ludzi. Ale żona była przeciwna:

– Och, nie! – zawodziła płacząc. – Oszczędź moje dzieciątko, nie oddawaj go do tego przeklętego świata, nie oddawaj – błagała zrozpaczona – nie trzeba!

Ale mąż nie zamierzał jej słuchać.

Był smutny, cichy poranek. Krewni i sąsiedzi odprowadzili wyruszających do miasta ojca i syna aż na skraj wioski, ucałowali Gikora w oba policzki i się pożegnali.

Jego siostrzyczka Zani szlochała, maleńki Galo – najmłodszy z rodzeństwa – wrywał się matce i krzyczał w ślad za odchodzącym bratkiem: „E-e-e-j, Gikol³, gdzie idziesz?! Gdzie idziesz, Gikol...?!”.

A Gikor dreptał obok ojca, z rzadka go wyprzedzał i wciąż się ogłądał: krewni nadal tkwili przy rogatkach, matka fartuchem ocierała łzy. A kiedy chłopiec kolejny raz się obejrzał, widział już tylko zielony pagórek, a wioski nie było... zniknęła za wzgórzem.

Odtąd Gikor zaczął zostawać w tyle.

– No, synku... już dochodzimy, zaraz będziemy na miejscu. Ruszaj się... – popędzał Gikora Hambo.

¹ Gikor – wschodnioormiańska dialektalna forma imienia Grigor „Grzegorz” (AP = Andrzej Pisowicz).

² Hambo – skrót męskiego imienia ormiańskiego Hambarcum, które jest nazwą święta Wniebowstąpienia (AP).

³ W oryginale wschodnioormiańskim mały chłopczyk woła do starszego brata: *Gikol!* z typową dla dzieci, uniwersalną zmianą wymowy $r > l$. To samo w zdaniu „gdzie idziesz?” (*ul es gnum?* zamiast: *ur es gnum?*) (AP).

Na ramionach miał sakwę, w niej parę chlebów, kilka krążków sera i tytoń – jeden czy dwa kapciuchy...

O zmroku, gdy pokonali górę, wioska – ledwie widoczna w wieczornej mgie – ostatni raz ukazała się ich oczom.

– O tam... Tam chyba jest nasz dom, widzisz, tato?...

Jednak domu nie można było już dojrzeć, ruszyli zatem dalej. Na nocleg⁴ zatrzymali się w jakiejś przydrożnej wiosce, w domu starego znajomego Hambo.

Ze stojącego obok tapczanu żółtego samowarka z sykiem wylatywała para. Dźwięczały szklane naczynia: młodzianka dziewczyna płukała szklanki, nalewała herbatę. Była ubrana w ładną czerwoną sukienkę. Gikor od razu sobie pomyślał, że jak tylko zarobi w mieście dość pieniędzy, to kupi siostrzyczce Zani taką samą sukienkę.

Po wieczerzy gospodarz domu i Hambo zasiedli z dymiącymi fajkami⁵ na tapczanie i ucieli sobie pogawędkę. Rozmawiali o przyszłości Gikora.

Gospodarz pochwalił Hambo, że ten chce wyprowadzić syna na ludzi. Potem rozprawiali o wojnie, o wciąż drożącym chlebie i o wielu innych sprawach, ale Gikor niczego już nie słyszał – zasnął.

Następnego dnia pod wieczór Hambo z synem dotarli do miasta⁶, przenocowali u starego znajomego – stajennego⁷, a rano, skoro świt, udali się na bazar.

– Ej, ty, czekaj no!... – krzyknął w stronę Hambo właściciel jakiegoś mijanego sklepu. – Może na służbę chłopaka oddajesz?

⁴ Tumanian wplatał często do swych tekstów wyrażenia dialektalne, nieraz zapożyczone z języka tureckiego. Tu na przykład użył wyrazu *ghonagh* (z tureckiego *konak* „nocleg”), w którym litery *gh* oznaczają dźwięczne „ch”, takie jak w polskim wyrazie „klechda” (AP).

⁵ W oryginale autor użył wyrazu *czibuch* pochodzącego z tureckiego *czubuk* (*çubuk*) „rurka fajki”. Tę samą etymologię ma polski „cybuch” (AP).

⁶ Tym miastem był Tyflis (po gruzińsku: Tbilisi), historyczna stolica Gruzji. Mieszkało tam bardzo wielu Ormian (połowa ludności miasta). Ormiańska wieś w Północnej Armenii, z której szedł Hambo ze swym synkiem, leżała zapewne w Dżawachetii (na południu Gruzji) (AP).

⁷ W oryginale: *tawlaczi* (z tureckiego *tawlaczy* [*tavlaçı*]). Wyraz o arabskiej etymologii, por. arab. *tabla* „kłódka” (AP).

– Właśnie tak, panie... – odparł Hambo i popchnął Gikora ku drzwiom kupieckiego domu.

– No to wejście – rzucił sklepikarz.

Nazywał się *bazaz* Artem, co znaczyło – kupiec⁸ Artem.

2

I Hambo oddał Gikora na służbę. Warunek był taki: w domu kupca Artema chłopiec będzie musiał przez rok sprzątać, zmywać naczynia, czyścić obuwie, zanosić obiad do sklepu i wykonywać różne drobne prace.

Po roku zaś Gikor miał przejść do sklepu, zostać „ucznem” i tam pomagać gospodarzowi.

– W ciągu pierwszych pięciu lat żadnych pieniędzy nie dostanie – zastrzegł się kupiec, zawierając z Hambo umowę – bo to raczej ty powinienes mi płacić za uczenie syna. On przecież nic nie umie!

– A niby skąd miałby umieć, gospodarzu miły? – odrzekł Hambo. – Po to i przyprowadziłem go do miasta, żeby się nauczył...

– Nauczy się, nauczy... Czemu nie? Tu nawet jeden z waszych stron, niejaki Nikol, niedawno swój sklep otworzył. A też u mnie pracował, i dorobił się dzięki mnie, i wyszedł na ludzi... Pod koniec wprawdzie ukradł mi parę łyżeczek do herbaty i inne rzeczy...

– Zapewniam cię, miły gospodarzu, że mój syn niczego nie ukradnie. Gdybym się o czymś takim dowiedział, tobym przyszedł, schwycił za kark i swoimi rękami wrzucił go do Kury⁹...

– Jeśli faktycznie nie ma lepkich rąk, to bez wątpienia wyjdzie na ludzi – możesz być pewny.

– Tego właśnie pragnę... Chcę, żeby stał się obyty, nabrał ogłady, nauczył się dobrze pisać-czytać, z ludźmi rozmawiać... żeby wiedział, jak się przy nich zachować, jak wstawać-siadać, witać się-żegnać... i żeby nie był taki bezradny, zagubiony w świecie... jak ja. Dzieciak z niego bystry, pojętny... z naszej wiejskiej szkółki też coś niecoś wyniósł – czarne od białego odróżni... Tylko bardzo cię proszę, gospodarzu, a nawet

⁸ *Bazaz* – z arabskiego *bazzāz* „kupiec handlujący tkaninami” (AP).

⁹ Kura – nazwa rzeki przepływającej przez Tyflis (AP).

błagam – doglądaj go, dbaj jak o własnego syna, bo to jeszcze dzieciak, w dodatku będzie tu sam, w cudzym domu, sam między obcymi...

Kupiec zapewnił Hambo, że wszystko będzie w porządku, i wyszedł, rzuciwszy donośnym, władczym głosem: „Nakarmcie tych ludzi, dajcie im herbaty”.

3

Ojciec i syn siedzieli w kuchni domu kupca Artema.

– No teraz, Gikorze, wszystko w twoich rękach, zobaczymy, synku, jak się sprawisz... Rób, co ci każą, i prowadź się tak... tak, żeby... żeby... O, Boże, a skąd ja niby mam wiedzieć jak?...

Hambo ciężko westchnął i jął nabijać tytoniem fajkę. A Gikor tymczasem rozglądał się wokół.

– Tato, a czemu tu nie ma kominka¹⁰? Dlaczego?

– Ano nie ma, ale za to jest... piec¹¹ – o tam, widzisz?

– I klepiska nie ma...

– Klepiska są na wsi, a to przecież miasto... Klepiska tylko chłopci mają.

– A skąd oni chleb biorą?

– Kupują... za pieniądze... Tu wszystko za pieniądze kupują – i chleb, i mleko, i *macun*¹², i drewno, i wodę... Wszystko... za pieniądze.

– Ojojoj...

– T-a-a-k, synku, to Tyflis. Jeszcze wielu innych dziwnych rzeczy się tutaj dowiesz... Tak, tak, mój zuchu...

– Tato, a kościół oni tu mają?

– No pewnie, jakże by mogli nie mieć? Przecież to Ormianie... i są chrześcijanami, tak samo jak my... Pamiętaj, synku, nie łaszcz się na cudze, niczego z ziemi nie podnoś, nie zabieraj... Bo mogą cię wystawiać na próbę, podrzucać pieniądze... Najlepiej je omijaj i nie ruszaj... A jak

¹⁰ Ormiańska dialektalna nazwa „piecyka-kominka” *buchari* (tak w oryginale, z akcentem na ostatniej sylabie, jak zwykle w języku ormiańskim). Pochodzi od arabskiego przymiotnika *buchārī* „parowy” (za pośrednictwem tureckim) (AP).

¹¹ W oryginale ojciec Gikora użył tu rosyjskiego („miastowego”) wyrazu *piecz*’ „piec”, w ormiańskiej wymowie: *pecz* (AP).

¹² *Macun* – ormiański napój przypominający europejski kefir (zsiadłe mleko) (AP).

nawet podniesiesz – oddaj natychmiast i powiedz: „Jakieś pieniądze znalazłem, proszę pani” albo: „Leżało, to podniosłem, panie gospodarzu”¹³... Tak, synku, tylko tak masz postępować...

– A policjanta¹⁴ też tutaj mają?

– Na pewno, jakżeby inaczej?... Uważaj na siebie, nie rozkopuj się w nocy, nie przeziębaj... A jak ktoś w nasze strony będzie się stąd wybierał, przekaz od siebie wiadomość... napisz też czasem parę słów... – Tak, paląc fajkę, Hambo pouczał syna, starał się niczego nie zapomnieć i o wszystkim chłopcu powiedzieć.

A Gikora coraz bardziej morzył sen.

– ...Chleb mogą ci czasem dać czerstwy albo jakieś resztki podsuną... A może się i tak zdarzyć, że sami tylko będą jeść, a tobie nie dadzą... wytrzymaj, synku, taka już dola służącego... Ale czas szybko mija, nawet nie zauważysz, jak dni przelecą...

Ojciec nadal pouczał syna, mimo że Gikor dawno już spał, mocno przytulony do jego ramienia.

Jak wiele w ciągu tych dwóch dni chłopiec zobaczył, ilu nowych rzeczy się dowiedział – sklepy z mnóstwem owoców, sterty różnobarwnych tkanin, kretonów... piękne zabawki na wystawach, uczniowie biegnący do szkoły i ze szkoły, woźnice prześcigający się na ulicach swoimi dorózkami, karawany wielbłądów, osły dźwigające przeróżną zieleninę, warzywa... *kinto*¹⁵ noszący na głowach misy pełne towarów... Wszystko to się mieszało, kotłowało i dudniło w głowie chłopaka. A on, zmęczony, spał wtulony w ojca.

W tym czasie kupiec i jego małżonka zawzięcie się sprzecali: żona była zła – nie chciała nowego sługi: „Całkiem niedoświadczony smaracz – gderała. – Nic nie umie i wygląda jak dzikus, nie chcę go, nie

¹³ Odpowiednikiem „gospodarza” jest w oryginale turkijski wyraz *agha* (*aga* „pan”). A „pani” z poprzedniego zdania to *chanum* (również turkijski wyraz). Oba te terminy występują także w języku perskim, który się cieszył wysokim prestiżem na Bliskim Wschodzie (AP).

¹⁴ Chłopiec użył tu rosyjskiego wyrazu *pristaw* („naczelnik policji”), bo w należącej do Rosji części wschodniej Armenii językiem administracji był rosyjski (AP).

¹⁵ *Kinto* – gruzińska nazwa wędrownych handlarzy sprzedających owoce, por. E. Cherkesi, *Georgian-English Dictionary*, Oxford 1950, s. 101: *k'int'o* „native fruit-hawker”. Tworzyli specyficzną grupę społeczną podobną do m.in. lwowskich „baciaków” (AP).

chcę...”. Kupiec był jednak innego zdania, cieszył się, że znów przez kilka lat będzie miał darmowego służącego.

– Nauczy się... – przekonywał żonę – a z czasem też przestanie wyglądać jak dzikus...

– Pewnie, że tak, oczywiście... – uspokajała synową dobra staruszka, matka sklepikarza. – Powoli wszystkiego się dzieciak nauczy, nie obawiaj się, moja droga, i nie przejmuj...

Jednakże gospodyni, pani¹⁶ Nato, wciąż była rozżalona, nieustannie płakała i przeklinała swój los.

4

Teraz już nie ten sam Gikor siedział w pustej kuchni.

W naciągniętej po same uszy starej czapce gospodarza, w jakichś znoszonych trzewikach i w wytartej granatowej bluzie chłopiec wyglądał inaczej niż dawniej. Siedział samotnie i wciąż rozmyślał – nie pojmował, dlaczego raptem znalazł się w mieście, dlaczego musiał tu przyjść z rodzinnej wioski. I co z nim będzie, co winien dalej robić...

Weszła gospodyni. A Gikor nadal siedział, jak siedział. Gospodyni coś powiedziała, Gikor być może nie słyszał albo nie zrozumiał...

– Do ciebie mówię, gamoniu!

Ofuknięty chłopiec zmieszał się, chciał prosić gospodynię o powtórzenie, lecz wylękniony skulił się tylko i nadal milczał. To jeszcze bardziej rozeźliło kobietę – opuszczając kuchnię, rzuciła z nienawiścią:

– A bodajś zdechł, ty... wiejski tłumoku! Ja do niego mówię, a ten sterczy jak kołek! Przecież do ciebie gadam, bałwanie, nie pojmujesz?! Wynocha! Precz mi z oczu!

„To koniec... – przemknęło Gikorowi przez myśl. – Ale czemu tak prędko?... Oj, niedobrze... co teraz robić?... I taty nie ma...”

W tym momencie, cała ubrana na czarno i coś mrucząca do siebie, pojawiła się w kuchni dobra staruszka – matka sklepikarza.

¹⁶ Odpowiednikiem „pani” jest tu w oryginale rodzimy ormiański wyraz *ti-kin* (z akcentem na ostatniej sylabie) (AP).

– Jak wchodzą gospodarze – zawsze masz wstawać, synku... jak cię o coś pytają – musisz odpowiedzieć, milczeć ci nie wolno... jak możesz się nie odzywać, kiedy starsi do ciebie mówią?...

Staruszkę wszyscy w domu nazywali Deda.

To Deda pokazywała Gikorowi, jak się nastawia samowarek, jak się pastuje obuwie, jak się przy tym trzyma szczotkę, jak się zmywa naczynia... Spośród wszystkich domowników jedynie staruszka Deda nie pomiatała Gikorem, nie dokuczała mu ani nie obrażała.

Uczniowie, którzy terminowali w sklepie gospodarza, drażnili się z nowym służącym, wyśmiewali się z niego, drwili, szturchali, ciągnęli za nos, za uszy, czapkę na oczy zsuwali – jak tylko mogli, tak mu dokuczali... dla rozrywki.

Ale to wszystko jeszcze można było ścierpieć.

Jedynie głód był nie do wytrzymania. Do głodu Gikor nijak nie mógł przywyknąć. W rodzinnym domu, czując, że jest głodny, zawsze mógł podejść do drewnianej niecki z chlebem i trochę go sobie odłamać, a z glinianej rynki – wyjąć kawałek sera i pobiec z tym wszystkim na dwór, by tam, pod jakimś drzewem albo przy źródle usiąść – i jeść, jeść... a potem znów się beztrudno bawić.

Tu wszystko wyglądało inaczej. Choćby był nie wiadomo jak głodny, musiał wytrzymać aż do pory obiadu. Ale do stołu wolno mu było usiąść dopiero po tym, jak wszyscy inni już skończą posiłek. A to trwało i trwało... Przekłety czas mijał bardzo wolno, ciągnął się i ciągnął... Gikor wprost nie mógł tego znieść.

Początkowo jakoś wytrzymywał, czekał, czekał, ale głód z czasem okazał się silniejszy – i w końcu zmusił go do szukania po wszystkich kątach czegoś do zjedzenia. I niekiedy udawało mu się nawet coś znaleźć: a to wyschniętą piątkę chleba, a to ogryzek, a to kość nie całkiem z mięsa ogołoconą... wszystko to od razu Gikor wpychał sobie do ust. Potem – już z dużo lepszym skutkiem – zaczął skrycie myszkować po kuchennych szafach, aż w końcu nauczył się sprytnie, prosto z parującego na płycie garnka, wylawiać kawałki niedogotowanego jeszcze mięsa.

Aż strach pomyśleć, co by się działo, gdyby ktokolwiek to zauważył...

To by dopiero była historia!...

Nie daj Bóg, żeby ktoś go na tym przyłapał...

Ale co, biedaczyna, miał począć?...

Porzucić służbę – uciec?...

I w samej rzeczy Gikor jął przemyśliwać ucieczkę. Ale dokąd by mógł uciekać, tutejszych dróg nie znał, znajomych żadnych nie miał... A ojciec? Co by mu powiedział?... Ojciec tak się przecież dla niego starał... Pocieszał, zapewniał: „Czas szybko mija, synku, nawet nie zauważysz, jak dni przelecą...”.

Gikorowi wydawało się, że wciąż jeszcze słyszy chrapliwy, przytłumiony głos ojca: „Czas szybko mija, synku, dni przelecą... przelecą...”.

5

Zadzwonił dzwonek.

Gikor się zerwał. Tyle już wiedział: jak dzwonek dzwoni, trzeba podejść do drzwi, zapytać, kto to, i dowiedzieć się, czego mu trzeba...

Wyszedł zatem na balkon, wyrzwał na ulicę i dostrzegł na dole przed domem jakiegoś starszego pana oraz kilka dam¹⁷.

– Ej, wy tam!... Cośta za jedne i czego chceta¹⁸? – wykrzyknął z góry.

Damy zanosły się śmiechem, a starszy pan, prostując nerwowo monokl w swoim oku, zapytał:

– Czy twoja pani jest w domu?

– A na co wam ona? – rzucił Gikor, odpowiadając pytaniem na pytanie.

Gromadka stojących przed progiem ludzi ponownie zanosła się gromkim śmiechem.

– Jeszcze raz pytam: pani jest w domu, czy nie ma? – gniewnie powtórzył mężczyzna z monoklem, towarzyszący rozbawionym damom.

– A czego chceta? – krzyknął Gikor.

W odpowiedzi czekająca na dole gromadka ludzi zarechotała z nową siłą.

¹⁷ Odpowiednikiem „pana” jest w ormiańskim oryginale stary wyraz *paron* (wymowa wschodnia) zapożyczony w średniowieczu z języka francuskiego (por. polski *baron*). „Damom” odpowiada objaśniony w poprzednim przypisie ormiański wyraz *ti-kin* (AP).

¹⁸ Polskie formy gwarowe typu „chceta” oddają tu (i niżej) wiejską mowę Gikora, która budzi śmiech miejskich, wykształconych Ormian mówiących literackim językiem wschodnioormiańskim (AP).

– Chcemy wiedzieć, czy twoja pani jest w domu! – odparł mocno już rozniewany starszy pan.

– A wy z interesem?

Gospodyni, słysząc dobiegające z zewnątrz podniesione głosy, wyszła na balkon, wyjrzała – i omal nie pękła ze złości!

– A bodajś zdechł, ty głupku! Albo pod ziemię się zapadł... Spalę się ze wstydu przez tego idiotę!... Nie gap się, tylko biegnij... Otwieraj drzwi! Migiem, baranie! – Gospodyni kipiała wręcz ze złości, ale gdy tylko goście stanęli w progu, z szerokim uśmiechem na twarzy ruszyła ich powitać.

– Ach, jakież to pomyślne wiatry was tutaj przywiały? Komu winnam dziękować, że sobie o nas przypomniałście? Wejdźcie, wejdźcie... Bardzo proszę!...

– Gdzie też takiego cudaka udało wam się znaleźć? – zapytał starszy pan. – Z ziemi go wykopaliście czy jak? To rzadki okaz – stwierdził, oglądając Gikora od stóp do głów. A damy przy tym wciąż chichotały w najlepsze.

– E-e-tam, skaranie boskie! Nie ma czego zazdrościć... Chętnie wam go oddamy, za darmo! Chcecie? – żartobliwie odparła gospodyni. I goście, wesoło rozmawiając, weszli do środka.

Pani domu dyskretnie wyprawiła Gikora do sklepu z pilnym poleceniem i wróciła do gości.

Po niezbędnych w takich okolicznościach tradycyjnych pytaniach o zdrowie i samopoczucie goście ze swadą zaczęli opowiadać o tym, jaką przeprawę mieli z Gikorem przy bramie. I wyszła z tego zabawna i nawet dosyć długa historia.

– Ten nasz nowy służący już mnie całkiem wykończył – żaliła się pani Nato (takie imię nosiła gospodyni). – Stale powtarzam mężowi: przepędźmy wreszcie tego głąba! Ale znacie przecież mojego Artema... Żal mu chłopaka. Biedny wiejski dzieciak – powiada – niech jeszcze u nas pobędzie, z czasem wszystkiego się nauczy... Tylko jak długo jeszcze przyjdzie na to czekać? Ja już nie mam siły...

– Tak, tak... szkoda mówić... – podchwyciły damy – z tymi sługami to jedna wielka męczarnia...

Blisko pół godziny trwała rozmowa o nedorajdach służących i o najświeższych miejskich nowinach. Po półgodzinie wpadł do pokoju zdyszany Gikor:

– Przyniosłem owoce, proszę pani!...

– Dobrze, już odejdz...

Zażenowana gospodyni oblała się intensywnym rumieńcem, goście ponownie się roześmieli.

– Gospodarz¹⁹ kazał powiedzieć... – rzucił przejęty Gikor – że czeresnie za drogie... i że czeresni nie trzeba...

Któraś z pań parsknęła i przysłoniła twarz chusteczką – a pozostali goście, pragnąc ułatwić pani Nato wyjście z niezręcznej sytuacji, zaczęli jeden przez drugiego uskarżać się, że czeresnie faktycznie są bardzo drogie i kto by tam je kupował o tej porze... a w ogóle – po co te wszystkie owoce, poczęstunki... Wszak nie dlatego oni tu przyszli... nic się nie stało... Niech pani będzie spokojna, to przecież żadne zmartwienie...

Zdegustowana gospodyni z wypiekami na twarzy usiłowała nadać inny ton rozmowie:

– Jeden Bóg wie, czego mu tam nagadali, zresztą ten dureń i tak pewnie kłamie!...

– Mówię prawdę... jak Boga kocham! Przysięgam! – wypalił Gikor i tymi słowami wszystko już zepsuł.

6

Odprowadziwszy gości, pani Nato sprzątała ze stołu resztki po owocach i przeklinała Gikora na czym świat stoi – wypominała mu po kolei wszystkie przewinienia i coraz bardziej zapamiętywała się w gniewie.

– Przecież on jeszcze mały, córeńko, niedoświadczony, z czasem na pewno wszystkiego się nauczy, zobaczysz, moje dziecko – mitygowała synową stara Deda. I wzdychała przy tym: – Ach, dobry Boże, czyżbyś o mnie zapomniał... Czemu mej duszy dotąd jeszcze nie zabrałeś?...

– Co ty tam głędzisz pod nosem? – warknęła na teściową rozżłoszczona synowa. – Chcesz, żeby i tobie się dostało? Jak ci tego szubrawca

¹⁹ Gikor użył tu rosyjskiego wyrazu *choziain* „gospodarz”, w ormiańskiej dialektalnej wymowie: *chazein*, por. przypis 13. Mówiąc przy gościach o słowach męża gospodyni, stawiał ją, oczywiście nieświadomie, w niezręcznej sytuacji (sugerując skąpstwo gospodarza) (AP).

żał, to sama haruj za niego! Mały, niedoświadczony... A ja to niby co – niewolnica wasza?! Ja mam się w domu wszystkim zajmować?

Gospodyni tak wykrzykiwała i piekliła się aż do samego powrotu męża, a usłyszawszy jego kroki, zaczęła z głośnym płaczem ostentacyjnie trząść naczyniami.

– Dawno już mówiłam, że go nie potrzebuję... Najlepiej sama będę tu za służącą... bo z takim pomocnikiem człowiek raz-dwa się wykończy... Ale cóż począć, skoro na porządnego sługę grosza się żałuje...

– Co tu się stało? – zapytał kupiec, stając pośrodku pokoju.

– A co by jeszcze miało się stać? Nie starczy, że ten gnojek wstydu mi przed ludźmi narobił?! Że mnie ośmieszył, zniesławił!... To mało? Czego więcej trzeba? Dzięki ci, mężu, za takiego świetnego pomocnika! Wielkie dzięki!

Tu gospodyni opowiedziała mężowi całą nieszczęsną historię z czereśniami.

– Coś podobnego! Wszystkim powiedział? – nie mógł uwierzyć kupiec.

– Boże, dopomóż!... – staruszka Deda nie wiedziała, jak uspokoić domowników. – Ach, mój Boże, mój Boże!

Kupiec przywołał Gikora. Ten, głośno stukając butami, wszedł do pokoju.

– Chodź no tu do mnie! – warknął kupiec.

Jednakże Gikor, widząc spurpurowiałą od gniewu twarz gospodarza, zastygł przerażony w bezruchu – i ani drgnął.

– No chodź tu, mówię, słyszysz?!

Gikor przebierał tylko niepewnie nogami, ale z miejsca nie ruszał.

– Miałeś samej gospodyni powiedzieć, co ci kazałem. A ty, ofermo, wolałeś wszystkim gościom wypaplać, że czereśnie za drogie, t-a-k?! Za drogie, t-a-a-k?!

– Ja... ja chciałem... – Gikor próbował wyjaśnić, jak się rzecz miała, ale wymierzony przez kupca policzek zwałił go z nóg, dzieciak uderzył głową o ścianę, w oczach mu pociemniało, zwałił się na podłogę.

Rozwścieczony gospodarz zawzięcie kopał leżącego i wrzeszczał przy tym raz po raz: „Za drogie czereśnie... tak?! Za drogie niby... tak?! Za drogie... no to masz... masz... za drogie!” Staruszka Deda dreptała naokoło, próbowała odciągnąć syna od Gikora, gospodyni krzyczała, dzieci

przerażliwie piszczały. Kupiec zostawił w końcu swoją ofiarę, odszedł na bok, ciężko dysząc, ale wciąż nie mógł się uspokoić, patrzył na skulonego Gikora i cedził przez zęby: „Za drogie... za drogie czereśnie – tak?... za drogie?... ja ci dam... za drogie!...”.

A zwinęty w kłębek Gikor leżał w kącie i z zaciśniętymi do bólu powiekami żałośnie pojękiwał:

– Mamuniu moja... mamuniu...

7

Kupiec, widząc, że do pomocy w domu chłopak się nie nadaje, przeniósł go do sklepu.

Tu Gikor musiał dźwigać – przynosić i odnosić – bele materiałów, zamiatać pomieszczenie, dostarczać towary do domów klientów, a w wolnym czasie – wystawać przed sklepem i nawoływać przechodniów, zapraszać ich do środka, zachęcać do kupna.

I oto idzie Gikor do sklepu. Niesie obiad. Jest wychudzony i blady, o wiele za duże buty niemal spadają mu z nóg. Przechodzi akurat przez most. Staje przy balustradzie, wychyla się – patrzy na rzekę...

Na dole, uderzając z wściekłością o wysokie mury karawanserajów, kłębiła się potężna Kura. Rzeka kipiała, pieniała się i z głuchym łoskotem przepływała pod mostem. Przy brzegu, gdzie nurt nie był tak rwący, krążyła na falach zielona łódka. Siedzieli w niej dwaj mężczyźni – jeden raz po raz zarzucał niewód, drugi sterował łódką.

„Pewnie zaraz coś złowią” – przemknęło Gikorowi przez głowę. Jednak niewód po wyciągnięciu okazał się pusty.

„To może teraz...” Sieć ponownie znikła pod wodą, a Gikor szybko pomyślał: „Może uda mi się zgadnąć, czy coś złowią...”. I czekał, czekał...

Wszelako wyciągnięty po chwili niewód tylko ociekał wodą. Był pusty.

– No to teraz... może Zani uda się zgadnąć?

Ale i tym razem do sieci nic nie wpadło – czyli jego siostrzyczce też się nie udało...

– To żeby chociaż Galo...

Niestety... do braciszka Galo szczęście też się nie uśmiechnęło.

– No to może...

W tym momencie od bramy pobliskiego karawanseraju dobiegł Gikora jakiś hałas. To stary Pers wyszedł z tresowaną małpką na ulicę. Pers śpiewał, a małpka tańczyła:

Patrzcie, patrzcie, jaka małpka,
Maleńka małpeczka...
Zwinna, gibka niby witka,
To staruszka, to dziewczeczka,
Kim jesteś, małpeczko?

Ludzie spieszyli ze wszystkich stron podziwiać tańczącą małpkę, szybko zrobiło się zbiegowisko...

Gikor również tam pobiegł, do przodu jednak nie zdołał się precyzyjnie przemieszczać, toteż stanął na palcach za czyimiś plecami i – wyciągając szyję – usiłował dojrzeć, co się dzieje w środku.

– A ty tu czego? Wynocha! No, już cię nie ma! – Jakiś *kinto* wypchnął go z tłumu i w dodatku zdzielił po głowie.

Gikor otrząsnął się i niechętnie podreptał z obiadem w stronę sklepu.

8

Wieczorem, zapłakany i obolały, siedział w kuchni. Twarz go paliła od uderzeń, jakich znów mu nie szczędził kupiec. Głos gospodyni cichł z wolna na końcu korytarza. Drzwi się otwarły i do kuchni, rażno poświstując, wszedł Waso, uczeń sklepikarza. Zauważywszy Gikora, zatrzymał się i nadając poważny wygląd swej błazeńskiej twarzy, groźnie zapytał:

– Gdzieżeś ty był, gadaj! Czyżby w klubie?... I ważne sprawy cię tam zatrzymały? Albo może z gubernatorem omawiałeś jakiś problem niecierpiący zwłoki, co?!

Ale Gikor wciąż milczał, nie podnosząc głowy.

– No, śmiało, mów!... Żebyś i ja się dowiedział!

Gikor nie odpowiadał.

– No jak to? Nie wiesz, gdzie byłeś? Zapomniałeś, baranie? Przecież obiad miałeś mi przynieść, prawda? A ty się gdzieś szwendałeś, kiedy mnie aż z głodu skręcało. A jak bym tak umarł przez ciebie, to co?

Waso podszedł blisko do Gikora, powstał nad nim chwilę, aż raptem – jak nie trzaśnie go w głowę!... Gikor objął głowę rękami, zasłonił się, przywarł do ściany i czekał na kolejne ciosy. A Waso faktycznie zamierzał uderzyć go ponownie, lecz wtem za drzwiami rozległ się głos gospodarza.

– Zaraz on się z tobą rozprawi – zagroził Waso.

„Gospodarz chyba mnie zabije” – pomyślał Gikor.

Ten jednak wystarczająco stłukł już biedaka w sklepie, toteż się powstrzymał i wielkodusznie zarządził, aby tym razem Gikora tylko pozbawiono kolacji. „Żeby wiedział, jak to jest być głodnym...”

Niebezpieczeństwo minęło.

I choć wyraźnie było słychać dobiegający z pokoiów podniesiony głos gospodyni: „Przepędź go precz, dawno już ci to mówię...”, Gikor odetchnął i się uspokoił.

9

Leżał teraz w kuchni z głową przykrytą kołdrą – i nie spał...

– „Noc jasna, księżycowa... sen dawno mnie opuścił... Powiadają, że jestem bezdomny, wszyscy to w kółko powtarzają – bezdomny, bezdomny...”

Teraz i Waso nucił tę piosenkę, pałaszując z apetytem kolację. A Gikor to obserwował go ukradkiem spod kołdry, to ponownie zamykał oczy, próbując zasnąć. Ale sen nie przychodził.

– No co, z głodu nie możesz spać, tak? Czyli już wiesz, jak to jest... być głodnym...

Waso podsunął Gikorowi kawałek chleba z serem.

– Jedz, ale szybko, żeby gospodarz nie zobaczył...

Gikor pochwycił chleb, schował się z głową pod kołdrę i jął łapczywie zajadać.

Wspominał przy tym, jak niegdyś biegał z kolegami na dworze, chleba zawsze wtedy było pod dostatkiem, pamiętał, jak matka płakała, jak nie chciała go oddawać do miasta...

– Ach, mamusiu, jak dobrze czuło to wszystko twoje dobre serce... – wzdychał Gikor, żując pod kołdrą chleb z serem i wciąż z obawą nasłuchując, czy nie idzie czasem do kuchni gospodarz.

A rano Gikor znowu stał przy otwartych drzwiach sklepu.

10

Stał i przyzywał klientów, zachwalając oferowane do sprzedaży towary. „Czemuś zamilkł?! Wody do gęby nabrałeś?!” – dobiegało z wnętrza sklepu, gdy tylko przestawał zachęcająco wykrzykiwać.

– Chodźta do nas!... Zapraszamy! Najlepsze towary mamy! Do nas, do nas! Zapraszamy!...

W sklepie wszyscy pokładali się ze śmiechu.

Terminujący uczniowie przyuczyli go również do tego, żeby nawet siłą ciągnął klientów do środka, stąd też często na bazarze Gikor chwycił za poję jakiegoś człowieka i uparcie włókł go do sklepu, dopóki ten ze złości nie wychodził z siebie.

Latem, w upalne, duszne dni, zmęczony długim wyczekiwaniem, Gikor niekiedy zasypiał, siedząc na wyłożonych przed sklepem zwojach kretonów. Wówczas terminatorzy albo szkolni uczniowie z sąsiedztwa podkradali się cichaczem do niego i podtykali mu pod nos tabakę.

Gikor kichał i rozbudzony, gwałtownie zrywał się na nogi.

Omdlewający w sklepie z gorąca uczniowie miewali z tego wielką uciechę. A gospodarz, naśmiawszy się do woli, srodze pokrzykiwał:

– Nie śpij, bałwanie! Do roboty!

– Chodźta do nas!... Zapraszamy! Najlepsze kretony mamy! Do nas... do nas...

11

A któregoś razu, kiedy Gikor jak zwykle stał w otwartych drzwiach sklepu i przyzywał klientów, ujrzał raptem nadchodzących dwóch znajomych chłopów ze swojej wsi. Podbiegł do nich. Uściskali się, wycelowali...

– Patrzajta ino, jak się odmienił, ho, ho!... – chłopci z podziwem oglądali Gikora, potem jeden z nich rzucił, zwracając się do swego towarzysza:

– I co, Bago, poznałbyś go teraz?

– A juści. Po oczach... – z przechwałką w głosie odparł zapytany.

Tyle że Gikora zaiste trudno było poznać – błądy, zmizerniały, wychudły... i to ubranie na nim... miastowe – wyglądał całkiem inaczej niż na wsi.

– Patrząta ino, niby od nas ten pętać, ze wsi, a na ludzi wyszedł!... Całkiem już miastowy... No, no! – dziwowali się chłopci.

– Hambo mądrze swojego syna urządził, tylko nasze chłopaki ciągiem świnie pasają...

Tymczasem Gikor zasypywał ziomeków pytaniami:

– Jak tam mój ojciec? I rodzina... Zdrowi? Dlaczego tato nie przyszedł? A nasza krowa się ocielila? Kto umarł we wsi?

– We wsi jak zawsze... Po staremu, masz pozdrowienia od wszystkich... – odpowiadali chłopci – a umarł tylko Suknac Ghukas²⁰ i jedna starucha od Puczurenców, reszta zdrowa i jakoś się trzyma.

– A ojciec dlaczego nie przyszedł?

– Chciał, ale nie mógł. Teraz cały dom ma przecież na głowie...

– A mnie nic nie przysłali?...

– Toć oni sami niczego nie mają... Zboże latoś kiepsko obrodziło. Twój ojciec ledwo wiąże koniec z końcem. Chyba wypada, żebyś ty raczej coś im posłał. Przez nas... Możesz?... Władza już się o spłatę podatku²¹ dopomina, a czym płacić? Twój ojciec nawet grosza przy duszy nie ma...

– Czy u nas nikt nie choruje?

– Wszyscy zdrowi, tylko wasza krowina zdechła, nie ma już Cachik²². Włazła na dach obory Mirzów i spadła...

– Cachik zdechła?...

– Ano... twoja matka bardzo płakała, rozpaczała po niej okropnie.

Wtem jeden z chłopów nagle o czymś sobie przypomniał – sięgnął za pazuchę i wyciągnął list przeznaczony dla Gikora.

– To powiadaj teraz swoim wszystko, co chcesz, powtórzmy... – rzekł chłop, oddając list Gikorowi – bo już się nie zobaczymy. A jakbyś chciał coś dać matce czy siostrze, to daj, odniesiemy.

– No co też wy? Przecież ja nic nie mam, pieniędzy jeszcze mi nie dają... na razie... Ale za to...

²⁰ Ghukas to w ormiańskiej wymowie odpowiednik naszego Łukasza. Ormiańska spółgłoska oznaczana tu (i gdzie indziej) literami *gh* jest wymawiana tak jak polskie dźwięczne „ch” w wyrazie „klechda”, por. przypis 4 (AP).

²¹ W oryginale występuje tu wyraz arabskiego pochodzenia *chardż*, por. tureckie *harç* [harcz] „opłata”, polski „haracz” (AP).

²² Imię krowy (dokładniej: Caghik) znaczy po ormiańsku „kwiatek” (AP).

– Co?

– Chcę iść razem z wami... do domu... stęskniłem się za swoimi... naszą wioskę znów chcę zobaczyć.

– Nie do wiary! Coś podobnego! A nam się zdawało, żeś faktycznie nabrał rozumu i wyszedł na ludzi. A ty głupoty wygadujesz, pleciesz trzy po trzy... My się głowimy, jak by i naszym synom znaleźć takie miejsce, a ty... Tylko popatrz na siebie – ubrany, obuty, wszędzie masz czysto, ciepło... To nie w kij dmuchał, bratku. Jest takie mądre przysłowie: „Posadź świnię na dywanie, a ta furt do błota lezie”, to jakby ciebie się akurat tyczyło...

Nagadali chłopci Gikorowi do słuchu, ile wlezie, dobrych rad też nie szczędzili, po czym ruszyli w drogę.

Po ich odejściu Gikor usadowił się w kącie i jał czytać ojcowski list:

Mój kochany synku, Gikorze!²³

Do miasta Tyflisu!²⁴

My wszyscy zdrowi i tobie też tylko zdrowia życzymy, amen. Bardzo za tobą tęsknimy i pozdrawiamy: tato, mama²⁵, Zani, Mosi, Mikicz, Galo, wszyscy. Nam tu, kochany synu, jest bardzo ciężko, a i podatek na gwałt trzeba zapłacić, ale nie ma czym. A mama i Zani nie mają co na siebie włożyć. Strasznie nam ciężko, synku, przyślij choć parę rubli i napisz co o sobie. A nowina jest taka, że nasza Cachik zdechła, a mama i Zani nie mają w co się ubrać...

– No co, rozmarzyłeś się, swoich bliskich widziałeś? Już starczy, wracaj do roboty! Wołaj klientów, żywo! – dobiegały ze sklepu przynaglające okrzyki.

– Do nas, do nas!... Zapraszamy! Najlepsze kretony mamy!...

²³ List jest napisany gwarą wschodnioormiańską, bo ojciec Gikora miał tylko elementarne wykształcenie: umiał pisać (ormiańskimi literami), ale robił błędy (AP).

²⁴ Tylko w tym zdaniu Hambo użył formy klasycznego języka staroormiańskiego (tzw. *grabaru*): *i kaghakn Tifliz*. Widocznie poznał ją z jakiegoś oficjalnego, urzędowego tekstu (AP).

²⁵ W oryginale „tato” – w gwarze ormiańskiej *api*, „mama” – *nan* (AP).

12

Nastała zima.

Śnieżna zamieć szaleje nad miastem. Mroźny, lodowaty wiatr wciska się ze świstem we wszystkie szczeliny, szuka i pragnie na swej drodze dopaść każdego – a to ubogiego wędrowca, a to osierocone dziecko – samotne, bezdomne...

I znajduje, i dopada – Gikora.

W cienkiej, wytartej bluzie tkwi on skostniały na progu sklepu i jak ździebełko trawy trzęsie się z zimna.

– Do nas, do nas... Zapraszamy!...

– Już, już... leczę! – z okrutną satysfakcją zaświszczal wicher i niewidzialnym nożem ciął marznącego Gikora. – A masz-sz-sz-sz!... – Uderzył bezlitośnie. Lodowaty ziąb z nową siłą przeniknął drżącego chłopaczynę do szpiku kości.

Skrajnie wycieńczony Gikor – i bez tego już ledwo utrzymujący się na nogach – zasłabł raptem i upadł.

Stracił przytomność.

13

Chory Gikor leżał w kuchni kupieckiego domu. Stara Deda po kilka razy w ciągu dnia zaglądała do niego.

– Czego chce twoje serce, biedaku, powiedz...

– Wody...

Deda przynosiła wodę. Gikor brał szklankę słabą ręką, odpijał łyk... i prosił o inną wodę – źródłaną.

– Ta niedobra, nie gasi pragnienia... Chcę wody z naszego źródła, Dedo... Chcę do swojego domu... do mojej mamy...

Kupiec Artem miał kłopot. Zmartwiony, jał gorączkowo poszukiwać jakichś ziomeków Gikora. Znalazł jednego i kazał mu przekazać wiadomość ojcu chłopca, żeby jak najszybciej przybył do miasta. A tymczasem umieścił Gikora w szpitalu.

W szpitalu było wielu chorych, wszyscy smutni... Leżeli bezradnie w jednym rzędzie i tępo wpatrywali się w sufit. Gikora położono obok nich. Tutaj też znalazł go ojciec.

– Co z tobą, synku? Co się stało? – spytał przybity rozpaczą Hambo, podchodząc do łóżka Gikora.

Ten był w malignie – nie poznawał ojca.

– Gikor, to ja, zobacz... twój tata, widzisz?... Twój *api*²⁶...

Chory nie słyszał go, bredził i – rozpalony – wołał:

– Mikicz, Zani, mamó, *api*...

– Jestem, syneczku, jestem... tutaj, przy tobie... To ja, twój *api*... Nie poznajesz? Mama po ciebie przysłała... Wstań, pójdziemy do domu. Wrócisz ze mną, dobrze?... Mikicz i Zani już stoją na dachu, czekają na ciebie, patrzą na drogę, oczy wypatrują... No powiedz coś... Odezwij się, synku...

Jednakże chory albo coś tylko mamrotał, albo się śmiał, albo raz po raz wołał:

– Do nas... do nas! Zapraszamy!...

14

Kilka dni później Hambo samotnie wracał piechotą do wioski. Pod pachą niósł odzież Gikora, żeby matka chociaż mogła się nad nią wypłakać. W kieszeniach synowskiego ubrania znalazł garstkę lśniących guzików, parę skrawków kretonu i kilka szpilek. Pewnie jego syn dla siostrzyczki to trzymał, dla Zani...

Cały dzień Hambo szedł odepiały przed siebie... i wspominał:

– Tą drogą wtedy szliśmy z Gikorem do miasta...

A tu mi się poskarżył:

„Nogi mnie bolą, tatusiu...”.

A pod tym drzewem powiedział:

„Bardzo chce mi się pić...”.

I o... z tego źródła piliśmy wtedy wodę...

Tu żadnej zmiany, wszystko jest, jak było... tylko jego już nie ma – nie ma Gikora...

Na drugi dzień, kiedy Hambo wreszcie pokonał górę, pokazała się wioska. A na samym jej skraju, niecierpliwie czekając na wracającego z miasta Gikora, stali wszyscy bliscy chcący go powitać – matka, Zani,

²⁶ Por. przypis 25.

Mikicz, Mosi i maleńki Galo, który wyrywał się z matczynych rąk i radośnie krzyczał:

– Hej, h-e-e-j!... Gikol! Chodź... chodź szybciej! Giko-o-o-l!...²⁷

1895

tłum. Stanisław Ułaszek

²⁷ Gikol (zamiast: Gikor) – por. przypis 3.

Honor biedaka

1

W dużej osadzie K. żył sobie dobry człowiek imieniem Simon. Nigdy nie wtrącał się on w sprawy tego świata, albowiem dobrze wiedział, że jego głos nie będzie miał żadnego znaczenia – wszak nikt wysłuchać nawet biedaka nie zechce.

Całym majątkiem Simona była bura krowa i piękna młoda żona. Unikała ona bogatych sąsiadek i rzadko się do nich zbliżała: zresztą widziała, że im się to nie podoba. A tak naprawdę nikogo (oprócz męża) nie potrzebowała.

W okresie prac polowych ubogi Simon umawiał się zazwyczaj z jakimś bogatym sąsiadem trzymającym bydło robocze – i obrabiał nim najpierw jego ziemię, a potem swoją. Niekiedy dorywczo trudnił się też ciesielką albo łowił ryby w pobliskiej rzeczce, słowem: chwycił każdą okazję do zarobku, imał się wszelkiej roboty. Dlatego też nie był ani dobrym cieślą, ani kamieniarzem, ani rybakiem... W jednej dziedzinie tylko cieszył się uznaniem jako prawdziwy mistrz – w opowiadaniu anegdot i kawałów. Miał niewyczerpany zapas żartobliwych facecji, którymi chętnie obdarowywał swoich słuchaczy. Ci jednak owego głupekowatego wesołka nazywali cudakiem²⁸ – i ten epitet przylgnął doń na stałe.

– Kiedyś w pewnej wiosce stawiałem mur – opowiadał Simon o tym, co go onegdaj spotkało. – Po skończonej robocie proszę, żeby się pracodawcy ze mną rozliczyli. Przyszli, obejrzeni mur i powiadają: „Wiesz co, bratku, prześpij dzisiejszą noc pod tym murem, a rano dostaniesz wypłatę, nawet podwójną, jak będziesz chciał... I pójdziesz sobie z Bogiem...”. Ja oczywiście się nie zgodziłem i w duchu wybuchnąłem śmiechem:

²⁸ W oryginale: *sasz-Simon*, czyli „głupi Simon (Szymon)”, forma dialektalna (AP).

cha, cha, cha... Chcieliście wysłać mnie na tamten świat? Trochę na to za wcześnie! Nie dałem się nabrać... Rzuciłem wszystko – i w nogi!...

Jednak nie wszyscy przecież stawiali Simonowi podobne warunki. Ludzie cenili sobie jego wesołe usposobienie i nierzadko płacili mu za pracę jeszcze więcej, niż się należało.

Tak w skrajnej biedzie, ale pogodnie i beztrosko żyli sobie mąż i żona. Cieszyli się swoim małym rodzinnym szczęściem, które zawdzięczali jedynie wielkiej wzajemnej miłości. Tyle że tego właśnie ludzie najbardziej zaczęli im zazdrościć.

– Przedziwna sprawa! – mówili chłopci między sobą. – My mamy swoje gospodarstwa, sklepy czy handel, w dodatku z całych sił harujemy od rana do wieczora, a i tak ledwie możemy związać koniec z końcem. To jakże jemu udaje się żyć tak beztrosko i radośnie?!

Dziwili się Simonowi sąsiedzi i bardzo mu zazdrościli, niemniej jednak uparcie nazywali go cudakiem.

– Nawet z cudakiem Simonem nie możesz się równać! – strofowały żony swoich mężów. – On każdego roku swojej pięknej laluni dwie albo trzy nowe suknie kupuje... a i bez butów na nogach też nigdy się jej nie zobaczy.

– Bo też ona faktycznie jest piękna – nie to co ty! – pół żartem, pół serio zauważali w odpowiedzi mężowie.

I w rzeczy samej, uroda tej kobiety była prawdziwym darem z niebios, zesłanym jej ubogiemu mężowi przez Boga. Była jak wonna, dorodna lilia wyrastająca nierzadko na jakimś pustkowiu, pod byle krzakiem, wśród cierni... Życzliwie uśmiechając się ze swego kącika, taka cudowna lilia nawet nie zdaje sobie sprawy, że i pobliski dmuchawiec również pyszni się swoją urodą na malowniczym brzegu górskiego potoku, i tak samo delikatny dzwonek rosnący na wychuchanym kwietniku przed pańskim domem... Ale wszystkie jednakowo łakną słonecznego światła, choćby najmniejszego promyka...

Zapomniałem już imienia owej piękności, ale utkwiło mi w pamięci, że wiejska kawalerka mawiała o niej „łakomy kasek”.

Ileż razy żaliła się ona mężowi, że kiedy ze źródła nabierała wodę, taki czy inny młodzian nachalnie spojrzął jej w oczy i coś szepnął, a inny, przechodząc obok ich domu, puścił do niej oko, jeszcze inny umyślnie potrącił, mijając się z nią na drodze, i tak dalej, i tak dalej.

– Po to i pyszne jabłko na drzewie, żeby próbować je strącić kamieniem – odpowiadał małżonce Simon, cytując znane przysłowie. – Nie przejmuj się tym, moja droga, ja też do dziewczyn nie raz puszczałem oko.

Niemniej jednak – choćby po to, by żona w nocy nie zostawała sama, kiedy on pracował w którejś z okolicznych wsi – przychodziła do niej spać małeńka córka kowala Akopa²⁹, ich dobrego sąsiada.

Po nocach żona Simona godzinami opowiadała małeńkiej³⁰ Marusz piękne bajki – a to o ognistym ptaku, a to o złej macosze, która wrzuciła do jaskini siedem swoich pasierbic i przykryła wejście młyńskim kamieniem, a dziewczynki – wytrwale kopiąc ziemię – każdego dnia znajdowały dla siebie po jednej rodzyńce, żywiły się nimi i wciąż kopały, kopały... aż w końcu się znalazły w jakimś cudownym podziemnym królestwie... Opowiadała o różnych „świetlanych i mrocznych” królestwach, dopóki obie nie wiadomo kiedy zasypiały.

2

Oto z głębi sadu wyłania się niewielki biały domek Simona; ustronny, cichy, z dwoma małutkimi okienkami i zamkniętymi okiennicami. W powoli zapadającym mroku wszystko dokoła wygląda nieco tajemniczo, ale spokojnie i miło, a cały ten widok łudząco wręcz przypomina jakiś cudowny pejzaż z baśni tysiąca i jednej nocy...

Ale właśnie wtedy z głębokiego cienia pod drzewami wychynęły dwa groźne cienie, jęły się skradać do domku i... przeniknęły do środka.

Co tam robiły, trudno powiedzieć. Lecz wkrótce potem, gdy z trzaskiem otwarły się drzwi, z wnętrza dał się słyszeć ostry krzyk. I zamarł... W tym samym czasie kobiecy głos wołał: „Kim jesteście? czego chcecie? co wy robicie?!”. Ale drzwi momentalnie zatrzaśnięto – i żadnych głosów nie było już słychać...

²⁹ Imię to odpowiada naszemu Jakubowi. Po wschodnioormiańsku brzmi: Hakop lub Akop. Tu w oryginale występuje ta druga, dialektna forma (AP).

³⁰ W oryginale Tumanian pisze, że Marusz miała 9-10 lat (AP).

Że też akurat tego wieczora Simon³¹ musiał się udać do sąsiedniej wioski, gdzie budowano piec do wypieku chleba...

Całą noc dręczyły go senne koszmary – miał złowieszcze przeczucie, że nad jego domem przeleciał właśnie zły duch.

3

Wiejski sąd wysłuchał skargi Simona. Gdy ten skończył mówić, rozgorączkowani chłopci poderwali się z miejsc, otoczyli biedaka zwartym kołem i zgodnie jęli go krytykować: wyrzucali mu nielojalność, ogłuszająco krzyczeli, przeklinali, żądali, aby wycofał skargę i nie wszczynał sprawy, a najlepiej żeby zapomniał o całej tej „brudnej historii”³².

– Jeśli sąd uzna, że nie trzeba się grzebać w tej brudnej historii, i umorzy sprawę, to sam wymierzę temu łajdakowi sprawiedliwość! Zatłukę go!... Zabiję! Zamorduję!... – ryczał ogarnięty wściekłością Simon, a jego nabiegłe krwią oczy chciały nieomal wyskoczyć z orbit... Obok Simona, tuląc się do niego, stała i szlochała maleńka Marusz.

– Ojoj!... Myślałby kto, żeś taki chojrak, cudaku. Ale się piekli! Słyszycie?... Aż uszy bołą... – zauważył ktoś z tłumu, posyłając zarazem współczujące spojrzenie w kierunku oskarżonego.

Był nim Sandro, znany wiejski hulaka i awanturnik³³. W sukiennej cusze³⁴ i butach na wysokim obcasie z długimi cholewami, w czapce na bakier i z nonszalancko zarzuconą na ramię czerwoną chustą, stał obojętnie z boku i bezczelnie kpił sobie z Simona, drwiąc z jego bezsilnej

³¹ Imię Simon jest tu w oryginale poprzedzone wyrazem perskiego pochodzenia *usta* (z akcentem na ostatniej sylabie) oznaczającym „mistrza, majstra”. Widocznie jednak Simon cieszył się pewnym szacunkiem jako wykwalifikowany robotnik (AP).

³² Najwidoczniej w nocy, podczas której Simon przebywał poza domem, a opisaną w drugim odcinku niniejszego opowiadania, jego piękna żona padła ofiarą gwałtu dokonanego przez Sandra. Towarzyszył mu wspólnik, por. zdanie z odcinka drugiego: „... z głębokiego cienia pod drzewami wychynęły dwa groźne cienie, jęły się skradać do domku i... przeniknęły do środka” (AP).

³³ W oryginale występuje tu dialektały wyraz *loti* pochodzący od imienia biblijnego bratanka Abrahama – Lota (AP).

³⁴ W oryginale występuje tu ten sam wyraz (tureckiego pochodzenia), który dotarł także do języka polskiego w postaci *cucha* (po ormiańsku i po turecku: *czucha*, z akcentem na ostatniej sylabie) (AP).

wściekłości. Nic więc dziwnego, że w oczach otaczających go kompanów był oczywiście bohaterem.

– Zabiję go! Zabiję!... I wy będziecie za to odpowiadać!... – odgrażał się oburzony Simon, nie mogąc znieść lekceważącego stosunku sądu względem jego skargi.

– Ty, głupku, lepiej żony pilnuj! – wykrzyknął ktoś z tłumu, i wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Mieże litość, dobry człowieku, nie zabijaj go! Toż on taki młody!... – i znowu rozległ się huragan śmiechu.

A tymczasem wiejski starosta³⁵ – to śmiejąc się żartobliwie, to grożąc i złorzecząc Simonowi – żądał, by przestał się on awanturować i nie wywoływał skandalu. Jednak to mu się nie udawało.

– Zabiję łajdaka! Zniszczę!... – uparcie powtarzał Simon, ale wszyscy wiedzieli, że tego nie zrobi.

Któryś z kompanów Sandra odprowadził starostę na bok i coś mu szepnął do ucha. Ten po chwili odprowadził na bok Simona, objął go... i również coś mu tam szeptał.

– Nie chcę! – krzyczał Simon, wrywając się z jego rąk. – Nie chcę... Nie zgadzam się!

– Jak nie chcesz, to przedstaw w takim razie swoich świadków. Bo ja przystępuję do rozpoznania sprawy – stanowczo oświadczył starosta, przyjmując oficjalny wygląd.

Nie zbił tym jednak z tropu Simona, który wykrzyknął:

– Macie tu świadka, o!... – I wskazał na małą Maruszkę.

– To dziecko. Prawo nie uznaje nieletnich świadków.

– Ale moja żona też oskarżonego rozpoznała!

– Ona może kłamać. Zgodnie z prawem oskarżenie winno opierać się na faktach – groźnie i opryskliwie przekonywał starosta.

Ogarnięty rozpaczą Simon gotował się z wściekłości... Gotów był wręcz udusić starostę, który patrzył na niego obojętnym i nieczułym spojrzeniem.

– Jak zatem będzie?

³⁵ W oryginale *tanuter*, wyraz utworzony z elementów: *tan* (dopełniacz wyrazu *tun* „dom”) i *ter* „pan” (AP).

– A tak, że w celu wyjaśnienia sprawy zostanie przeprowadzone śledztwo. Twoją żonę zaprowadzę do doktora, żeby ją zbadał... i potwierdził...

Simon osłupiał. Krew raptem uderzyła mu do głowy, dziki grymas wykrzywił twarz: a więc stało się, oni już postanowili, już zdecydowali!...

– Natychmiast idźcie po jego żonę, przyprowadźcie ją tutaj! – rozkazał starosta.

Zrobiło się zamieszanie. Jedni przekonywali starostę, żeby zmienił zdanie, inni powstrzymywali ludzi skłonnych wykonać jego rozkaz, jeszcze inni wyzywali cudaka Simona za to, że niepotrzebnie rozdmuchał sprawę i nie zapobiegł „skandalowi”. Małeńka Marusz przyłgnęła do Simona i – kurczowo weń wtulona – spoglądała lękliwie to na niego, to na wykrzykujących wokół ludzi.

Wtem pojawiła się w drzwiach masywna, odziana w futro z wilczych skór, figura *agi* Petrosa – ogólnie szanowanego wiejskiego bogacza.

– Co się stało? Czemu tak hałasujecie? – z godnością zapytał *aga*.

I mimo że już wcześniej wiedział, o co chodzi, „ojciec wsi” z powagą wysłuchał relacji obecnych, po czym pokręcił głową i ciężko westchnął:

– Lepiej żebyście się pod ziemię zapadli... Bezwstydni ludzie, bez sumienia!...

Aga Petros wypowiedział te słowa z takim przekonaniem i z tak sakramentalną powagą, że wszyscy słuchający go chłopci opuścili głowy. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że w owej chwili poczuł nawet coś w rodzaju wyrzutów sumienia i że zrobiło im się wstyd za swoje postępowanie.

– A, to ten! Ten!... Widzicie go?... Niby honoru rodziny broni... a sam żonę okrył hańbą przed całą wsią!³⁶ – wypominali Simonowi.

– To co mam robić? Milczeć?! Mam milczeć, jak ktoś hańbi honor mojej rodziny, jak go wdeptuje w błoto?!

– A jeśli nie będziesz milczał, to co?...

– To go zabiję!...

– Panowie, wy jeszcze tutaj? – rzucił starosta, unosząc głowę. – Idźcież wreszcie po jego żonę.

³⁶ Niektórzy chłopci uważali, że Simon żonę okrył hańbą, skarżąc jej gwałciiciela Sandra przed sądem wiejskim (ponieważ wtedy cała sprawa publicznie się ujawniła) (AP).

– Stać! Ani kroku! – zagrmiał *aga* Petros. I znowu powstał tumult, wrzask, zamieszanie... „Ojciec wsi” i starosta wymienili między sobą kilka słów.

– Cisza, spokój!... Rozrechotali się jak żaby! Sandro, chodź tutaj! Oskarżony młodzieniec podszedł.

– Wyłóż pięć rubli!

– Pięć rubli! Za co?! Przecież nic aż tak złego nie zrobiłem...

– Dawaj pięć rubli!

– Ale to na nic, *ago*! Nie ma sensu...

– Może i nie ma, ale dawaj... no już! – rozsierdził się *aga*.

Sandro, uśmiechając się lekceważąco pod nosem, dał mu pięciorublowy banknot i zamierzał odejść.

– A ty dokąd? Stój!... Simon, podejdź no tutaj!

– Nie podejdę!... Nie mogę!... Mój honor nie jest na sprzedaż! Nie można nim kupczyć!

– Podejdź tu, mówię!

– Nie podejdę! – wyzywająco krzyknął Simon.

– Idźcie po jego żonę, to rozkaz! Ja nie żartuję! Macie ją natychmiast tu przyprowadzić! – znów wtrącił swoje starosta.

– Stać! Ani się ważcie! – zagroził *aga* Petros. – Simonie, podejdźże do mnie.

– No idź, idź!... Bierz forszę!

– Ale głupek... Zabieraj darmowe pieniądze, nie wahaj się, no już!... Kładź do kieszeni!... Toć przez cały rok za swoją pracę tyle nie dostaniesz... nie zarobisz piąta!...

– Wielkie rzeczy, myślałby kto... E, co tam?! Idź! Bierz i dobra!

Ogłuszonego hałasem i krzykiem Simona coraz mocniej popychano ze wszystkich stron ku Sandrowi – i dopchnięto. *Aga* Petros połączył ich dłonie, wsunął Simonowi pieniądze i tryumfalnie wykrzyknął:

– No to się teraz całujcie!

– Całujcie się, całujcie! – ochoczo podchwycili chłopci.

Oszołomiony Simon wysunął bezwiednie do przodu pochyloną głowę i gdy poczuł na ustach dotyk warg Sandra, wstrząsnął nim dreszcz. Tak! Stało się, wszystko już postanowione! Okropność... On tego nie przełknie, nie zniesie!...

– Hura! – huknęli na ten widok obserwujący ich chłopci. Pojednanie nastąpiło...

Kiedy sąd przeszedł do rozpatrywania innych spraw, Simon ujął maleńką Marusz za rękę i wolnym krokiem ruszył ku wyjściu³⁷.

Nagle w ślad za nim ktoś z lubieżnym chichotem rzucił:

– Ja dziesięć rubli daję, zgoda?

1894

thum. Stanisław Ulaszek

³⁷ Na tym kończy się tekst oryginału ormiańskiego w wydaniu *Dzieł* Howannesa Tumaniana z 1958 r. (wydawnictwo Hajpethrat, t. 1, s. 296). Dalszy ciąg („Nagle w ślad...”) pojawia się w rosyjskim przekładzie z 1969 r., który stanowi podstawę niniejszego tłumaczenia (Ованес Туманян, *Избранные произведения в трех томах*, издательство Айастан, том второй, „Рассказы, сказки, письма”, Ереван 1969, s. 57). Na ormiańskim portalu <https://pl.wikisource.org/wiki/> jest zamieszczony wschodnio-ormiański oryginał tekstu Tumaniana, pozbawiony dwóch ostatnich zdań występujących w przekładzie rosyjskim (AP).

Jak dziadek Gabo³⁸ jedwabniki hodował

Z dziadkiem³⁹ Gabo spotkaliśmy się w wąwozie Lori⁴⁰.

– He-e-ej, przyjacielu – radośnie wykrzyknął staruszek.

– A witaj, witaj!... Jak się masz?

– Twój uniżony sługa ma się dobrze. A jak się dziś miewają te nasze mądrale? Oni są całkiem jakby nie z tego świata, a takie niby uczone!... Nie uważasz?

– Czemu tak myślisz, dziadku Gabo?

– Bo oni chyba myślą, że wszystkie rozumy zjedli i że przed nimi żadnych rozgarniętych ludzi nie było. I ni stąd, ni zowąd dopadają prostego chłopca... i zaczynają wbijać mu do głowy, że pszczoły trzeba hodować tak a tak, *macun* zakwaszać tak a tak, siać inaczej, żąć inaczej!... I że obowiązkowo powinno się zakładać hodowle jedwabników! Zmiłuj się, Panie Boże! Toż to jakby wilkowi Ewangelię czytać! Niechby najpierw jeden z drugim ruszył mózgownicą i się zastanowił – czy wcześniej mądrych ludzi na świecie nie było?! Tfu!... Aż mi się kłąć zachciało!...

– Jednak sam widzisz... Ruszyli trochę mózgownicą.

– A gdzie tam, bratku, daj spokój!... Coś ci dla przykładu opowiem, a ty sam już decyduj, czy chłopci darmo chleb jedzą, czy jednak swój rozum mają. Którejś jesieni nasz Dawo⁴¹ poszedł do miasta, żeby sprzedać świnię. A tam jeden znajomy dał mu kokony jedwabników. „Zabierz je do domu – powiada – i załóżcie w waszych stronach hodowlę...” No to tak jak kazał, odczekaliśmy do wiosny, a kiedy przyszła, wepchnęliśmy te kokony mojej żonie za pazuchę, żeby się rozgrzały i żeby te jedwabniki się wylęły. No i wylęły się, a jakże!...

³⁸ Gabo – zdrobnienie imienia Gabriel (AP).

³⁹ W oryginale występuje tu wschodnioormiański wyraz dialektny *bidza*, który może odnosić się zarówno do dziadka, jak i do wuja/stryja (AP).

⁴⁰ Lori – wąwóz w północnej części Republiki Armenii (AP).

⁴¹ Dawo – zdrobnienie imienia Dawid (AP).

Takie maluskie czarne robaczki – jak koniuszek igły! A powiedz... tamte wasze mądrale chociaż wiedzą, co żrą jedwabniki?

– Liście morwy.

– Zuch, racja... Wybrałem się do wąwozu, przydźwigałem całe naręcze gałęzi morwy, przywiązaliśmy je w oborze do nogi skrzyni na ziarno i wytrząsnęliśmy na liście te czarne robaki. I choć sąsiedzi bardzo chcieli na nie popatrzeć, nikogo do środka nie wpuszczaliśmy, żeby czasem nie zauroczyli... Najpierw nam samym dajcie popatrzeć, mówiliśmy, co dalej z nich będzie... Ale po paru dniach wszystkie te nieszczęsne robaczyska zdechły! I niby od czego? Czyżby młode bawołatko za blisko było przywiązane i je zdeptało albo może kury wpadły do środka i je wydziobały? Nie wiadomo... Ale cóż było począć? Przecież ani kur za to nie pozabijasz, ani bawołatka nie zarzniesz... Zresztą może to z powodu deszczu? Toż woda akurat tam leciała przez dziurawy dach... Ale nie myśl czasem, że tak jest tylko u nas. Przecież i w mieście czasem deszcze padają. Tak czy owak, nic nam z tych jedwabników nie wyszło. Sam widzisz, nie może się jakoś w naszych stronach jedwabnictwo rozwinąć. I nie ma się czemu dziwić... Są takie kraje, gdzie ptaka nie uświadczysz, a w innych nawet pszenica nie rośnie... Każda kraina ma swoją naturę, swoje obyczaje... A nasi mądrale nijak tego zrozumieć nie mogą...

1899

tłum. Stanisław Ułaszek

Dwaj ojcowie⁴²

Zima 1896 roku stała się zimą pamiętnej rzezi⁴³. Garstka ocalałych uciekinierów z regionu Sasuńskiego⁴⁴ dotarła wtedy do Eczmiadzyn⁴⁵. Był wśród nich również pochodzący z wioski A. bardzo już stary ksiądz Sargis (Sergiusz).

– Pragnę ucałować prawicę wielbnego patriarchy – oświadczył strażnikom. I wpuszczono go do rezydencji katolikos⁴⁶.

⁴² W dwutomowym wydaniu oryginalnym *Dziel* (po ormiańsku: *Jerker*) H. Tumaniana z 1958 r. (wydawnictwo Hajpethrat, Erywań) nie ma tego tekstu w opowiadaniach opublikowanych na stronach 279-422. Oryginał opowiadania *Dwaj ojcowie* jest dostępny on-line na ormiańskim portalu: [https://pl.wikisource.org/wiki/\(AP\)](https://pl.wikisource.org/wiki/(AP)).

⁴³ Pierwszą falą masowych prześladowań Ormian w Turcji (na terenach historycznej Armenii Zachodniej) były pogromy z lat 1895-1896, por. M. Zakrzewska-Dubasowa, *Historia Armenii*, wyd. 2, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1990, s. 213. Kulminacją tych prześladowań było Ludobójstwo rozpoczęte w 1915 r. (AP)

⁴⁴ Sasun – miejscowość i góry położone w odległości około 70 km na zachód od jeziora Wan w południowo-wschodniej Turcji (historyczna Armenia Zachodnia), na południe od miasta Musz. Najwyższy szczyt, Meleto, ma 2967 m wysokości. Nazwa Sasun stała się popularna m.in. w związku z postacią głównego bohatera ormiańskiego eposu narodowego znanego jako *Dawid z Sasunu* (po ormiańsku: *Sasunci Dawit*), por. *Dawid z Sasunu. Epos staroormiański*, przeł. z ros. I. Sikirycki, Nasza Księgarnia, Warszawa 1967 (AP).

⁴⁵ Eczmiadzyn – por. przypis 46.

⁴⁶ Apostolski Kościół Ormiański (odłączony od Kościoła powszechnego w połowie VI wieku) ma dwóch zwierzchników zwanych katolikosami (inaczej: patriarchami). Jeden rezyduje w Eczmiadynie (Republika Armenii, na zachód od Erywanii), a drugi – w Antelias (Liban). Ten drugi nosi tytuł katolikos Wielkiego Domu Cylicji. Por. M. Ormanian, *Kościół Ormiański. Historia, doktryna, zarząd, reguły kanoniczne, liturgia, literatura, stan współczesny*, przeł. z franc. K. Stopka, Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, Kraków 2004. Najniższej rangi duchowni Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego byli określani terminem *ter* (dosłownie: „pan”). Zawierali małżeństwa. Ich potomkowie nosili nazwiska rozpoczynające się wyrazem *ter*. A więc np. nazwisko typu Ter-Petrosjan oznaczało potomka księdza Petrosa (Piotra) (AP).

– Witaj, drogi ojcie – rzekł patriarcha⁴⁷, wyciągając do gościa rękę. Ten ją pocałował, po czym się cofnął i zastygł nieruchomo pośrodku komnaty – stropiony, zagubiony, zmęczony...

– Skąd przybywasz?

– Z regionu Sasuńskiego... ze wsi A. Jestem *ter* Sargis...

– *Ter* Sargis z A.?

– Tak, Wasza Świątobliwość.

– I co się tam wydarzyło? Opowiedz...

– Miałem liczną rodzinę, dwudziestu synów, Ojcie. Wszystkich mi zabili, synowe uprowadzili... wnukowie gdzieś przepadli, pogubili się... a mój dom – rozgrabiony, spalony, zostałem z niczym...

– I co teraz poczniesz?

– Nic, Wasza Świątobliwość, i niczego nie chcę... Ja tylko... tak po prostu przyszedłem, żeby Ojcu powiedzieć...

Tak oto przed patriarchą stał nieszczęśliwy człowiek, który wszystko utracił – i niczego nie chciał...

Obaj milczeli.

– Ilu synów straciłeś, ojcie Sargisie? – zapytał katolikos, unosząc głowę.

– Wszystkich dwudziestu, Ojcie.

– Ty straciłeś dwudziestu, a ja dwadzieścia tysięcy⁴⁸ – odrzekł katolikos. – I jeszcze raz dwadzieścia... i jeszcze raz... Ile to razem będzie?... Który z nas większą poniósł stratę, ojcie Sargisie?

Duchowny nadal stał, milcząc, i tylko się wzdrygnął.

– Czyj ból zatem jest większy, ojcie Sargisie?

– O, Chryste Panie!...

– No cóż... podejdź, ojcie Sargisie, podejdź bliżej... I połóż na mej głowie swoją prawicę, zanieś do Boga błagalną modlitwę i pobłogosław, abym zdołał tę swoją boleść jakoś znieść, abym jakoś wytrzymał...

To powiedziawszy, patriarcha skłonił głowę.

⁴⁷ Patriarcha – tzn. katolikos (por. przypis 46).

⁴⁸ Katolikos (patriarcha) ezmiadżyński ma tu prawdopodobnie na myśli liczbę Ormian zabitych w Turcji w czasie pogromów z lat 1895-1896, por. M. Zakrzewska-Dubasowa, *op. cit.*, s. 213: „Ogólna liczba ofiar w latach dziewięćdziesiątych doszła do 300 000” (AP).

Ter Sargis pospieszył ku niemu, swoją prawą dłoń położył na głowie patriarchy i jął mamrotać słowa modlitwy, a jego oczy napełniły się łzami...

Błogosławił katolikosa Ormian.

Przed nim klęczał Ojciec Ormian.

1907

tłum. Stanisław Ułaszek

Ahmad

1

Wiosny swego dzieciństwa spędzałem w naszych górach. Pokochałem dom babci i stale u niej mieszkalem. Mój młodszy „wujcio” Ahmad był pastuchem. Często mnie ze sobą zabierał, gdy wyprowadzał stado na pastwisko... Ach, jak ja wtedy dokazywałem z jagniętami! Niekiedy Ahmad przynosił mi z pastwiska gałązki porzeczek z czerwonymi owocami. A wieczorami lubił grywać na fujarce.

W gwiazdziste księżycowe noce wszyscy domownicy – dziadek, babcia, bracia matki i ja – zbieraliśmy się wokół dużego ogniska, klaskaliśmy w ręce, a dorośli prosili, żebym tańczył... i zawsze ochoczo w owym świetlistym kręgu wirowałem, podskakiwałem... fruwałem jak motylek.

Ahmad to tureckie⁴⁹ imię. Kiedy na obiad wszyscy jedliśmy wieprzowinę, domownicy zazwyczaj pokpiwali sobie i żartowali z Ahmada: kto by pomyślał, że tak się do nas upodobni?... Popatrzcie – Ahmad już prawie całkiem jak Ormianin się stał!

Usłyszawszy to imię, każdy by oczywiście pomyślał, że chłopiec jest Turkiem, dość jednak było wejść do naszego domu, aby zrozumieć, że był on nie tylko członkiem tej ormiańskiej rodziny, ale też wielkim jej ulubieńcem.

Ahmad zapraszał do domu, kogo chciał – przyprowadzał wędrowców, częstował ich i odprowadzał – zgodnie ze zwyczajem, jak należy... Jeżeli żebrak prosił o jałmużnę albo sąsiad przychodził pożyczyć chleba, Ahmad załatwiał to sam, nikogo nie prosząc o pozwolenie.

On też w domu trzymał w ryzach młodszych od siebie – komendował nimi, czasem sprawiał im lanie, ale zdarzało się, że i przytulił, i popieścił... podobnie zresztą jak inni matczyni bracia.

⁴⁹ Dokładniej – arabskie. Ahmad pochodzi od pierwiastka czasownikowego H-M-D „chwalić; dziękować” i znaczy: „pochwalny, chwalebny”. Imię Muhammad (Mahomet) „chwalony” również pochodzi od tego samego arabskiego pierwiastka (AP).

Najbardziej jednak troszczył się o gospodarskie bydło – za domowe zwierzęta duszę gotów był oddać. Gdy któreś z nich zapadało na zdrowiu, to i on ślaniał się jak dotknięty chorobą, tak serdecznie był do nich przywiązany.

Wszyscy kochali Ahmada. Kiedy niedomagał, radość dom opuszczała. Cały dzień babcia i dziadek czuwali przy pościeli chorego, przynosili mu i podsuwali do zjedzenia najsmaczniejsze kąski, i wciąż się dopytywali, czego jeszcze życzyłoby sobie jego serce.

2

Któregoś razu, kiedy rano wstałem, uderzyło mnie, że wszyscy domownicy snuli się po kątach jakoś dziwnie przygaszeni i smutni.

Babcia ze łzami w oczach krążyła po pokoju, nie wiedząc, za co się wziąć. Synowe i dziewczęta, milczące i zmartwione, to się pojawiały w namiocie, to znikały. Przed wejściem siedział dziadek i gawędził z Ahmadem, a trochę dalej, ponuro zwiesiwszy głowy, siedzieli matczyni bracia.

– Niech Bóg ci dopomaga, synu, i ma w swojej opiece! – mówił dziadek. – Niech zazielenią się kamienie, po których będziesz stąpał! Niech w trudnych chwilach nie opuszcza cię wesołość... No, pora już... Wstawaj! Czas leci, a droga przed tobą daleka. Wstawaj, kochany... Szczęśliwej drogi! Niech Bóg nad tobą czuwa, aby nie potknęła się twoja noga o kamień.

Ahmad otarł łzy połą cuchy, wstał i podszedł do dziadka. Ten, wzruszony, objął go, ucałował i także się rozplakał.

– Niech na pożytek nam zostanie twoja praca, Ahmadzie, a wspomnienie gościny w tym domu niechaj ci będzie jako mleko matki! Nie zapominaj o nas! Jak ci się w życiu poszczęści, daj znać – wraz z tobą będziemy się radować, a jak ci będzie źle, też daj nam znać – pomożemy. No, ruszaj... I obym to ja w złej godzinie stał się ofiarą miast ciebie!⁵⁰ Szczęśliwej drogi, synu, niech cię Bóg prowadzi!

⁵⁰ Zdanie to jest rozwinięciem krótkiej ormiańskiej formuły grzecznościowej *kez matagh*, która dosłownie znaczy: „tobie ofiara” (w sensie: „obym został złożony w ofierze za ciebie”) (AP).

Potem babcia objęła i ucałowała Ahmada, a po niej – we łzach – wszyscy inni domownicy rzucili się całować i ścisnąć odchodzącego. My, dzieci, staliśmy nieruchomo, w milczeniu. Na pożegnanie Ahmad ucałował i nas, po czym ruszył w drogę, goniąc przed sobą dwie krowy, cielę, bawolicę z bawolątkiem, owcę i objuczonego osła, za którym biegły dwa podwórzowe psy.

Maczyni bracia poszli go odprowadzić.

– Bóg z tobą, kochany Ahmadzie!⁵¹ Obyś dotarł do domu szczęśliwie! – wykrzykiwał w ślad za odchodzącym dziadek, przyłożywszy rękę do czoła niby do daszka wojskowej czapki.

3

Niedługo po tym, jak Ahmad zniknął za górą, wrócili maczyni bracia.

„Dlaczego wszyscy tak płakali? I gdzie sobie poszedł «wujcio» Ahmad?” – pytałem w myśli samego siebie, lecz odpowiedzi nie było.

– *Nani*⁵², a gdzie poszedł Ahmad? – postanowiłem zapytać babcię.

– Do swego domu – odparła.

– A gdzie jest jego dom?

– W innym miejscu, nie tutaj.

– To kim właściwie jest Ahmad?...

– Ahmad jest Turkiem. U nas on tylko pracował jako sługa⁵³... Ale mieszkał z nami... tyle lat! A teraz cóż? Zabrał to, co zarobił – i odszedł...

– I już więcej nie przyjdzie?

– Nie, dziecinko⁵⁴, nie przyjdzie...

1908

tłum. Stanisław Ulaszek

⁵¹ W oryginale występuje tu konstrukcja: *Ahmad-dżan!*, której drugi element jest perskim rzeczownikiem o znaczeniu „dusza”, tu wyrażającym sympatię do drugiej osoby. Dodanie do imienia formy *dżan* odpowiada (w języku ormiańskim) polskiemu zdrobnieniu lub konstrukcjom opisowym typu: „kochany...!” (AP).

⁵² *Nani* – pieśczętliwa forma wyrazu *tat* „babcia”, por. *nan* „mama, mamusia” (por. przypis 25) (AP).

⁵³ W oryginale: *carra* – „sługa, służący” (AP).

⁵⁴ W oryginale: *bala-dżan*. Pierwszy element (*bala*) to dialektałny ormiański wyraz oznaczający „dziecko”, a drugi został objaśniony w przypisie 51 (AP).

Zakład

1

Przylegające do siebie góry tworzą tam wielki wąwóz Mut-dzor⁵⁵.

Ów graniczny wąwóz oddziela od siebie Turków⁵⁶ i Ormian. Po jednej stronie rozbijają swoje namioty i koczują tureccy pasterze, po drugiej – ormiańscy.

W nieprzeniknionych nocnych ciemnościach najodważniejsi⁵⁷ z nich pokonują głęboką przepaść i kradną sobie nawzajem bydło: jedni drugim porywają i uprowadzają owce, konie, krowy, bawoły... Pasterze niekiedy doganiają złodziei na pastwiskach i okładają ich wtedy kijami, ile wlezie.

Oto na zboczu góry rozlega się gromki, przeciągły krzyk: „Hawa-a-ar, he-e-ej!”⁵⁸. Ów alarmujący, rozdzierający głos zwiastuje nieszczęście, wzmaga się, rozlewa po górach – i natychmiast w obu koczowiskach po przeciwległych stronach wąwozu budzi przerażenie, wywołuje popłoch.

⁵⁵ *Mut-dzor* znaczy dosłownie (po ormiańsku) „Ciemny wąwóz” (AP).

⁵⁶ Ormianie nazywają Turkami (*Turk*) zarówno swych zachodnich sąsiadów (obywateli Republiki Tureckiej), jak i wschodnich: Azerów/Azerbejdżan (obywateli Republiki Azerbejdżanu). Obydwie te nacje są ze sobą blisko spokrewnione. Ich języki niewiele się od siebie różnią. Dawniej wsie ormiańskie i tureckie/azerbejdżańskie były na dużym obszarze południowego Kaukazu przemieszane. Trzecim elementem etnicznym tych ziem byli Kurdowie, mówiący językiem spokrewnionym z perskim (ludy irańskie to m.in. Persowie, Tadžycy, Kurdowie, Pasztuni, Osetyjczycy) (AP).

⁵⁷ W oryginale występuje tu rzeczownik pochodzenia tureckiego *igit*, por. turecki wyraz *yığit* (obecnie wymawiany: *jijit*) o znaczeniach: 1. „chwat, zuch, junak”, 2. „dzielny” (L. Antonowicz-Bauer, A. Dubiński, *Słownik turecko-polski, polsko-turecki*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1983, s. 247) (AP).

⁵⁸ *Hawar* – ormiański wykrzyknik o znaczeniu typu: „na pomoc! ratunku!”. Prawdopodobnie forma ta pochodzi od perskiego czasownika *âvordan* „przynosić”, którego tryb rozkazujący może mieć postać *âvar!* „przynieś!” (AP).

2

Turek Kapycz-oghły⁵⁹ rozbił koczowisko po jednej stronie Mut-dzoru. Wyzywająco i groźnie spoglądał stamtąd na Ormian, którzy swoje namioty rozbili po przeciwnej stronie. Jego ludzie słynęli w górach jako najbardziej śmiali i bezwzględni złodzieje. Znajdowali u niego schronienie nie tylko pojedynczy bandyci, którzy uciekali przed wymiarem sprawiedliwości, ale i całe przedostające się przez góry szajki rozbójników, którym pod jego dachem nie groziło już żadne niebezpieczeństwo.

3

Ktoregoś razu, pod wieczór, Kapycz-oghły siedział w swoim namiocie i prowadził rozmowę z przybyłymi, podobnymi do niego, gośćmi. Byli to znani rozbójnicy, których drogi wiodły przez góry.

– A czemu twoje chojraki nie przetrzepią tych nędznych Ormian jak należy? – wyraził zdziwienie jeden z owych gości, który był Kurdem⁶⁰.

– Aż tak bezbronni, jak ci się może wydawać, to oni jednak nie są – odparł gospodarz.

– Oni?! Akurat!... – niedowierzająco parsknął Kurd.

– Tak, tak... właśnie oni. Jest pośród nich jeden pasterz⁶¹, Czati na niego wołają... To dopiero chwat! Ja prawdziwym bohaterem nazwę tego spośród was, który będzie miał śmiałość zmierzyć się z nim w walce!

– E tam, gadanie! – oburzył się dotknięty do żywego rozbójnik. – Co mi dasz, jeśli tej nocy jeszcze tak ich załatwię, że rano nawet jednego dymu po tamtej stronie nie będzie?

– Niebieskiego⁶² konia ci oddam.

– Dobra! Przyjmuję!

⁵⁹ Forma *Kapycz-oghły* prawdopodobnie pochodzi od tureckiego imienia osobowego *Kapadży-oghlu(oghly)*, które znaczy „syn odźwiernego” (AP).

⁶⁰ O Kurdach była mowa pod koniec przypisu 56 (AP).

⁶¹ W oryginale występuje tu turecki wyraz *czoban (çoban)* o znaczeniu: „pasterz, pastuch” (AP).

⁶² „Niebieski koń” ma tu charakter symboliczny. Kurd zakłada się z Turkiem bez zamiaru dania mu rzeczywistej rekompensaty. Chodzi o czysty „zakład dla zakładu”, ambitne pokazanie partnerowi, kto będzie miał rację (AP).

Klepnęli jeden drugiego prawymi dłońmi na znak zgody.
Zakład został zawarty.

4

Aż strach, jak ciemne noce bywają w Mut-dzorze!

To była właśnie taka okropna noc; w dodatku nieustannie lał deszcz, smutny, dokuczliwy, przygnębiający... Nad pogrążonym we śnie ormiańskim koczowiskiem rozlegały się od czasu do czasu stłumione pokrzykiwania „He-ej, he-ej!”. To nawoływali się pasterze trzymający wartę, dając innym znać, że nie śpią.

Lecz oto po północy w pobliżu namiotów rozległ się donośny odgłos kopyt galopujących koni. Psy się zerwały, rzuciły w pogoń, owce szalały ze strachu, bydło i konie się rozpieczęły. „Hawar!” – wrzeszczeli pasterze, huknęły strzały... W głębokim mroku nocy do szumu ulewy dołączyły jeszcze grzmoty, przeraźliwe krzyki, hałasy, tumult... I noc zmieniła się raptem w prawdziwe piekło.

– Zabrali psy! Niedobrze!... Pilnować bydła, e-ej! – zagrzmał mocarny głos wielkoluda Czatiego.

– Zabrali psy... – rozlegały się głosy ze wszystkich stron i trwoga ogarnęła koczowników. W górach każdy wiedział, co to znaczy „zabrać psy”.

Najczęściej złodzieje – jeden lub dwóch – wpadają gwałtownie do koczowiska, aby wystraszyć owce, konie i bydło, po czym odjeżdżają. Psy rzucają się za nimi w pogoń, a złodzieje albo je trują, albo odciągają za sobą jak najdalej. I dopiero potem, gdy w całym koczowisku panuje chaos i nie ma w nim ani jednego psa, pojawiają się kompani tych pierwszych, którzy korzystając z zamieszania i ciemności, wprowadzają zwierzęta.

Nieco później dochodzi do ponownego napadu; i znów hałasy, krzyki... znów strzelanina. W ciemności wszystko się skotłowało, zmieszało i runęło w dół, do wąwozu – pasterze, złodzieje, bydło...

W nieprzeniknionej ciemności kompletnie nic nie było widać. Błyskawice tylko na moment oświeślały przerażający obraz walki ormiańskich pasterzy z rozbójnikami, ludzkie oko nie mogło czegokolwiek dojrzeć w owej nocnej szamotaninie. I jakkolwiek zobaczyć niczego

nie było można, to wystrzały i krzyki pastuchów: „Uprowadzili!... ukradli! *Alabasz*⁶³, ej!...” mówiły o tym, w którym kierunku oddalali się rozbójnicy.

Krzyki stopniowo słabły, stawały się coraz cichsze, aż wreszcie umilkły zupełnie. Teraz już tylko monotonnie szumiał deszcz i daleko w górach rozlegały się grzmoty towarzyszące uderzeniom piorunów.

5

Przed świtem zadowoleni młodzi pasterze wrócili. Jeszcze z oddali w gęstej mgłę dało się słyszeć ich wesołe głosy i śmiech. Cały uprowadzony inwentarz bez uszczerbku zwrócili właścicielowi⁶⁴, po czym zebrali się w namiocie Czatiego, żeby coś niecoś przekąsić.

Przynieśli też ze sobą zdobyte w nocnej akcji trofea – kurdyjską czapkę⁶⁵, tarczę i szablę. Po całym koczowisku natychmiast rozniosła się wieść: chłopacy zabili jakiegoś Kurda! Zbiegli się ciekawscy, stłoczyli przy wejściu do namiotu.

Matka Czatiego gotowała jedzenie dla pasterzy i zawodząco mruczała pod nosem:

– Ech, synku, on też miał swoją matkę... A teraz ona, synku, oczu od drogi oderwać nie może, jego powrotu wypatruje i czeka... I się zamartwia: dlaczego syn nie wraca... nie idzie do domu? Ech, synku, ona od drogi oczu nie odrywa, powrotu dziecka wypatruje...

Inne przebywające w namiocie kobiety cicho wtórowały zawodzącej gospodyni, potakująco kiwając głowami.

A tymczasem pasterze opowiadali, jak się sprawy miały:

– Okrążyliśmy ich z czterech stron, wpędziliśmy do wąwozu. A tam zaczęliśmy coraz bardziej zaciskać pierścień... Oni zostawili wtedy całą zdobycz – i chodu!... Ja za jednym Kurdem pobiegłem – ciągnął Czati – przyparłem go do skały... Raptem widzę: odwraca się, wyciąga

⁶³ *Ala basz* – po turecku dosłownie: „kolorowa (pstrokata) głowa”, por. alabaj – rasa środkowoazjatyckiego psa (fragment niejasny) (AP).

⁶⁴ W oryginale występuje tu wyraz *sarwor* oznaczający ormiańskich chłopów, którzy latem zabierają swoje stada na wypas w góry (AP).

⁶⁵ W oryginale Tumanian użył tu ormiańskiego dialektnego wyrazu *koloz*. W rosyjskim przekładzie mamy *baszłyk*, wyraz tureckiego pochodzenia (AP).

szablę – i na mnie! A przy tym wrzeszczy: „Ratuj skórę, bo cię na pół rozwałę!”. „Mnie... na pół? – myślę. – O nie, bratku!... chciałbyś... niedoczekanie!” I jak nie zakręcę tym swoim kosturem, jak się nie zamachnę, aż wreszcie – jak go nie trza-a-a-snę!...

– I dobrze, dostał za swoje! – wykrzykiwali koczownicy.

– Zwalił się... Rąbnął tak, że aż ziemia jęknęła – zakończył swoją opowieść Czati.

– Cha, cha, cha, cha... – zaśmiewali się rozbawieni pasterze.

6

Od tamtego zdarzenia minęło kilka tygodni. I oto pewnego razu psy jęły gwałtownie ujadać. Ludzie wyszli, patrzą... – staruszek Kurd stoi poniżej koczowiska i coś wykrzykuje.

– O co chodzi? Czego chcesz, kumie⁶⁶?

– Chcę mówić z pasterzem Czatiem – powiada.

Zaprowadzono go więc do właściwego namiotu. Czati przygotował dla gościa poczęstunek. Kiedy ten jadł, gawędzili sobie o tym i owym. Kiedy zaś starzec skończył, Czati powiedział:

– To dobry znak, że tu jesteś, kumie. Powiedz, po co przyszedłeś?

– Parę tygodni temu zabiliście tu jednego Kurda... – zaczął gość.

– To prawda – odrzekł pasterz.

– Powiadają, żeś ty go zabił.

– Mówią prawdę.

– Ja jestem jego ojcem – oznajmił starzec. – Przyszedłem, aby ci wybaczyć, żeś przelał jego krew. Bo nie jak bandyta napadłeś go na drodze, nie zabiłeś pośród stada owiec ani nie w domu... tylko w walce. Ileż razy do niego mówiłem: „Synu, zejdź ze złej drogi, trzymaj się jak najdalej od swoich kompanów, nie zajmuj się grabieżą, bo przecież nie dla twojej korzyści ludzie tak ciężko pracowali...”. Wszystko na nic, nie słuchał... Widać taką musiał znaleźć śmierć, jaką z twojej ręki znalazł... – powiedział Kurd i zamilkł, opuściwszy głowę.

⁶⁶ W oryginale występuje tu kurdyjski wyraz *kirwa* oznaczający bliskiego krewnego; inaczej *kriw*, por. *kirîv* (S. Qazzaz, *The Sharezoor Kurdish-English Dictionary*, Erbil 2000, s. 439) (AP).

– Bądź mocny w swojej wierze; to, co mówisz, jest słuszne – ozwali się ze wszystkich stron koczownicy i również zamilkli.

– Niech wybaczona ci będzie jego krew! – wykrzyknął starzec. – Tylko że jego matka... sam rozumiesz – matka... nijak nie może zaznać spokoju... Zwróć mi jego rzeczy, odniosę je do domu, niech chociaż nad ubraniem syna matka się wypłaczę, niech znajdzie ulgę, załagodzi trochę rozpacz i ból!

Czati przyniósł i oddał starcowi zakrwawioną czapkę, tarczę i szablę, po czym – goniąc przodem owcę – powiodł gościa jak najdalej od psów i wyprowadził na drogę.

– No, synku, niechaj los wam sprzyja... – pożegnał się stary Kurd.

– Życzymy ci szczęśliwej drogi, kumie.

1908

tłum. Stanisław Ulaszek

O tym, jak w naszych górach pojawiła się droga żelazna

W roku 1898 dopiero co zaczęła funkcjonować kolej łącząca Tyflis z Karssem⁶⁷. Na jednym z osiedli w prowincji Lori rozsiedliśmy się o zmierzchu na pniach przed domem papcia Uhanesa⁶⁸ i ucieliśmy sobie pogawędkę. Papcio Uhanes opowiadał nam o tym, jak się w tych stronach zaczynało budowanie drogi żelaznej.

– Razem z Simonem ścinaliśmy wtedy łożę na dolnym trzęsawisku... – Tak papcio zaczął swoją opowieść. – Aż raptem nad rzeką zobaczyliśmy kilku ludzi w białych kaszkietach... Wyruszyli z dołu, szli wzdłuż brzegu i coraz wyżej wspinali się po zboczu, coraz wyżej i wyżej...

– Ej, Simon – powiedziałem wtedy do swego pomocnika.

– No, czego znów?...

– To dziwne, chyba coś się za tym kryje... – mówię.

– A niby co ma się kryć? – odburknął. – Spacerują sobie albo pomylili drogę...

– Nie... – powiadam – w tym coś jest, przekonasz się za jakiś czas.

Po robocie wróciliśmy do wioski, patrzymy – a na dachu młyna Tersjanów biała tyczka sterczy!

– Ej, Simon... – mówię.

– Co?

– Teraz widzisz? – pytam. – Widzisz?!

A on mi na to:

– No i co w tym dziwnego?

– Trochę zaczekaj – mówię. – Wkrótce sam zobaczysz.

⁶⁷ Miasto Kars jest położone na terenie, który do końca pierwszej wojny światowej (od 1877 r.) należał do Rosji. Obecnie (tak jak i przedtem) leży na terenie Turcji (AP).

⁶⁸ Uhanes – dialektna forma ormiańskiego imienia Howannes (Jan). Wyrazowi „papcio” w oryginale odpowiada *bidza*, por. przypis 39 (AP).

Niedługo potem widzimy – gazetę przynieśli! A w niej wyraźnie napisane, że tu, w naszych stronach, buduje się drogę żelazną...

– No, Simon... – mówię.

– Czego?

– Teraz widzisz, że moje słowa się sprawdziły?

– A bodajś się nimi udławił! – wtrącił myśliwy Osep⁶⁹.

– Czemu tak mówisz, chłopie? Co złego jest w drodze żelaznej? Komu ona zaszkodzi... i niby w czym? – włączali się do rozmowy coraz to inni mieszkańcy wioski.

– Zaszkozi, zaszkozi... I to jak! Przyszła, rozwrzeszczała się, hałasu w wąwozach narobiła... Żadnej łani już w lesie nie uświadczysz, sarny też gdzieś przepadły, wszystkie zginęły...

– Mało że łanie i sarny... wkrótce i po mnie nic nie zostanie – dodał pastuch wsparty na swoim drewnianym kosturze. – Jak stanę na wierzchołku góry, jak spojrzę na te rozryte wąwozy... Serce się krwią oblewa! To jakby wrogie łapska dziecko człowiekowi na jego oczach rozdzierały, a on nie może mu przyjść z pomocą...

– A pewnie, co by nie mówić, niejedno tu się jeszcze zmarnuje... – przytakiwali inni wieśniacy.

I rozgorzał spór. Spierano się o to, czy droga żelazna przyniesie ludziom korzyść, czy raczej szkodę.

W trakcie owej sprzeczki wyszedł z wąwozu jeden z przybyszów, którzy pracowali przy budowie kolei, wdrapał się wyżej, podszedł do dyskutujących chłopów i powiedział:

– Dobry wieczór wam.

– Witaj, panie majster!⁷⁰

– Potrzebuję miarkę mąki, kto może mi sprzedać? – z takim pytaniem zwrócił się do nas ów obcy człowiek⁷¹.

– A skąd ty jesteś, panie majster, z jakich stron? – zapytał przybysza papcio Uhanes.

– Z osmańskiej ziemi pochodzę.

⁶⁹ Osep – dialektałna forma ormiańskiego imienia Howsep (Józef) (AP).

⁷⁰ W oryginale *usta*, por. przypis 31 (AP).

⁷¹ Ów obcy człowiek odezwał się do obecnych Ormian prawdopodobnie po turecku, na co wskazuje dalszy ciąg rozmowy (AP).

– To zapytaj go jeszcze, papcio, z jakiego miasta tu przywędrował – rzucił któryś z wieśniaków⁷².

– A jak się twoje miasto nazywa, przyjacielu? – ponownie spytał gościa papcio Uhanes.

– Siwas.

– Si-i-i-was... – przeciągle i z wielką powagą powtórzył papcio Uhanes.

– Co, co? Jak on powiedział? – rozległo się z kilku stron.

– Powiedział – Siwas...⁷³

– Uch, oby nie zawalił się twój dom! – paru chłopów klasnęło w dłonie i się roześmiało.

– Ile czasu potrzeba, żeby z twoich stron dotrzeć aż tutaj... do nas? – pragnął się dowiedzieć papcio Uhanes.

– Trzy miesiące.

– Oho ho!... – jednym głosem wyrazili zdumienie wszyscy słuchający.

– Siadaj przy nas, gościu przybyły z daleka⁷⁴, prosimy!... Zaraz ci chleba przyniosą, przekąsisz razem z nami...

– Nie, dziękuję – czas nagli! Muszę wracać... Kto może mi sprzedać miarkę mąki?

– Ej, jest tam kto?! – wykrzyknął papcio Uhanes w stronę domu. – Przynieście temu człowiekowi miarę mąki. Ale solidną... z czubem!

Jedna z synowych⁷⁵ papcia Uhanesa przyniosła miarę mąki i chciała ją przesypać do worka przybysza, ale ten nie pozwolił.

– Ile płacę?

– Najpierw przesyp do worka.

– Nie mogę, zanim nie poznam ceny...

⁷² Z treści tej wypowiedzi wynika, że ów wieśniak ormiański nie znał języka tureckiego, w którym przybysz zwrócił się do zebranych z prośbą o miarkę mąki. Papcio Uhanes, jak widać, umiał mówić po turecku (AP).

⁷³ Siwas (we współczesnej łacińskiej pisowni tureckiej: Sivas) to turecka nazwa starożytnej Sebastii. Miasto to leży w środkowej Turcji, daleko od ziem zamieszkałych przez Ormian, którzy są bohaterami tego opowiadania (AP).

⁷⁴ Tak Ormianie wyrażali życziwe nastawienie do przybysza (AP).

⁷⁵ Użyty tu w oryginale ormiański wyraz *hars* oznacza zarówno „synową”, jak i „pannę młodą” (podczas zawierania małżeństwa) (AP).

– Przesypuj, przesypuj, ceny później się dowiesz, a jak ci będzie za drogo, raz dwa przecież możesz wysypać z powrotem.

Majster podstawił swój worek, synowa przesypała do niego mąkę i wróciła do domu.

– To ile mam zapłacić? – spytał majster, wyjmując pugilares zza pazuchy.

– Nic, bracie... Nic nie masz płacić, jedź sobie na zdrowie! W naszym kraju pieniędzy za chleb od wędrowców się nie bierze, nie mamy takiego zwyczaju... – oświadczył papcio Uhanes i jął nabijać fajkę.

Zaskoczony i wyraźnie stropiony przybysz najpierw się trochę wahał, wymawiał, ale po chwili odszedł z mąką.

Po jego odejściu wieśniacy przez pewien czas milczeli, a potem jeden z nich rzekł:

– Do mnie na dniach też taki jeden przyszedł. „*Macun* chcę kupić” – powiada. Synowe postawiły przed nim *macun*, wypił, wstał od stołu i mówi: „Ile mam płacić?”. „O czym ty gadasz, człowieku?”, pytam się go. „Ale przecież *macun*... wypilem...” „Idźże lepiej, człowieku, swoją drogą i nic już nie mów, bo od takiego gadania to owcom mleko może wyschnąć...”

– To co mamy dalej robić, bracia, jak postępować?... Wychodzi na to, że jeśli ktokolwiek teraz do nas przyjdzie, to niech sobie je, pije... i jeszcze ze sobą weźmie? A ilu dotąd takich było? Ja już straciłem rachubę. Dopiero co jednemu też miarkę mąki dałem... Długo jeszcze tak będzie? I do czego to doprowadzi? – wtrącił młodszy brat papcia Uhanesa.

– Ilu by jeszcze nie przyszło, każdemu dawaj! – podniósłszy głowę, spokojnie przemówił papcio Uhanes.

– Oby pomyślność i dostatek wiecznie mieszkwały w twoim domu – mruknęło nabożnie kilku staruszków. Ale jeden zaoponował:

– Czyli tak już ma być... i dobrze! Od tego majstra z Siwasu się zaczęło, a potem... ktokolwiek się pojawi, każdemu miarkę mąki szykuj, jakbyś tylko na nich pracował... Byle kto przyjdzie – witaj, zapraszamy! No, nie! Chcesz jeść, bratku? – Możesz... ile chcesz, ale nie za darmo – pieniądze trzeba płacić!...

I z nową siłą rozgorzał spór. Papcio Uhanes także się gorączkował – zewsząd było słychać mocno podniesione głosy.

– U-u-u... U-u-u...

Huczał i dudnił przejeżdżający wąwozem pociąg.

Pierwszy raz pojawił się on w naszych górach.

1908

tłum. Stanisław Ułaszek

Jeleń

We wrześniu mieszkający w naszej wiosce myśliwy Owsep zabrał mnie na nocne polowanie w wąwozie Jeghnut. Tam wieczorami przychodzą jelenie, pasą się na polanach, przed świtem idą do wodopoju, a rano odchodzą i znikają w jaskiniach.

Postanowiliśmy spędzić noc w szałasie ogrodnika Owakima⁷⁶, aby z samego rana wyruszyć na miejsce.

Było nas trzech: ja, myśliwy Owsep i wiejski chłopak, pomocnik Owsepa.

Szliśmy przed siebie ochoczo i radośnie, w nastroju, jaki zazwyczaj ogarnia mężczyzn ruszających na łowy. W drodze rozmawialiśmy o polowaniu.

– Tam wszystko zależy od szczęścia! – mówił Owsep. – Jeśli go zabraknie, ani się obejrzysz, jak po zwierzynie nawet śladu nie będzie. Zresztą nienawykły człowiek nawet jej nie zobaczy: wzdrygnie się, w drugą stronę spojrzy... i przegapi okazję. Jak tylko zauważysz zwierzę, twoja strzelba powinna natychmiast wypalić. Musi zawczasu być gotowa, bo w przeciwnym razie jeleń szybki jak wichur ucieknie w góry.

– A jak ty, wujciu Owsepie, podchodzisz zwierzynę?

– Dobry myśliwy nie będzie chodził za zwierzyną, ale zaczai się w kryjówce – mówił Owsep. – Bo on wie, kiedy i gdzie zwierzyna się pojawia, toteż będzie czekał na nią w zasadzce. A jeśli nawet zacznie ją tropić, to cichuteńko, żeby go nie wyczuła; bo dzikie zwierzęta mają taki węch, że jak tylko człowieka poczują, natychmiast znikają w gęstwinie.

Tak sobie gawędząc, dotarliśmy wieczorem do szałasu ogrodnika Owakima. Staruszek przyniósł akurat naręcz chrustu i rozpałił ognisko, po czym usiadł przy ogniu.

– Dobry wieczór, dziadku Owakimie!

⁷⁶ Owakim – dialektna forma ormiańskiego imienia Howakim (Joachim), por. O(w)sep zamiast Howsep (Józef) (AP).

– A witajcie, witajcie, zapraszam serdecznie! Cóż za wspaniali goście! A ja tu siedzę samiuteńki i myślę: ach, gdybym jeszcze miał z kim porozmawiać... Widać, sam Bóg mi was zesłał! – radośnie wykrzyknął Owakim.

– Ty, dziadku Owakimie, o zwierzynie najpierw opowiedz – jest już?... przychodzi?! – niecierpliwie przerwał mu myśliwy.

– Kochany Owsepie, jelenie są tu na pewno. Jeden zaczął przychodzić nawet do mojego ogrodu. Ile fasoli mi już napsuł! A ja na niego nie mam ani strzelby, ani psa. Jest niezwykły – wielki jak góra. Rogi ma rozłożyste... jak dębowe gałęzie!

– To nieważne, przede wszystkim nam powiedz, czy łanie do niego przychodzą.

– O, jeszcze jak! Idą, idą... Spać przez to ich rykowisko nie mogę. Zeszłej nocy w górnych zaroślach jelenie tak ryczały, że aż ziemia się trzęsła!

– Boże Wszechmogący! – wykrzyknął myśliwy.

Dziadek Owakim rzucił na ziemię trochę siana, poprosił, żebyśmy na nim usiedli, sam zaś ułożył się na swym poprzednim miejscu.

– Wiecie co, moi drodzy? Ja to sobie tak myślę, myślę... i dochodzę do wniosku, że najbardziej okrutnym stworzeniem na świecie jest człowiek.

– Dlaczego, dziadku Owakimie?

– Jak to, dlaczego? Wy na ten przykład weźmiecie strzelby i będziecie się uganiać za jeleniem, a my będziemy się cieszyć, żeście go zabili, i zjemy jego mięso. Ale przecież jeleni to też boskie stworzenie, jak i my... i wolę bożą tak samo czuje. O północy jak się zaweźmie, jak zacznie ryczeć... Łanię tak przywołuje, jakby na randkę zaprasza... I nic w tym dziwnego – on, jeleni, też ma swoją ukochaną...

– Już ja mu pokażę ukochaną! Niech no tylko zaryczy! – zagroził myśliwy Owsepi.

– Oj, grzech tak mówić, grzech... – potrząsnął głową ogrodnik i podnosząc głos, dodał: – Moi drodzy, skoro już się zgadzało o łani, to może opowiem wam taką jedną historię?

– Opowiedz, dziadku Owakimie, opowiedz!

– Pewnego razu, latem, jak koczowałem w górach, przynieśli mi krewni wiadomość, że wnuczek mój zachorował i że wypada go odwiedzić. No to schodzę z gór i sobie myślę: może coś po drodze uda

mi się upolować? Skręciłem w gęstwinę, łązę, łązę, szukam – i raptem widzę, że w jednym miejscu coś się rusza – i krzak się kołysze: bażant nie bażant, myślę, a jeśli inne zwierzę, to czemu się nie pokazuje? Cisnąłem kamieniem w ten krzak i widzę: jelonek!... Postawił uszy, drepce nerwowo w miejscu i chce uciekać. No to chwyciłem strzelbę, wycelowałem i strzeliłem – w sam środek go trafiłem. A on podskoczył i od razu upadł. A jak żałośnie przy tym jęczał, płakał, stękał... całkiem jak konające dziecko, moi drodzy! Wiedziałem, jak w tej sytuacji trzeba się zachować, doświadczeni myśliwi nie raz kładli mi do głowy: ostrożnie, matka jelonka jest blisko, nie widzisz jej, ale na pewno cię zauważyła i zaraz się pokaże! No to schowałem się za drzewem, prawie nie oddycham, czekam... Już nie pamiętam, jak długo musiałem czekać, aż raptem widzę: matka jelonka pędzi w moją stronę – ale jak! Nawet wrogowi nie życzę, żeby go coś podobnego spotkało! Całkiem jak rozumne stworzenie matka leciała ocalić swoje dziecko przed śmiercią. Zatrzymała się przed leżącym pod drzewem, zakrwawionym, umierającym zwierzątkiem... Wyciągnęła szyję i... Wiem, że trudno wam będzie w to uwierzyć – ale jak nie zacznie wyć, żałośnie zawodzić... Jak nie zacznie rozpaczliwie wylizywać jego ranę!... Zarzuciłem strzelbę na ramię i powlokłem się do domu. Wchodzę... i widzę, że mój ciężko chory wnuczek bardzo cierpi, jęczy, walczy ze śmiercią. Klnę się na Boga, przyjaciele, że jęczał tak samo jak tamten jelonek. Jeszcze dotąd, kiedy zamykam oczy, widzę tamto drzewo, tamto maleństwo i tamtą łanię... Niestety, wnuczek umarł. Oszałała z rozpaczyny matka rzuca się ku niemu – zanosi się płaczem, szlocha... A ja w duchu tak do siebie mówię: „Boże Wszechmogący, wielka jest Twoja miłość do ludzi, ale czym my się tak naprawdę różnimy od tamtej łani?... Niczym! Serca mamy wszyscy takie same, tak samo cierpimy... i ból czujemy tak samo”.

Pod wrażeniem tej smutnej opowieści zamilkliśmy na pewien czas.

– Dziadku Owakimie, ale powiadają, że każda łania ma ponoć swoją opiekunkę, to prawda? – zapytał sługa Ghazar⁷⁷.

– No pewnie! I to jaką... ho, ho!

– Nie może być, naprawdę?

⁷⁷ Ghazar to ormiańska forma imienia Łazarz, por. przypis 4 (wymowa *gh*) (AP).

– Oczywiście! Myśliwy Pirum był prawdziwym mistrzem w swoim fachu, żadna jego kula nie chybiała celu. Pewnego razu zranił łanię. Rzuciła się do ucieczki – to on za nią! Gonił ją i gonił, aż do dębowego gaju Zorawor. Tu pod drzewem łania upadła na kolana, a Pirum od razu łaps za strzelbę. Nagle tuż przed nim, w zaroślach, otwierają się jakby wrota i na próg wychodzi piękna dziewczyna... Wychodzi, ruga myśliwego i nawet go przeklina: „Dlaczego ścigasz to bezbronne stworzenie? Co ono ci zrobiło? Bądź przeklęty, okrutny, chciwy i zachłanny człowieku! Wciąż ci wszystkiego mało na tym świecie?! Niech twoja strzelba napęlni się krwią! Niechaj twój nabój w ciasto się zamieni! Niech uschnie twoja ręka, która strzelbę trzyma...”

Jednak myśliwy Pirum nie był głupim człowiekiem: w porę się skapnął, że ta piękna dziewczyna jest opiekunką łani i przezornie odrzucił strzelbę na gałąź dębu. I jak tylko dziewczyna zaczęła myśliwego przeklinać, dąb usechł.

– Dziadku Owakimie, czyli nie na darmo ludzie powiadają, że polowanie to przekłete zajęcie?

– Przekłete, a jakże?! Pewnie, że przekłete... i jeszcze łowienie ryb! Oba są przekłete. Toż ludzie nie bez racji od najdawniejszych czasów źle wszystkim łowcom życzą: oby nigdy się nie nasycił żaden myśliwy ani rybak, mówią. Przecież i dzielny Kiaram przeklinał myśliwego. Kiedy płonąc z miłości, szukał on swojej ukochanej Asli⁷⁸, napotkał śmiertelnie raną łanię. I widzi: zwierzę w męczarniach oddaje ducha, a obok stoi zakłopotana dziewczyna. W tym momencie Kiaram uderzył w swój saz⁷⁹ i zaśpiewał pieśń.

Poprosiliśmy dziadka Owakima, żeby i nam ją zaśpiewał. I oto w skalistym górskim wąwozie, przy ognisku, ogrodnik drżącym, starczym głosem zanucił:

Wiosną widziałem, jak w leśnym gąszczu,
Na górze ranna płakała łania.
Przy niej jelonek stał cały drżący...
Na górze ranna płakała łania.

⁷⁸ Kiaram, Asli – postaci znane z ormiańskich legend (AP).

⁷⁹ Saz (z perskiego *sâz*) – nazwa instrumentu strunowego (AP).

Przedwcześnie umrę, gorzko szlochała,
Człowiek postąpił ze mną okrutnie.
Z głębokiej rany krew jej buchała...
Na górze ranna płakała łania.
Dobry mój druhu! W imię miłości
Nie morduj zwierząt – Niebo się zmartwi!
Kiaram wszak widział, jak cała we krwi
Na górze ranna płakała łania.

Wszyscy poukładali się do snu – wszyscy oprócz mnie. Człowiek nie-
nawykły do spędzania nocy w takich miejscach ma trudności z zasypia-
niem: zewsząd dobiegają go tysiące dźwięków, co sprawia, że mimo-
wolnie pograża się bez reszty w rozmyślaniach.

Lekki powiew nocnego wiatru nad szeleszczącą kukurydzą gotów
byłem przyjąć za kroki stąpającej po polu łani, o której opowiadał dziadek
Owakim. Daleko, z mroku nocy wyłaniały się jakoweś czarne figury.

Nie mogłem zasnąć.

Wyszedłem z szałasu. Była pogodna, jesienna noc. Suchy chłód prze-
nikał pod ubranie. Z górskich parowów i szczelin dobiegało jakieś
dziwne ni to sapanie, ni syczenie. Wydawało się, że góry wokół śpią,
równie spokojnie pochrapując we śnie, jak dziadek Owakim.

Lecz oto wzeszła gwiazda poranna, czas było ruszać w drogę. Obudzi-
łem swoich towarzyszy. Wszyscy pośpiesznie włożyli buty i poszliśmy...

Jeszcze przed świtem rozłożyliśmy się w leśnej zasadzce. Ja ze swego
miejscza obserwowałem zagajnik rozciągający się przed stojącą za nim
nieprzebytą ścianą ciemnego lasu.

Stopniowo rozpraszala się nocna mgła. Z rzędzącej wczesnoporannej
mgły wynurzały się groźne skały. Niebo zaczęło wyraźnie blednąć, lekko
się różowiło i wolno jaśniało. Wstawał świt. Powiał słaby wiaterek.
Budzące się ze snu kwiaty poruszyły główkami, zakołysały się trawy,
zaszeleściły liście... Las się budził. Na jednym z pobliskich krzewów

zaszczebiotał jakiś ptak, zaraz potem, na dalszych – inne, a chwilę później ze wszystkich okolicznych zarośli dobiegał już radosny ptasi świergot...

Ostrożnie, po cichutku wyszedłem z zasadzki i w owej świętej zaiste godzinie, gdy rozbłyśkuje pierwszy słoneczny promień, patrzyłem jak zaczarowany na cudowną przyrodę.

Wtem z lasu doniósł się dźwięk... gdzieś niedaleko trzasnęła sucha gałązka. Wokół było jeszcze ciemno, toteż nie sposób było dojrzeć, co się tam dzieje. Tylko coraz wyraźniej słyszałem ostrożne stąpanie po opadłych liściach: szsz, szsz, szsz⁸⁰!... Wciąż niczego nie było można zobaczyć, ale za moment znowu: szsz, szsz, szsz!... Aż raptem... on! Niewiarygodne zjawisko zaparło mi dech w piersi!

Pierwszy raz ujrzałem jelenia na wolności, w jego naturalnym otoczeniu. Wyszedł spokojny, dumny, majestatyczny, przepiękny – król i władca przyrody. Ukryty jeszcze na poły w leśnym mroku zatrzymał się, skłonił głowę ku ziemi, po chwili jednak ją podniósł i z nieopisaną gracją odwrócił długą szyję – spojrzał w moim kierunku.

To było najbardziej czarujące spojrzenie ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem w swoim życiu!

Speszyłem się, stałem nieruchomo zawstydzony i chciałem niepostrzeżenie schować strzelbę... Jednak nie zdążyłem nawet wykonać ruchu, gdy jelen na powrót wyprostował swoją łabędzią szyję... I w tej sekundzie z zasadzki zagrzmiała strzelba Owsepa, huk wystrzału przetoczył się wąwozem. W lesie znów dał się słyszeć szelest uschniętych liści. Jeleń uciekał...

– Żeby cię szlag trafił! – krzyknął Owsep, wyskakując ze swego ukrycia. I strasznie na mnie oburzony pomknął ku najbliższemu wzgórzcu – chciał zobaczyć, czy jelen znów się gdzieś nie pokaże.

Nastał ranek, było już na tyle jasno, że bez trudu odnaleźliśmy na trawie ślad świeżej krwi.

Jeleń został ranny. Ruszyliśmy szukać go po owym krwawym śladzie.

– Skoro tyle krwi stracił, to choćby nie wiem, gdzie się zaszył, i tak będziemy nasz! – stwierdził myśliwy Owsep.

⁸⁰ W oryginale dźwiękonaśladowcza sylaba: *chyszt, chyszt* (AP).

Pod wieczór znaleźliśmy jelenia leżącego w leśnej gęstwinie. Ujrawszy nas, ranny król lasu wyciągnął ku nam swoją giętką szyję. Zauważyłem, że bardzo osłabł i z trudem utrzymuje w górze uniesioną głowę. Patrzył na nas mętym, przygaszonym i niespokojnym spojrzeniem. I nagle, jakby reagując na przemożny impuls, spróbował stanąć na nogach, jednak, zaledwie nieco się podniósłszy, z ciężkim, bezsilnym westchnieniem zwałił się w kałużę własnej krwi.

Myśliwy rzucił się ku niemu... Chciałem coś powiedzieć, ale wstydliwie milczałem...

Owsep pochwycił głowę jelenia i przekręcił jego przepiękną szyję... Pragnąłem zaprotestować... jednak nie zdobyłem się na to. I błysnął kindżał...

Odwróciłem się, udając, że podziwiam góry. Z tyłu usłyszałem jedynie głuchy jęk... i nie wiem czemu, zacząłem w tym momencie rozmyślać o życiu i śmierci. I życie wydało mi się wręcz obrzydliwe!...

1909

tłum. Stanisław Ułaszek

Wujaszek Checzan

– Dobrego wam dzionka!

– A-a, witaj, witaj, wujku⁸¹ Checzanie. Ej, kobiety, przynieście no tu chleb, herbatę, dajcie też gościowi kieliszek... No to, wujku Checzanie, żebyśmy zdrowi byli! A teraz powiedz, co tam u was nowego i co to się stało, żeś przybył do miasta?

– E-etam, gadanie – nic takiego... A co się niby miało stać? Po prostu tęskno mi się zrobiło, chciałem was zobaczyć... Bo przecież, powiedziałem do siebie, dziś żyjemy, a jutro może nas już nie być... No to postanowiłem, że was odwiedzę.

– Dziękujemy, bardzo ci dziękujemy, wujku Checzanie.

Gość wypił herbatę, posilił się, pogadał o tym i owym, umilkł i zapalił fajkę. Po chwili wyjął ją z ust i zapytał:

– No i co tu zrobić?

– Z czym? O co chodzi, wujku Checzanie?

– Ano widzisz, mój drogi, chłopaka mi do wojska biorą.

– A co ja na to mogę poradzić?

– Jak to... co? Tam twoja ciotka płacze, rozpacza, od zmysłów odchodzi, a ty...

– No dobra, mów, czego potrzebujesz. Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

– Pójdźmy najpierw po metrykę, jak będziemy ją mieć, to pomyślimy, co dalej robić.

– No cóż... Proszę bardzo, chodźmy!

⁸¹ „Wujek” to w oryginale *kerri*, wyraz odnoszący się do brata czyjejs matki (AP).

Poszliśmy do kancelarii⁸². Poprosiłem archiwistę⁸³, aby przyniósł księgi metrykalne z tego roku, który wujek Checzan mi podał. Kartujemy, szukamy, we wszystkich księgach sprawdzamy – syna wujka Checzana w żadnej z nich nie ma.

– Jakże to, bracie? Co to znaczy – nie ma?

– No nie ma, wujku Checzanie.

– Proszę poszukać trochę wyżej, we wcześniejszych zapisach, może się pomyliliśmy?⁸⁴

Przyniesiono inne księgi. Szukamy, szukamy – na próżno, w nich też nic nie ma.

– Pomyliliśmy się, na pewno – stwierdza wujek Checzan. – Tak się teraz zastanawiam... chyba... chyba jednak chłopak musi być starszy. Zamiast powiedzieć, że trzeba patrzeć „niżej”, ja palnąłem „wyżej”.

– W porządku, wujku Checzanie, poszukamy „niżej”.

Przyniesiono nam jeszcze inne księgi. I znów szukamy, szukamy – i znowu nic.

– Nie ma, ksiądz⁸⁵ nie wpisał.

– Ale jakże to? Niemożliwe!

– Cóż począć, jeśli nie ma? Chodźmy już stąd, wujku Checzanie.

– Jak to – chodźmy? Co też ty mówisz?! Tam twoja ciotka gorzkie lzy leje, a ty...

– A co możemy zrobić, skoro zapisu nie ma?

⁸² W oryginale występuje tu łaciński (!) wyraz w postaci *konsistor* (od czasownika *consistere* „stać się razem”) używany w dawnej Rosji (*консистория*) w znaczeniu „urzędu stanu cywilnego”. W języku polskim „konsystorz” jest nazwą różnych kościelnych zgromadzeń wysokiej rangi pełniących określone funkcje w Kościele katolickim, a także u protestantów (AP).

⁸³ W oryginale występuje tu ormiański wyraz *diwanapah* „archiwista” utworzony od perskiego rzeczownika *diwân* „urząd” i ormiańskiego pierwiastka czasownikowego *pah* (*pahel* „trzymać”) (AP).

⁸⁴ W dawnych czasach na Wschodzie nie zapamiętywano dokładnych dat urodzin dzieci, a nawet odpowiednich lat. W razie potrzeby ustalenia czyjegoś wieku (np. w przypadku powoływania do wojska) szukano (jak w tym opowiadaniu) odpowiedniej metryki urodzenia w archiwach (AP).

⁸⁵ „Ksiądz” to po ormiańsku *kahana* (wyraz pochodzący z języka syryjskiego, por. hebrajski *kohen*). Z okazji chrztu księcia dokonywali odpowiedniego zapisu w księgach metrykalnych (AP).

Wyszliśmy. Zrobiliśmy nie więcej niż pięćdziesiąt kroków, gdy wujek Checzan się zatrzymał.

– Stój, zaczekaj!

– O co chodzi?

– Wygląda na to, że niby po coś przyszliśmy, to czemu z niczym odchodzimy?

– Idziemy do domu – i tyle.

– Tak się nie godzi!

– A cóż począć?

– Myślałem, że mi pomożesz, z taką nadzieją tutaj jechałem, a teraz?... Z czym niby mam wyjeżdżać?

– A w czym ja zawiniłem, wujku Checzenie? Księgi metrykalne – sam widziałeś – za tyle lat przewertowaliśmy, do góry dnem wszystko wywróciliśmy – i nie ma!

– No jakże to możliwe? Nie ma?! Czyli wychodzi na to, że synowie wszystkich ojców tam są, a mojego syna – nie ma?!

– Ano nie ma... i cóż począć?

Od tej chwili aż do samego domu wujek Checzan nie wydał z siebie nawet jednego słowa.

– I co? Udało się coś znaleźć? – zapytała mnie żona⁸⁶, gdy wróciliśmy do domu.

– Jeszcze będziemy próbować, zobaczymy... – odparł wujek Checzan.

– A co tu jeszcze można zobaczyć? Nie ma zapisu w księgach – i to wszystko. Nic więcej nie można zobaczyć ani zrobić – powiadam.

Wujek Checzan jął ciężko postękiwać.

– Wszystko, wszystko, z czym do ciebie przyszedłem, z tym i odejdę... z niczym powrócę do domu – ze smutkiem powiedział wujek Checzan i jął ostantacyjnie cmokać fajkę.

Nadeszła pora obiadu. Siedzimy w milczeniu przy stole – nagle wujek Checzan przestaje jeść, zwraca się ku mnie i mówi:

– No dobrze, powiedzmy, ja wyjadę... Ale co mam w takim razie powiedzieć twojej ciotce?

– O czym?

– O tej metryce.

⁸⁶ Chodzi tu o żonę narratora, który jest zapewne jakimś urzędnikiem w mieście (AP).

– Ależ, wujku Checzanie, nie ma jej przecież... Ksiądz nie wpisał do księgi, nie ma – nie istnieje!

– No ty jak coś powiesz, to już powiesz, faktycznie...

– A jak inaczej mogę jeszcze powiedzieć? Nie ma, rozumiesz? Nie ma!

Wujek Checzan, postępując, jął ponownie nabijać swoją fajkę.

Po obiedzie udałem się do gabinetu, aby odpocząć. Leżę i myślę, cóż to za ludzie z tych naszych chłopów...

Nagle patrzę – wchodzi wujek Checzan.

– Śpisz?

– Tak.

– A czy to niby pora na spanie?

– Cóż robić, wujku?

– Toż ja tu przyszedłem i utknąłem, a ty co robisz?

– A co mam robić, wujku Checzanie?

– Co mi masz do powiedzenia o tej metryce?

– O-o-ojej, zdumiewasz mnie, człowieku! Przecież, na Boga, jasno i wyraźnie ci powiedziano, że jej nie ma. Nie ma, wujku Checzanie, żadnej metryki! Nie ma!!! Ile razy mam ci to powtarzać?!

– Dobrze już dobrze, dlaczego się obrażasz? Nie ma, to nie ma, bez niczego wrócę do domu. Bądź zdrow! – I wyszedł, mruczając coś pod nosem.

Obudziłem się z drzemki, patrzę: siedzi zamyślony wujek Checzan na balkonie i ssie ustnik fajki. Nałożyłem kapelusz i wyszedłem.

– Dokąd idziesz? – krzyknął wuj w ślad za mną. – Co powiesz o tej...

– Nic nie powiem.

– Wychodzisz?

– Tak.

– I metryki mi nie poszukasz?

– Nie, nie mogę.

Po tej historii wujek Checzan rozповідаł we wsi, że będąc w trudnej sytuacji, przyjechał do mnie, prosił o pomoc, a ja powiedziałem: „Nie mogę”. I że jakoby nikt w mieście nie wsłuchał się w jego słowa i nawet nie spojrzął w jego stronę...

1910

tłum. Stanisław Ulaszek

Łaźnia kamienna

Kirakos się przeziębził, leżał w łóżku i wstrząsały nim dreszcze. Sąsiedzi przyszli odwiedzić chorego. Rozsiadłszy się wokół jego pośłania, przyjacielsko sobie gawędzili i zapamiętane palili fajki.

– Wiecie co, jeśli on się porządnie nie wypoci, to wszystko na nic, przygotujmy mu łaźnię kamienną – zaproponował wujaszek Neso, tonący w chmurach tytoniowego dymu.

– Dobry pomysł! – orzekł któryś z sąsiadów.

– Nic innego nam nie pozostaje – zgodzili się inni.

– Kirakosie!

– Co-o-o?

– O łaźni kamiennej dla ciebie mówimy. Chcesz? Zrobimy...

– Boję się – myślę, że nie wytrzymam...

– Wytrzymasz, nie jesteś przecież dzieckiem.

– No cóż, moi mili, wy wiecie lepiej...

– Ej, baby, nalejcie wody do kotła i naznoście kamieni, wrzucimy je do ognia, żeby się do białości rozgrzały.

Ustawili pełny kocioł na palenisku, nakładli do ognia kamieni i znowu się dookoła rozsiedli.

Wujaszek Neso jął opowiadać, ilu to już ludzi wcześniej ocalała łaźnia kamienna, i wyliczał: Matnanc⁸⁷ Danel, Matosanc⁸⁸ Minas, Caturanc Stepan⁸⁹, Maszkaworanc Miko... I tak dopóki nie zagotowała się woda i nie rozgrzały do białości kamienie.

⁸⁷ Dawne odpowiedniki dzisiejszych nazwisk ormiańskich na *-jan* (por. *Chaczaturian*) miały zakończenie *-anc* (dopełniacz liczby mnogiej) i stały przed (!) imieniem, np. Matnanc Danel (Daniel), por. przykłady w następnych przypisach (AP).

⁸⁸ Matosanc – pochodzący od imienia Matewos (Mateusz) i znaczy tyle, co „należący do potomków Matewosa” (AP).

⁸⁹ Caturanc Stepan – Stefan należący do potomków Astwacatura. Imię Astwac-a-tur jest odpowiednikiem polskiego Bogdana (*Astwac* – „Bóg”, *tur* – pierwiastek czasownikowy od *tal* „dawać”). U polskich Ormian byłby to Zadurawicz (AP).

– No to bierzmy się do roboty, już pora!
– Boję się, bracia... – wyjąkał chory.
– Cicho bądź! Ej, miła gospodyni, przynieś nam dwie grube kołdry⁹⁰,
a wy – największe osiłki – chodźcie no tutaj!

Zdjęty z ognia bulgocący kocioł owinięto szmatami i ustawiono pośrodku izby. Nad nim ułożono na ławce chorego, a do wrzątku rzucono rozżarzone kamienie. Z przenikliwym sykiem wpadały one do kotła, nad którym momentalnie utworzyła się chmura pary. Uczestnicy owej operacji natychmiast przykryli kołdrami zarówno kocioł, jak i chorego, po czym usiedli na kołdrach z góry.

– Oj, duszę się! Duszę!... – przytłumionym głosem wrzeszczał chory spod spodu.

– Nie udusisz się!... Ej, koledzy, musicie lepiej docisnąć kołdry, mocniej usiądźcie! Za głowę go trzymajcie, za nogi... porządnie!

Chory rozpaczliwie krzyczał, protestował, usiłował się wyrwać, uwolnić, ale siedzące na nim ze wszystkich stron potężne chłopiska skutecznie mu to uniemożliwiały.

– Czego się szarpiesz, chciałbyś uciekać? Nic z tego, bratku! – wykrzykiwali siedzący, rechocząc, i dociskali kołdry jeszcze mocniej.

– No teraz to już na pewno wypoci się, jak należy!

A wujaszek Neso⁹¹, wciąż siedząc na chorym i ssąc ustnik fajki, kontynuował swoją opowieść:

– Kiedyś nasz Abgar tak samo się przeziębiał. Próbowali go leczyć... czego mu tylko nie dawali – jakieś tam proszki, wywar z kwitnących anemonów, octem nacierali... Wszystko na nic. „Moi drodzy – powiadam – zróbmy mu łaźnię kamienną!”. „Jak chcesz – powiadają – ty lepiej wiesz”. Rozpaliłem porządny ogień, do wyszczerbionego kotła babci nalałem wody i postawiłem go na ogniu. Nabrałem kamieni i wrzuciłem je do żaru. Woda zakipiała, rozżarzyły się kamienie. A Abgar jak nakręcony wciąż swoje: „Boję się, boję!...”. Tak samo się trząsł, jak i ten...

– No coś ty, Abgar to mocny chłop, śmiały i serce ma zdrowe.

⁹⁰ W oryginale mamy tu dialektały wyraz *leheb* pochodzenia arabskiego (*liḥāf* „kołdra”) (AP).

⁹¹ W oryginale po imieniu Neso stoi rzeczownik *bidza*, por. przypis 39 (AP).

– On niby mocny? Akurat! Coś wam w takim razie opowiem. Pewnego razu, jesienią, natknąłem się na gawrę (zimowe legowisko niedźwiedzia). Przychodzę do Abgara i mówię: tak i tak, znalazłem gawrę, chodź, dopadniemy zwierza. Poszliśmy. Wziąłem kij i zacząłem wsadzać go do gawry. Nagle ten przekłęty zwierz jak nie wyskoczy, jak mnie nie obłąpi... „Abgar, pomóż mi! Abgar, ratunku!” – krzyczę. A po Abgarze już ani śladu! Wyrwałem się jakoś z niedźwiedziej łapy i puściłem biegiem przed siebie. Dogoniłem Abgara i mówię: „Coś ty, bratku, zrobił?”. A on do mnie: „Ja, powiada, do domu biegłem, po strzelbę...”. Kłamczuch! Ze strachu uciekał, tchórz! Ale o czym to ja?... Aaa, że się bał... jak i ten tutaj. Abgar tak samo jęczał: „Neso, mój miły, boję się, nie chcę kamiennej łaźni”. Ale wcale go nie słuchaliśmy. Nawrzucaliśmy do kotła rozżarzonych kamieni i jak tylko buchnęła para, przykryliśmy Abgara razem z głową. A on wciąż wrzeszczy: „Umieram, umieram!... Wypuście mnie!”. Ale gdzież tam byśmy go posłuchali. Za nic w świecie! Usiedliśmy wszyscy na niego: ja, nasz Ghukas, Pilon, Gabo, Arut⁹²... A tamten tchórz nic tylko wrzeszczy pod kołdrą jak opętany. I to jak wrzeszczy! A zresztą... co tam? Pokrzyczał sobie, pokrzyczał i się uspokoił. Odrzuciliśmy kołdry i widzimy: leży cały mokry, pot się z niego leje... I doszedł do siebie, ba – nawet zdrowszy się potem zrobił!

Kiedy wujaszek Neso skończył mówić, podnieśliśmy się i odrzuciliśmy kołdry. Para rozeszła się po całej izbie. A Kirakos?...

– Kirakos!

Cisza.

– Kirakos! Kirakos!... – wołają, klepią go po twarzy, tarmoszą, szarpią... nic, milczy...

Udusił się Kirakos, skonał.

– Jakże to tak, moi drodzy? Dlaczego?... – zachodząc w głowę, pytał zmieszany wujaszek Neso.

Jedynie głuuche milczenie było mu odpowiedzią.

– O, niech mi runie na głowę ten dom, niech się na mnie zawali! – zapiszczała przeraźliwie okryta momentalnie żałobą małżonka Kirakosa.

⁹² Arut – dialektalna forma zdrobnienia ormiańskiego imienia męskiego Harutiun, które oznacza „Zmartwychwstanie” (AP).

Potrącając jeden drugiego łokciami, mężczyźni wysypali się z izby i stłoczyli na dachu. I właśnie wtedy, kiedy wdowa po Kirakosie opłakiwała męża, jego przyjaciele usadowili się na dachu i rozprawiali o tym, jak wielu dotąd ludzi udusiło się już w podobnych kamiennych łaźniach: Hanyśanc Haron, Melkonanc Wanes, Hachwerdonc Agha, Szimalanc Szamir... zresztą trudno wszystkich wymienić.

– Ech, co tu dużo gadać? Widać tak im było pisane... Przecież to nie Neso ich wszystkich wykończył. Co komu przeznaczone – musi go spotkać... Taki już los...

A Neso siedział ze spuszczoną głową, cmokał bezwiednie wygasłą fajkę i słuchał w milczeniu mądrości owych wiejskich filozofów.

1910

tłum. Stanisław Ułaszek

Świerszcz

Ćwir... ćwir... ćwir...⁹³

Z pewnością nie raz słyszeliście kaskady owych smętnych dźwięków. Mieszając się z aromatem kwiatów i świeżością trawy, ów niemiłkający koncert rozbrzmiewał zwykle wśród wiosennych pól.

Słyszeliście, niewątpliwie... I to wielokrotnie. Może też, kto wie, leżeliście sobie wówczas gdzieś na polanie, w cieniu, pod rozłożystym drzewem, tonąc spojrzeniem w bezdennej głębinie błękitnego nieba, oddając się pięknym marzeniom, a wokół – ze wszystkich stron – słyszeliście nieustające ćwir... ćwir...

To świerszcz. Tak koncertował on wraz ze swymi niezliczonymi i niezmordowanymi towarzyszami-muzykantami.

Albo może zapamiętaliście owo melancholijne popiskiwanie dobiegające w chłodne letnie wieczory z jakiegoś ciepłego kąta wiejskiej chaty? Swojskie i tęskne łało się ono monotennie, wywołując przyjemny smutek, przynosząc ukojenie i spokój, budząc wspomnienie dalekiego dzieciństwa, a może niekiedy wiodło jeszcze dalej – w odległe, niepamiętne czasy albo i inne światy?...

A to już pasikonik domowy. Lubi on ciepło i zwykle mieszka gdzieś za piecem, w jakiejś niewielkiej, niepozornej szczelinie. Po nocach wychodzi z ukrycia, okruszki różne zjada – tym tylko żyje i śpiewa, śpiewa... cały rok.

Jego obecność w domu i jego śpiew nasze babcie uważały za dobry znak – świadectwo pomyślności i szczęścia.

Bo też zaiste wielkie to szczęście mieć takiego artystę muzyka w domu!

Starożytni Grecy wyłapywali świerszcze, zamykali je w małych kłatkach, które następnie wieszali przy oknie. A świerszcze śpiewały, śpiewały...

⁹³ W oryginale: *czyrrr; czyrrr* (AP).

Tak, tak, nie dziwcie się – dostając każdego dnia do zjedzenia listek sałaty, one szybko przywykają do swojej niewoli i żyją nawet dłużej niż na wolności, gdzie im grozi mnóstwo niebezpieczeństw.

Pewien znamienity entomolog i zarazem znany poeta powiedział kiedyś: „Z satysfakcją postawię świerszcze na czele grupy stworzeń opiewających wiosenne przebudzenie przyrody”.

Zważcie tylko – ów owad-słowik niemalże pokonuje w śpiewie słowika-ptaka!

A czy nie chciało się wam kiedyś go znaleźć, na własne oczy zobaczyć owego wspaniałego maleńkiego grajka?

Zwykle tak się to najczęściej dzieje: przysłuchujesz się, podążasz za dźwiękiem jego głosu, jesteś już bardzo blisko – i nagle on cichnie. A po chwili znów śpiewa, ale z całkiem innego miejsca, jego śpiew dobiega już skądś z daleka... Kierujesz się tam – i znów ta sama historia: głos milknie, potem rozlega się to z przodu, to z tyłu, to z prawej strony, to z lewej – zewsząd...

I dziwisz się, gubisz, nie wiesz, co myśleć. To gdzież on w końcu jest?

I choćbyś starał się nie wiadomo jak – po głosie nigdy go nie znajdziesz. Będzie cię tylko zwodził, wprowadzał w błąd... Zawracanie głowy.

Cóż to za mądrość przedziwna? Jak on to robi? Jak mu się udaje tak wodzić nas za nos?

Okazuje się jednak, że to bardzo proste.

Świerszcz ma dwa przezroczyste, suche i łamliwe zewnętrzne skrzydła, z obrzeżami skierowanymi w dół. Prawe skrzydło zawsze zachodzi na lewe. A owo prawe jest niewiarygodnie przemyślnie zbudowane; wewnątrz, u podstawy, ma twarde zgrubienia, od których ciągnie się pięć mocnych i trwałych błyszczących nitek, środkowa jest rudawa i kłująca. To właśnie jest smyczek. I to jego grę słyszymy. A drugie skrzydło, lewe, zawsze jest pod prawym. I zbudowane jest tak samo, tyle że nitki ciągną się po jego zewnętrznej stronie. Wychodzi więc na to, że nitki prawego górnego skrzydła i lewego dolnego nakładają się na siebie. Świerszcz pociąga niejako jednym smyczkiem po drugim – i tak zręcznie kieruje wydobywanym dźwiękiem.

Jeżeli podczas gry podnosi skrzydła – dźwięk leje się szeroko, swobodnie. Jeżeli je opuszcza, przyciska do swoich boków – śpiew cichnie i milknie. Podobnie się dzieje, gdy do dźwięczącego szklanego

naczynia – po jego delikatnym trąceniu – przyłożymy rękę, wtedy dźwięk od razu staje się stłumiony i zamiera.

Jednym słowem, głos świerszcza słyszymy, ale jego samego odnaleźć nie potrafimy.

Aby znaleźć świerszcza, należy odszukać jego kryjówkę, znaleźć gniazdo – jego dom. Wszak najczęściej siedzi on albo w swoim domu, albo w jego pobliżu. Pasikonik nie lubi zaudać oddalać się od miejsca swego zamieszkania.

O-o-o, patrzcie, patrzcie – widzicie? Oto jego czarny łeppek, wysunął główkę z gniazda, porusza na wszystkie strony swoimi długimi czułkami – my zwykle nazywamy je wąsami.

Wyczuł naszą obecność i pospiesznie się wycofał, ukrył w swoim gnieździe. Więcej się już nie pokaże.

Ja jednak wiem, jak go stamtąd można było wyciągnąć. W dzieciństwie w podobnych przypadkach braliśmy jakiś kawałek drewnianka lub słomkę i grzebaliśmy w gnieździe. Dotąd wszakże nie pojmuję, dlaczego wtedy świerszcz wyskakiwał raptem z ukrycia i jak szalony rzucał się do ucieczki – czy aż tak zdumiewał go nasz upór, czy aż tak się na nas złościł? Bywało jednak, że nie wychodził na zewnątrz, ale – przeciwnie – jeszcze głębiej chował się w gnieździe. Na to mieliśmy inny, bardziej radykalny sposób: należało zatopić gniazdo, zalać je wodą. Tu chcąc nie chcąc, śpiewak zmuszony był wyjść na słońce.

A jego dom tonął w wodzie.

Gdy mówię „dom”, nie myślcie sobie bynajmniej, że żartuję. Sam nigdy nie byłem w takim „domu”. Jak twierdzą jednak uznane autorytety, czyli wybitni entomolodzy, „dom” świerszcza jest czystszy i ładniejszy niż wiele domów zamieszkiwanych przez ludzi.

Na swój dom świerszcz zawsze wybiera słoneczne, suche i zielone miejsce. Nad progiem do owego domu wieszazwyczaj pęczek suchej trawy lub kwiatek – aby chronić wejście nie tylko przed upałem, ale i przed możliwym urokiem. Przed domem – małe, czyste zamieciono podwórko. W domu zaś – główny pokój, a przed nim – sień albo inaczej przedpokój. Ściany domu są gładkie, równiutkie, w pokoju nawet szafa się znajduje! Przez cały okres swego życia na ziemi pasikonik dąży do piękna i doskonałości. Jedyne on jest taki pośród całej plejady swoich prostoskrzydłych współplemieńców – wyłącznie on buduje sobie dom

do stałego zamieszkiwania. Podwórko, pokój, sień i na dodatek jeszcze szafa – coś podobnego, któż by pomyślał?!

I w samej rzeczy, powiedzcie, na miłość boską, w czym jego dom ustępuje naszemu, ludzkiemu? Podobnie sam gospodarz – wspaniały artysta muzyk – w czym on jest gorszy od człowieka? A przyjrzyjcie się uważnie jego głowie – czyż ona nie jest podobna do głowy starego człowieka?! Zapewne dzięki muzycznemu talentowi świerszcza i takiej właśnie głowie istnieje o nim następująca legenda: „Kiedyś, w pradawnych czasach, świerszcz był człowiekiem. Wielce radosnym, wesołym i kochającym życie człowiekiem. A jako że tak bardzo podobało mu się życie, poprosił Boga, aby Ten raczył darować mu żywot wieczny. Tylko, niestety, gdy prosił o życie wieczne, zapomniał poprosić również o wieczną młodość. No cóż, zapomniał... i klamka zapadła, gdyż Bóg już jego połowiczną prośbę spełnił. Toteż ów radosny i nieśmiertelny człowiek żył sobie i żył, starzał się i starzał, aż w końcu taki zgrzybiały się zrobił, tak wysechł i się skurczył, że przybrał obecną postać staruszczenka-świerszczyka”.

Podobnie jak wszyscy ludzie-artyści świerszcz nienawidzi tłumu i kocha samotność. Toteż mieszka sam jeden w swoim pięknym domu. Aha... i jest przy tym bardzo leniwy, jak mają to w zwyczaju wielcy muzycy-śpiewacy.

Lecz oto nastaje maj. Świerszcz odnawia swoje mieszkanie, sadowi się na progu – koniecznie na swoim własnym progu – i zaczyna koncertować. Wieczorami, w czasie długich księżycowych gwiezdnych nocy, jak też o szarej porze zmroku – siedzi niezmiennie na swoim czystym progu i gra albo – jak zwykło się o tym mawiać – śpiewa: ćwir... ćwir...

Początkowo jedynie dla siebie samego wystawia piękno wiosennej nocy, opiewa radość życia. A chwilę później przechodzi do pieśni miłosnych – śpiewa i przyzywa swoją uroczą sąsiadkę, która mieszka nieopodal w podobnie czystym domku, z wiszącym nad wejściem pęczkiem suchej trawy i z takim samym maleńkim, dokładnie zamiecionym podwórkiem.

Sąsiadka nie jest muzykalna i sama nigdy nie śpiewa, ale na dźwięki miłosnych pieśni nie pozostaje obojętna. Zwłaszcza gdy opiewają jej urodę i przeznaczone są wyłącznie dla niej, dla niej jednej, jedynej... Toteż spieszy na zew sąsiada, przychodzi do niego w gościnę. Obejmują się i pieścą wzajemnie, aż wreszcie łączą w miłosnym porywie swe życia. Wszelako ich związek jest zwykle krótki i nieszczęśliwy.

Po mniej więcej dziesięciu upojnych spotkaniach natchniony śpiewak umiera, utraciwszy wszystkie życiowe siły. A zdarza się i tak, że niedawna jego partnerka napada nań, rozszarpuje na strzępy i zjada owego pechowego wielbiciela-grajka, odrzucając na bok jego pokruszone, niepotrzebne już skrzypce. Te same, które tak niedawno jeszcze namiętnie wygrywały hymny na jej cześć.

Świerszcz domowy, jak to już powiedzieliśmy, żyje długo w swoim ciepłym i bezpiecznym kąciuku. Natomiast na polowego pasikonika nieustannie czyha tysiąc niebezpieczeństw – jaszczurki, różne pszczoły, ptaki... Leci, powiedzmy, jakiś ptak, nagle otwiera dziób i chwytą naszego bezbronnego świerszczyka. Po czym jak gdyby nigdy nic odlatuje dalej, aby skwapliwie nabić żywą jeszcze ofiarę na kolec tarniny – tak bowiem gromadzi sobie zapasy na zimę.

Ale gdy pasikonik nawet szczęśliwie uniknie wszelkich zagrożeń i ocaleje, to od natury i tak nie ma ucieczki.

Nastają jesienne chłody. I oto któregoś październikowego wieczora, widząc gasnące w zimnym zmierzchu słońce, świerszcz śpiewa na progu swego domu ostatnią, pożegnalną pieśń... po czym zasypia wiecznym snem.

Chłodny wiatr zasypuje drobinkami suchych traw jego anonimową mogiłkę, a nieco później grzebie ją bez śladu pod białym śniegiem. I odtąd wyje już nad nią tylko zimowa zawierucha: u-u-u...

Taki jest porządek natury.

Świerszcz rodzi się, żyje i umiera, zostawiając po sobie potomstwo – 300-600 nowych pasikoników. Tak w każdym razie twierdzą uczeni.

Samica świerszcza składa jajeczka w bezpiecznym, zacisznym miejscu. I troskliwie dba o to, żeby było tam sucho, ciepło i żeby znajdowało się ono z dala od wilgoci. Nadto i pokarm zawczasu dla swoich dzieci przygotowuje. Uczeni zachodzą w głowę, nie mogąc się nadziwić, skąd owad posiada tyle mądrości i zrozumienia. Przecież sam tata świerszcz nigdy swoich potomków na oczy nie widzi. A one nie znają ani swojej matki, ani dzieci – skąd zatem czerpią owo życiowe doświadczenie? Zważcie tylko: gdy wiosną młode się lęgną, ich matki nie ma już na świecie – umarła po złożeniu jaj jeszcze zeszłej jesieni. I sama też nie wie, co się z nich na wiosnę wylęgnie, nigdy swego potomstwa nie ujrzy. Jak zatem to się dzieje, że drobny owad potrafi wszystko przewidzieć

i zatroszczyć się o los przyszłego pokolenia? Uczeni mają na to jedną odpowiedź – instynkt. Nieuświadomiony nakaz natury.

A zatem instynkt.

Jednak kto wie, może nasz maleńki muzykant obdarzony jest także innymi jeszcze właściwościami – na przykład zdolnością myślenia? Z czasem może się okazać, że tak właśnie jest, chociaż instynkt sam w sobie to już wielka rzecz, a u zwierząt bywa o wiele mocniej rozwinięty niż u człowieka.

Oto dlaczego świerszcz troszczy się o swoje przyszłe pokolenie.

I każdej wiosny rodzi się kolejne plemię pasikoników. Nowo narodzone osobniki czterokrotnie zmieniają swój wygląd, czterokrotnie linieją, czyli pozbywają się swojej wcześniejszej chitynowej „zbroi”. I dopiero po ostatnim, czwartym odrzuceniu owego nazbyt ciasnego pancerza, stają się dorosłymi, pełnowartościowymi świerszczami. Od tej też chwili zaczynają poszukiwać dla siebie miejsca zamieszkania. Najpierw walczą między sobą o przejęcie na własność domu rodziców. Niektóre osobniki giną w tej walce, niektóre wychodzą z niej zwycięsko, pozostałe zaś udają się na wygnanie i samodzielnie, własnymi siłami budują gdzieś swoje siedliska.

I znów pod błękitnym, jasnym i uśmiechniętym niebem, pośród wiosennych ukwieconych pól, rozkwita nowe życie, rozlegają się rulady młodych niezmordowanych pasikoników-śpiewaków: ćwir... ćwir... ćwir...

Jakby na świecie nic się nie działo, jakby się nic nie zmieniało...

1913

tłum. Stanisław Ulaszek

Wilk

1

Późną jesienią znalazłem się wieczorem w jednej z górskich wiosek wąwozu Lori⁹⁴. Gościny udzielił mi wujaszek Andrias⁹⁵, stary i wielce doświadczony pastuch.

W górach istnieje następujący obyczaj: jeśli do któregoś z mieszkańców przybywa gość, to na spotkanie z nim przychodzą wszyscy sąsiedzi. I rozpytują go o wszystko, co się dzieje na świecie, dzielą się z nim swoimi wrażeniami i spostrzeżeniami. Również tym razem sąsiedzi tradycyjnie zebrali się u dziadka Andriasa.

Gospodarz rozpałił w palenisku duży ogień, i rozmieściliśmy się wygodnie na szerokich tapczanach, jednak kiedy przystępowaliśmy do rozmowy, rozszczękały się nagle wszystkie psy.

– Wilk!... – zgodnym chórem wykrzyknęli chłopci.

– Skąd taka pewność? – zapytałem.

– Bo na wilka ujadają.

– Jak to: „na wilka ujadają”? A czy psy nie zawsze jednakowo szczekają?

– Nie. Na wilka pies szczeka w szczególny sposób, nie tak jak na człowieka. Zresztą i na różnych ludzi on też po swojemu ujada: na złodzieja tak, na zwykłego przechodnia inaczej. A jeszcze inaczej szczeka, kiedy czuje jednego człowieka, bo jak czuje, że ludzi jest więcej, to też całkiem inaczej.

⁹⁴ Lori – por. przypis 40.

⁹⁵ W oryginale *Andrias kerri* „wujek Andrzej”. Dalej tłumacz (dr Stanisław Ulaszek) za wieloznacznym przekładem rosyjskim (дядя Андриас) pisze: „dziadek Andrias”, ponieważ tu problem ewentualnego pokrewieństwa starego człowieka, jakim jest Andrias, z narratorem nie istnieje. Andrias jest ormiańską dialektalną formą imienia Andreas (Andrzej) (AP).

Tu usłyszeliśmy wystrzał, psy rozszczękały się jeszcze gwałtowniej, powstało zamieszanie.

– Ludzie, na pomoc, hej!... Porwał, porwał!... Ratujcie, hej!...
Wieśniacy hurmem wylegli na ulicę.

2

Gdzieś za wsią w nocnej ciszy rozlegał się raz po raz głuchy huk.

Zostałem sam.

Przy drzwiach izby zebrała się grupka kobiet, które trwożliwie jedna przez drugą „achały” i „ochały”. Jedna z nich, staruszka, przeklinała wilka:

– Żebyś zginął, żebyś szczeł!... Żebyś zginął, żebyś szczeł!... –
powtarzała żałośnie, po czym szeptem wypowiadała tradycyjne ludowe
zaklęcie przeciw wilkom:

Adalos,
Galalos,
Zwiążę wilka dwoma palcami,
Dwoma palcami, oboma kciukami,
Mlekiem Boskiej Matki spoję,
Włosiem konia świętego Sarkisa⁹⁶ skrępuję,
Krwawym kamieniem męczenników
Wilka z tropu zbiję,
Kły – uczynię miękkimi,
Nogi – słabymi,
Uszy – głuchymi...

I znowu powtarzała:

– Żebyś zginął, żebyś szczeł! Żebyś zginął, żebyś szczeł!...

– Co tam się dzieje, *nani*⁹⁷? – spytałem, choć dobrze wiedziałem, że
całe to zamieszanie powstało z powodu wilka.

– To wilk, synku, wilk... Pastuch owce z gór na zimę przypędził do
wioski, to i wilczysko przylazło za nimi.

⁹⁶ Sarkis (Sargis) – Sergiusz (AP).

⁹⁷ *Nani* – „babcia”, por. przypis 52 (AP).

3

Tłumnie, głośno się przekrzykując i śmiejąc, powrócili wieśniacy do izby.

– A nie mówiliśmy ci?!...

– To naprawdę był wilk?

Zamiast odpowiedzi chłopci wypchnęli do przodu smagłego siedemnastoletniego młodziana.

– No to, synku⁹⁸ Simonie, opowiadaj, jak się rzecz miała.

– Pędziłem owce do domu. Doszliśmy do wioski, aż tu raptem patrzę – owce się czemuś płoszą, a jeden pies próbuje do środka stada się przedostać... A inne psy akurat wilka pod krzakami wyczuły, zaczął uciekać... no to puściły się za nim: „Gonić go, gonić, hej!... Łapać go, trzymać, hej!...”. Widzę, że część owiec odbiła od stada i zaczęła się rozłazić. Odwracam się – wilk! Złapał jedną owcę, wlecze ją, ogonem popędza, a ta razem z nim biegnie noga w nogę!... Całkiem jak konie w zaprzęgu nowożeńców jadącym do ślubu!... „Ej, ej!...” – krzyknąłem w tamtą stronę. Kiedy huknęły strzały, wilk rzucił owcę i uciekł.

– Bo musisz wiedzieć, że ten przeklęty zbój w środku stada się skrywał – pospieszył z wyjaśnieniem dziadek Andrias. – Taka już ich natura... – ciągnął nadal, zwracając się ku mnie. – Wychodzi na łowy wilk z wilczycą. Jedno z nich chowa się gdzieś w pobliżu owiec, a jak wyczuje taką możliwość, to i w środku stada się skrywa. Drugie tymczasem specjalnie kręci się koło psów i pastuchów i skutecznie prowokuje ich do pogoni za sobą. Korzystając z powstałego wtedy zamieszania, wilk skrywający się w stadzie porwuje owcę, chowa ją gdzieś i wraca – spieszy z pomocą pierwszemu. Doświadczony pastuch nigdy nie popędzi za uciekającym wilkiem, bo dobrze wie, że prawdziwe niebezpieczeństwo zagraża mu z tyłu.

– Czyli ten pastuch okazał się bardzo dzielny – stwierdziłem z uznaniem. – Zdołał ocalić owcę, żywą i całą wyrwał z paszczy wilka.

⁹⁸ W oryginale przed imieniem Simon (Szymon) stoi rzeczownik *tygha* (z akcentem na ostatniej sylabie, por. także przypis 4) o znaczeniu „chłopiec (synek)” (AP).

– A czy kiedykolwiek uda się całą owcę wyrwać z jego paszczy? Jak ten szatan czuje, że owcy jednak nie uda mu się zdobyć, wtedy jednym kłapinięciem odgryza jej ogon⁹⁹ i z nim ucieka.

– To prawda – przyznał dziadek Andrias. – Jak wilk dopadnie owcę, ale nie może jej unieść, to wtedy zawsze jej ogon odgryza.

– A jak bydłęcia dopadnie, zawsze za gardło je łapie – dorzucił jeden z pastuchów.

– Z dużymi zwierzętami wilkowi trudno sobie radzić. Wystarczy, że jedno zaryczy i wszystkie inne już wiedzą, co trzeba robić, albowiem kiedy wilk się zbliża, bydło ryczy w szczególny sposób. Całe stado wówczas zbiera się razem, staje kołem, głowami do środka, a ogonami na zewnątrz, przy tym zwierzęta stykają się bokami...

– Jednak bydło rogate, dziadku Andriasie, jest strachliwe i dość łatwo staje się łupem wilków. Co innego konie! Tego, jak koń potrafi z wilkiem walczyć, nie umie żadne inne zwierzę. Gdy tylko koń poczuje zapach wilka, stawia uszy, zaczyna rzeć, parskać i natychmiast cały tabun gromadzi się na ten znak w jednym miejscu. Klacze tworzą koło, zaganiają do niego źrebięta, ustawiają się głowami do środka, a zadami do tyłu – i już ich kopyta są gotowe na przywitanie wroga. Nic dobrego zapewne wilka tu czekać nie będzie!... Jednak najgroźniejszy dla wilka jest ogier. On nie staje w kole razem z klaczami. Ogier głośno rży i z rozwiewającą się grzywą galopuje szaleńczo wokół tabunu, rzuca się na atakujące wilki i tratuje kopytami pierwszego albo zabija go jednym kopnięciem tylnych nóg. Jeżeli klacz jest sama, to nie rusza się z miejsca – stoi i swoją piersią osłania źrebię, które chowa się pod jej brzuchem. Wilk rzuca się na konia to z jednej strony, to z drugiej, gwałtownie chwyta go za gardło, jednym szarpnięciem rozpruwa mu brzuch. Niekiedy łapie go nawet za pysk. Czasami wilk pojawia się obok konia i – udając, że się go boi – zaczyna uciekać. Koń z dumnie zadartą głową rzuca się za nim w pogoń, a wtedy wilk raptem odwraca się i atakuje.

⁹⁹ W oryginale mamy tu ormiańską nazwę grubego, tłustego owczego ogona: *dmak* (w odróżnieniu od zwykłej nazwy ogona: *pocz*). W rosyjskim przekładzie występuje tu rosyjski wyraz pochodzenia turkijskiego *кypдоk* (po turecku: *kuyruk* to „ogon” w ogóle). Wyraz *kurdiuk* występuje także w specjalistycznym polskim słownictwie zootechnicznym (AP).

– Z osłem tak samo robi – powiedział dziadek Andrias. – Najpierw się z nim pobawi, potem kładzie po sobie uszy i niby przed nim ucieka. Osioł zaczyna go gonić... i dogania, dogania, dopóki wilk nie ściągnie go na upatrzone miejsce... I tam spokojnie już osła zjada. Nie na darmo się mówi: „Mogła osła to wilczy brzuch”...

– Owce też biegną czasem za wilkiem – zauważył któryś z obecnych.

– Właśnie te dwa stworzenia – osła i owcę – wilk najbardziej lubi.

– Najrzadziej jednak napada na świnie i bawoły.

– A czy wilk naprawdę tak bez lęku podchodzi do wsi?

– Syty wilk to bardzo tchórzliwe zwierzę – odparł dziadek Andrias – ale teraz dla niego ciężki czas się zaczyna. Nadchodzi zima, łowy w lesie stają się trudniejsze, a stada bydła schodzą z gór i wracają do domów. Wilk nie ma czego żreć. A kiedy głód robi się już nie do wytrzymania, wilk nie tylko do wsi przyjdzie, ale nawet do domu wtargnie. Jak go zimą głód zmusi, to i psa sprzed domu porwie. Za zwykłą myszą się ugania, byle zgniłki zjada... Nawet swoje młode pożera... Zimą wygłodniałe wilki zbierają się w watahy... W naszych górach zimą wilki mogą jeszcze cokolwiek upolować: zająca albo inną drobną zwierzynę. Sarny i jelenie zganiają ku zamrożonym wodom, wpędzają na lód – zwierzęta ślizgają się, nie mogą uciekać, padają, a wilki duszą swoje ofiary i zjadają. Natomiast na równinach, gdzie nie ma na co zapolować, wilk robi się z głodu jeszcze bardziej śmiały i niebezpieczny. Często też występują wśród nich przypadki wścieklizny.

– Ja też bym mógł coś o tym powiedzieć – wtrącił Awo pochodzący z Szoragialu. – U nas, na równinach – rozpoczął – wilki są o wiele groźniejsze niż w górach. Zimą, nocami, panoszą się we wsi, po wszystkich zakamarkach myszkują. Psy musimy chować, zamykać... żeby ich wilki nie pożarły. W naszych stronach zimą niebezpiecznie jest człowiekowi chodzić samemu po ulicy, zwłaszcza nocą. Przypomina mi się jedno takie zdarzenie. Mielśmy wołu, zwał się Ciran¹⁰⁰. Pewnego razu w zimie przepadł. Brat wysłał mnie na poszukiwania, a miałem wtedy jakieś szesnaście-siedemnaście lat. Obszedłem całą wieś – nie

¹⁰⁰ *Ciran* to ormiańska nazwa owocu moreli albo przymiotnik o znaczeniu „kolorowy; purpurowy” (AP).

znalazłem naszego wołu. Niedaleko za wsią stały puste¹⁰¹ obory. Przyszło mi do głowy: a może wół z przyzwyczajenia tam właśnie trafił? Poszedłem tam, zajrzałem do jednej obory, do drugiej – i odnalazłem zgubę. Wyprowadziłem wołu na drogę. Patrzę... a tu już ciemno się robi. Niepokój mnie ogarnął, rozumiałem – przed zmrokiem do domu nie zdążę... Co robić? Jak sobie poradzić?... Wkoło jedynie śnieżne pole, ani domów, ani ludzi, a do obrony w razie czego mam tylko nóż i cienki patyk...

Cóż miałem począć? Poleciałem się Bożej opiece i popędziłem wołu naprzód, przed siebie. Uszliśmy niedaleko, bo nagle z wiatrem dobiegł mnie jakiś żalosny odgłos. Zatrzymałem się, słucham... u-u-u-u!... rozumiałem, to głodne wilki wyją.

Wkrótce zawyły jeszcze głośniejsze, cała sfora... Patrzę: daleko, z prawej strony, świecą się w ciemności jakby pary światełek, wszystkie podwójne... dużo ich, i poruszają się... i zbliżają!... To ślepie wilków, rozumiałem, idzie ich cała wataha... wygłodniała!... Zawróciłem wołu z powrotem do obory, poganiam go, okładam patykiem i sam też biegnę, ile sił w nogach! Oglądam się, a wilki już całkiem blisko. Porzuciłem wołu, wpadłem do obory, po słupie wdrapałem się do góry, pod sam dach – tam jest gdzie się schować...

– Wiemy, wiemy... pod dachem, na poprzecznych belkach...

– Otóż to... wlałem na belkę, ale nie zdążyłem nawet jeszcze się na niej umościć, gdy usłyszałem ryk mojego wołu. To zdumiewające, jak w ciągu najwyżej dwóch minut wilki pokonały taką odległość i dopadły biednego Cirana...

– Wilkowi kroku nie dotrzymasz – powiedział dziadek Andrias. – Widzisz, jak sobie stoi niby gdzieś daleko, na wierzchołku wzgórza, a po chwili ni stąd, ni zowąd już obok ciebie wyskoczy! Dlatego ludzie nazywają wilka Azraelem¹⁰².

¹⁰¹ Chodzi o leżące poza wsią pomieszczenia dla bydła używane latem. Zimą chłopci trzymali swe zwierzęta w przydomowych oborach. Tu wół Ciran „przypomniął sobie” miejsce letniego zamieszkania i tam się właśnie skierował (AP).

¹⁰² Azrael – „w teologii żydowskiej i muzułmańskiej anioł śmierci, który czuwa nad umierającym i oddziela duszę od ciała” (W. Kopaliński, *Słownik mitów i tradycji kultury*, PIW, Warszawa 1985, s. 66) (AP).

– Tak – ciągnął Awo – niedługo ryczał mój wół. Wkrótce zaczął chrypieć, a potem już tylko szczekanie wilczych zębisk słyszałem.

„Ach, kochany Ciranie¹⁰³” – westchnąłem. – Tylko czy jego losem miałem się wtedy przejmować?... Swoją głowę winienem raczej opłakiwać, swoją skórę ratować. „A może i lepiej, że się tak stało – pomyślałem – wilki do świtu będą się pastwić nad wołem, nażrą się i może odejdą, może mnie nie znajdą?” Ale gdzież tam głodny wilk by się tak szybko nasycił?! Jak powiem, że było ich pięćdziesiąt, to wy rozumiecie, że sto! Migiem Cirana pożarły... Raptem widzę, że wszystkie podwójne ogniki zbiły się w ciemnym kącie obory, paszcze rozdziawione, świdrują mnie wzrokiem... Znalazły!...

Przylazły wilczyska, stłoczyły się w oborze, łakomie się we mnie wpatrują, ostre kły szczerzą...

Skuliłem się, przylgnąłem płasko do belki... Popatrzyły na mnie, popatrzyły... i wypadły z obory. Odetchnąłem. „Dzięki Ci, Panie Boże!... – szepczę do siebie. – Udało się, żyję, jestem cały”.

Jednak nie zdążyłem jeszcze dopowiedzieć: „Dzięki Ci, Panie...”, kiedy usłyszałem, jak akurat nade mną wilki rozrywają pazurami poszycie dachu, łapami odwalają całe kawały. Po chwili słyszę, że już o krokwie nawet drapią.

Zimny pot mnie oblał ze strachu... Piorunem zmieniłem miejsce, przesunąłem się na inną belkę i skulony dygoczę, czekam...

Wilki wydrapały dziurę w dachu i widzą, że pod spodem mnie nie ma... Z powrotem rzuciły się więc do obory, zobaczyły, że leżę już na innej belce, i odeszły. I zaczęły ryć kolejną dziurę... nad moją nową krokwią.

No to znów się przeniósłem w inne miejsce. I tak, posuwając się za mną krok za krokiem, wilki rozszarpały cały dach, a ja wciąż zmieniałem miejsce, aż w końcu znalazłem się na ostatniej belce.

Dalej już nigdzie nie mogłem uciekać!...

Przy sobie, jak pamiętacie, miałem ostry nóż. Wyjąłem go, otworzyłem i trzymam w pogotowiu. I modłę się własnymi słowami: „Ocal mnie, Boże, wybaw od tego nieszczęścia...”.

A wilczyska akurat skrobią dokładnie nad moją głową. Jeden wysunął łapę, żeby poszerzyć dziurę w dachu. Schwyciłem tę łapę i ugodziłem

¹⁰³ W oryginale: *Ciran-dżan!*, por. przypis 51 (AP).

w nią nożem... Wilk zawył, cofnął łapę i pewnie chciał się rzucić do ucieczki, ale słysząc tę gwałtowną kotłowanąinę, jaka w owej chwili rozgorzała na dachu, zrozumiałem, że daleko nie uciekł. Pozostałe wilki go rozszarpały – tak to już u nich jest, że rannego natychmiast pożerają. „To teraz – myślę – jak z nim skończą, znowu do mnie wrócą”. Trzymam nóż w pogotowiu, czekam, przysłuchuję się... Aż nagle wśród nocy, jak gdyby we śnie, słyszę daleki głos:

– Awo, he-e-ej!...

Wołają mnie!...

„Boże, czy naprawdę ktoś mnie woła?... Czy to brat?... Czyżby nasi?...” Krzyczę z całych sił:

– Aghanik¹⁰⁴, hej, hej! Tutaj! Jestem w oborze... Wilki mnie atakują... Ratunku, hej!”

Moich krzyków nikt nie słyszy, chociaż wrzeszczę najgłośniejszym głosem. Rozległy się strzały; słyszę skowyt wilków, krzyki ludzi... Poznaje głosy brata i naszych wiejskich kompanów.

– Awo, hej! Gdzie jesteś?

– Tutaj, tutaj... Żyję!...

Ludzie wbiegli do obory.

– Dzięki Ci, Boże, dzięki Ci, Boże!... – wykrzykują radośnie.

Zsunąłem się w dół z ostatniej belki, padłem bratu w objęcia i zapłakałem.

– A czego ty płaczesz? Lepiej podziękuj Bogu za to, żeś się na nowo narodził – słyszałem ze wszystkich stron. I wyprowadzili mnie na dwór.

A tam na ziemi leżały ogryzione kości Cirana.

Zorza na niebie jeszcze się nie rumieniła. W oddali słychać było wycie wilków.

4

Na tym pochodzący z Szoragialu Awo zakończył swoją opowieść. Dalsza rozmowa dotyczyła wilczych stad.

Mieszkańcy wioski wyjaśnili mi, że to długie zimy i brak pożywienia sprawiają, że wilki łączą się w stada.

¹⁰⁴ Aghanik – ormiańskie imię męskie (podobnie jak Awo) (AP).

Wyciem wzajemnie się nawołują, zbierają w gromady-watahy, aby mieć większą siłę zarówno wtedy, kiedy same napadają, jak i kiedy muszą odpierać ataki.

Zimą samotny wilk o wiele łatwiej może zginąć niż taki, który żyje w stadzie. Bo trudniej mu samemu zdobyć pożywienie.

Dlatego wilki łączą się w stada liczące pięćdziesiąt, sto albo i kilkaset osobników.

Takie stado, zwłaszcza zimą, kiedy oszalałe z głodu zwierzęta często dostają wścieklizny, jest potwornie niebezpieczne. Wtedy, jak mówią, nawet jedno drugiego się boi. Bo też wiadomo, że kiedy stado się zatrzymuje na odpoczynek, wilki tworzą koło i każdy układa się tak, żeby widzieć wszystkie pozostałe – nie dowierzają jeden drugiemu, każdy się boi, żeby go inne nie zjadły. Ale niektórzy powiadają, że wilki jakoby dlatego tworzą koło, żeby wzajemnie się widzieć i – jeśli zajdzie potrzeba – momentalnie zareagować na znak przywódcy stada.

Ani ciemności, ani bezdroża, ani znaczne odległości nie stanowią dla wilka żadnej przeszkody, wszystko to nic dla niego nie znaczy.

On jest zadziwiająco wytrzymały i potrafi biegać z wielką łatwością, toteż w ciągu jednej nocy może pokonać taką odległość, na jaką koń potrzebuje trzy albo i cztery noce.

A o niezwyklej ostrości wilczego wzroku świadczy chociażby taka ogólnie znana opowieść. Głosi ona, że niegdyś między wilkiem i orłem rozgorzał spór o to, który z nich ma lepszy wzrok. Wilk powiada: „Kiedyś, w pochmurny dzień, stanąłem na szczycie wysokiej góry, spojrzałem w dół – i poprzez chmury ujrzałem odległe, świeżo zorane czarne pole, a na nim czarne jagnię leżące w czarnej bruździe”.

Orzeł mu odpowiedział: „A ja wleciałem do nieba, spojrzałem w dół – i przez komin zobaczyłem stojący na ogniu kocioł z trochę odsuniętą pokrywką, i przez tę szparkę dostrzegłem, że w gotującym się mleku pływa biały włos...”.

Przy tym wszystkim nie wolno zapominać, że wilk to piekielnie chytre i przebiegłe stworzenie!...

Dopóki nie nabierze absolutnej pewności, że podczas ataku nic mu nie zagraża, nie zdecyduje się napaść na ofiarę. Co innego, kiedy z głodu dostaje szału, wtedy nie zważając na wszelkie niebezpieczeństwa, rzuca się

bez opamiętania na upatrzoną zdobycz, jednak zazwyczaj wilk-przechera jest bardzo ostrożny i cwany.

Swego czasu jeden chłop opowiedział taką jeszcze historię: „Zakładałem – mówił – wnyki na zwierzynę. Rano idę je sprawdzić... i widzę: leży wilk, złapał się w pułapkę. Jedną nogę wsadził między sprężyny potrzasku, żelastwo mu łapę zmiażdżyło i zdechł, pewnie się wykrwawił. Wydostałem go z pułapki, odrzuciłem cielsko na bok i nie podnosząc głowy, rozwierałem dalej żelazne szczęki wnyków. Nagle patrzę – a ten niby nieżywy wilk biegnie do lasu, wlokąc za sobą beużyteczną, zwisającą nogę! Rzuciłem się za nim, chciałem dogonić, ale gdzie tam!... Zdążył przepaść w gęstwinie. Okazało się, że ranny wilk specjalnie udawał martwego!”.

A kiedy zimą wataha rusza w drogę, to wszystkie wilki suną jeden za drugim, gęsiego, ślad w ślad... przy czym z przodu idą te najsilniejsze i najbardziej doświadczone. Stado ma z tego podwójną korzyść. Po pierwsze taką, że te, które idą na przedzie, torują i ułatwiają pozostałym drogę, dzięki czemu nie muszą się one zbytnio męczyć i zachowują więcej sił. Druga korzyść jest taka, że po samych śladach nikt nie będzie mógł się zorientować, ile wilków stado liczyło. Dlatego, patrząc na taki ślad, żaden myśliwy nie jest w stanie dokładnie określić, ile wilków było w stadzie.

I niech Bóg broni, jeżeli wataha dostrzeże na swej drodze jakąkolwiek zdobycz! Czy to jakieś dzikie zwierzę, czy domowe bydło, wszystko jedno – wilki natychmiast otaczają ofiarę z każdej strony i nie ma już dla niej ratunku. A leśną zwierzynę, zwłaszcza sarny i jelenie, zaganiają na zamarznięte rzeki. Tu zwierzęta ślizgają się, padają, nie mogą wstać, bo ich kopyta na lodzie się rozjeżdżają – i wilki bez trudu je wtedy dopadają i zabijają. Czasem też gonią zwierzynę na skraj stromego urwiska, ta przerażona rzuca się w przepaść, roztrzaskuje o skały, a wilki schodzą potem na dół i zżerają nieszczęsne ofiary.

Dla człowieka wilcze stado również bywa poważnym zagrożeniem. Jeżeli ludzi jest niewielu, jeden człowiek lub dwóch, stado nie czuje przed nimi strachu, nawet gdy mają ze sobą strzelbę. Zresztą ze strzelbą, prawdę mówiąc, jest jeszcze niebezpieczniej: wystarczy, że któryś strzeli – i zaraz całe stado na nieszczęśników się rzuca.

To czego w takim razie wilk rzeczywiście się boi? – zechcecie pewnie wiedzieć.

O tym znajomi chłopci także opowiedzieli kilka ciekawych historii.

5

– Najbardziej wilk boi się ognia – stwierdził dziadek Andrias. – W naszych stronach, jak wiecie, wilków nie brakuje. Jest takie jedno miejsce... no po prostu prawdziwe wilcze gniazdo! Na nasz las ludzie mówią: Motkora. W tym lesie jest wąska kotlina i żyje w niej mnóstwo wilków, toteż nazywa się ona Wilczy Żleb¹⁰⁵.

Pewnego razu, wieczorem, na początku zimy, wracałem do domu z górskiej zagrody dla bydła. Pech chciał, że był wtedy ze mną akurat mój syn Stepan, dziesięcioletni chłopiec. Kiedy tylko zrównaliśmy się z Wilczym Żlebem, usłyszeliśmy szczekanie psa. Pomyślałem: owczarek ujada, to chyba pasterze przygnali tutaj owce. Zawołałem:

– Hej, he-e-ej, pasterze!¹⁰⁶ He-e-ej!...

Po tym moim okrzyku szczekanie momentalnie ucichło, raptem pa-trzę... a z lasu w naszą stronę pędzi sfora wilków z rozdziawionymi paszczami!... Ciemno w oczach mi się zrobiło. No bo pomyślcie... to nie pies ujadał, ale wilk! On, przeklęty, nie tylko wyje, ale potrafi też szczekać, od psów się widać nauczył...

Miałem ze sobą strzelbę, ale do stada wilków strzelać nie wolno. Wypalisz, a one jeszcze bardziej zaczynają się wściekać.

– Co to takiego, *api*? – zapytał synek.

– Nic, nic... nie bój się! – powiadam. – Bądź dzielny.

Szybko zebraliśmy kilka naręczy chrustu i je podpaliłem.

W Motkorze drewna jest pełno. Nim stado się zbliżyło, płomienie naszego ogniska sięgały już wierzchołków drzew.

Wilki otoczyły nas ze wszystkich stron, ale blisko nie podchodzą. Tylko warczą i kłami szczękają. W ciemnym lesie ich ślepia niby fosfor świecą, co rusz parami się zapalają. Chłopiec wtulił się we mnie, płacze...

– Nie bój się, kochany Stepanie, jestem z tobą. I nie płacz, bo jak się będiesz mazał, to wilki nas zjedzą.

Chłopiec umilkł, ale wciąż trzyma mnie kurczowo za rękę i cały drży ze strachu, trzęsie się jak listek.

¹⁰⁵ W oryginale: *Gili tala* (dialektalne wyrazy o znaczeniu „wilcza polana”) (AP).

¹⁰⁶ W oryginale: *czoban*, por. przypis 61 (AP).

– Boże miłosierny – błagam w cichej modlitwie – wybaw nas od tego nieszczęścia...

Co robić? Jedyne nadzieja w ogniu, ale synek trzyma mnie mocno i nie pozwala ruszyć się na krok. Obok stało uschnięte drzewo, przesunąłem blisko ku niemu płonące polana, dorzuciłem jeszcze suchych gałęzi, patyków... I ognisko rozpało się z nową siłą, płomień buchnął w górę i uschnięte drzewo wkrótce też całe się zajęło. Dzięki temu czerwoną lunę nad wąwozem zauważyli pasterze. I zaczęli się zastanawiać: „Co to za ogień tam w żlebie o tej porze?... Tylko patrzeć, jak cały las się spali!”. I zaczęli krzyczeć.

Przysłuchałem się... rozpoznałem głos naszego Szamira. Wołam:

– Szamir, he-e-j!... Szamir! Wilki... otoczyły nas... Synek ze mną jest... Ratujcie nas, he-e-ej!...

Usłyszeli. Kilku pasterzy jednocześnie odpowiedziało na moje wołanie:

– Już, już, idziemy! Nie bójcie się! Idziemy, he-e-ej!...

I coraz wyraźniej słyszeliśmy, jak popędzają jeden drugiego i jak przywołują psy:

– Toblan, hej! Chajtar, hej! Czambar, hej! Czałak, hej!...

Psy jęły ujadać. Słyszę, że są coraz bliżej i już w samym żlebie szczekają.

Tu mój chłopak znowu zaczął płakać i się trząść.

– Nie bój się, Stepan – mówię. – Nie płacz, zaraz nasi przyjdą...

A musicie też wiedzieć, moi drodzy, że ów Toblan, który należał do naszego Szamira, był psem-dusicielem i zaciekle tępił wilczyśka. I to jego szczekanie właśnie usłyszałem już całkiem blisko. Potem coraz wyraźniejsze stawało się też ujadanie innych psów, rozbrzmiewały podniecone głosy pastuchów. Las się nappełnił dźwiękami. Nagle mój Stepan jak nie wrześnie:

– Api, wilki uciekają!...

Wtedy ja też zacząłem krzyczeć i rzucać w stronę wilków kamienie, grudy zmarzniętej ziemi, gałęzie...

I zwały te diabły momentalnie, wpadły do lasu, zginęły w mroku bez śladu.

Zaraz potem nasi pasterze się przy nas pojawili.

– A no, gadajcie – powiadają – co się tu wydarzyło?

– Co się wydarzyło, to dzięki wam już się na szczęście skończyło! Oby Pan Bóg miał w opiece was i wasze domy, a było, moi drodzy, tak i tak...

Poszliśmy razem z pastuchami do ich obozowiska i przesiedzieliśmy tam, dopóki nie zrobiło się jasno. A rano wszyscy razem wróciliśmy do domu.

– Tak kiedyś ogień ocalił nas przed wilkami – zakończył swoją opowieść dziadek Andrias.

6

– *Usta Sarkisie*, teraz twoja kolej – powiedział jeden z wieśniaków. – Opowiedz, co cię spotkało, jak szedłeś kiedyś z Szoragialu.

– A co tu gadać, przecież wszystko to już wiecie – odparł Sarkis.

– My wiemy, ale nasz gość nie wie.

– Opowiedz, opowiedz, Sarkisie, chętnie znów posłuchamy, co ci się przydarzyło w drodze z Szoragialu.

Usta Sarkis był muzykantem i grywał na oboju¹⁰⁷. Dotąd siedział rozwalony i spokojnie ćmił fajkę. Teraz się wyprostował i zaczął swoją opowieść:

– Pewnej brzydkiej jesieni cała nasza trójka: ja, akompaniator¹⁰⁸ Akop i grający na bębnie¹⁰⁹ Dawid skrzyknęliśmy się, wzięliśmy swoje instrumenty i postanowiliśmy: „Pójdziemy do Szoragialu, po drodze będziemy grać na wiejskich weselach, i pewnie zbierzemy za to tyle ziarna, że zimę jakoś przeżyjemy”.

Sami wiecie, że zboża w Szoragialu jest dużo i że jest bardzo dobre, a u nas, w górach, nie dość, że go jest mało, to jeszcze i grad często je niszczy.

¹⁰⁷ W oryginale: *zurna* (z perskiego *zornâ*, por. F. Steingass, *Persian-English Dictionary*, London 1892, s. 615: *zurnâ* „a trumpet, a hautbois”). Od tego samego perskiego wyrazu pochodzi polska „surma” (AP).

¹⁰⁸ W oryginale: *dam-kasz* (z perskiego *dam-kaš*), dosłownie: „oddychający”, por. definicję tego wyrazu podaną przez *Słownik ormiańsko-rosyjski* (Армянско-русский словарь, Ереван 1984, s. 177): „В восточной музыке о музыканте, создающем звуковой фон (без мелодии), сопровождающий пение или игру на музыкальных инструментах”. Por. polski wyraz „akompaniator” (AP).

¹⁰⁹ W oryginale: *dyhol-czi*, dialektalne ormiańskie zapożyczenie z tureckiej nazwy *davulcu* [*dawulđu*] „dobosz, muzyk grający na bębnie (*davul*)” (AP).

Chodziliśmy od wsi do wsi, graliśmy na weselach. I zebraliśmy niemało pszenicy i jęczmienia. Zostawiliśmy to nasze zboże jednemu znajomemu na przechowanie, a sami wróciliśmy do domu.

Nie wiem, czy byliście kiedyś w okolicach Szoragialu?¹¹⁰ Jest tam taka wiejska osada – Horom. Wyszliśmy z niej i ruszyliśmy do Artiku. W drodze zaskoczyła nas zameć, śniegu po kolana, a mroźny wicher jak nożem tnie skórę na twarzy. Przodem szedł Dawid. I nagle wykrzyknął:

- Chłopaki, widać wioskę!
- No coś ty, gdzie?
- Tam – powiada – światełka się palą...

Wyteżyliśmy wzrok – faktycznie: jarzy się daleko jakby wiele ogników... Ale po chwili zobaczyłem, że wszystkie się ruszają!

- Oj, chłopaki – mówię – niedobrze!...
- A co?

– To nie może być wioska – powiadam. – Zimą na wsiach wszystkie drzwi do domów i na dachy są pozamykane i żadnych świateł z daleka nie widać – a te nie tylko świecą, ale się w dodatku ruszają!

- Więc co to jest?

– To wilki – mówię. – Prosto w paszczę im trafiliśmy, zaraz nas dopadną, uważajcie... Kiedyś słyszałem, że wilki boją się dźwięków oboju i do człowieka, który na nim gra, blisko nie podchodzą. Szykujcie zatem instrumenty...

W tym czasie, gdy to mówiłem, ogniki wilczych ślepi zdążyły się już do nas zbliżyć. I coraz wyraźniej widzimy, jak się jarzą w ciemnościach, jak biegają wokół po śniegu, jak nas otaczają... A zbiegło się ich tak wiele, że nawet nie sposób było zliczyć...

Ja i Akop zagraliśmy na obojach, Dawid jął walić w swój bęben¹¹¹. I oto w nocy, na dzikim śnieżnym pustkowiu zabrzmiała muzyka – i to jak zabrzmiała! Staraliśmy się ze wszystkich sił!

Przy pierwszych dźwiękach wilki się zatrzymały, jakby im łapy nagle w ziemię wrosły, a potem zaczęły wyć – ale jak! Stały w miejscu

¹¹⁰ Basz-Szoragial – zachodnioormiańska wieś leżąca w prowincji Kars, należącej do Rosji w latach 1877-1918. Po prześladowaniach Ormian w Turcji z lat pierwszej wojny światowej jej ludność przeniosła się do sowieckiej Armenii (AP).

¹¹¹ W oryginale występuje tu wyraz *dyhol* „bęben”, por. przypis 109 (AP).

i wyły! Można było pomyśleć, że my swoim graniem jedynie im akompaniowaliśmy...

– To zabawne... i aż śmieszne – dało się słyszeć ze wszystkich stron.

– Jakie tam śmieszne?! Akurat! Całe szczęście, że nam wtedy nie było do śmiechu! Zdrętwieliśmy ze strachu, krew nam w żyłach zastygła – choćbyś nóż w ciało wetknął, nawet jedna kropelka by nie wypłynęła.

– A dalej? Co się później stało?

– Ruszyliśmy powoli przed siebie, a wilki za nami, krok w krok... Idziemy, gramy, a one suną i podrygują naokoło nas, jakby tańczyły.

A w ogóle, o czym tu jeszcze gadać? Szliśmy tak z nimi, szliśmy, aż w końcu usłyszeliśmy dalekie szczekanie psów. Wkrótce też zobaczyliśmy prawdziwe światła w oknach domów – wieś była blisko. I ludzkie głosy dało się wreszcie słyszeć. Ucieszyło nas to niezmiernie i z tej radości jeszcze głośniej i z jeszcze większym zapalem rzępoliliśmy na swoich instrumentach. Im bardziej zbliżaliśmy się do wsi, tym dalej za nami zostawały wilki, aż w końcu całkiem znikły.

Mieszkańcy wioski z zapalonymi pochodniami gwarnie wylegli nam naprzeciw i zatrzymali się zdumieni. No bo jak mieli rozumieć to, że jest muzyka – dwóch grajków gra na obojach, trzeci w bęben wali – a wesela żadnego nie ma?... I pytają:

– Ej, grajkowie-majstrowie, a gdzie para młoda? Gdzie goście, gdzie weselny orszak?

My odpowiadamy: – Już sobie poszli, z powrotem zawrócili. Nie chcieli do waszej wioski wchodzić.

– A co to byli za goście?

– Wilki...

– Jak to – wilki?...

– Moi drodzy – nie wytrzymałem – później wam o nich opowiemy, nie widzicie, że ledwo trzymamy się na nogach, przemarliśmy, umieramy z głodu? Zaprowadźcie nas do ciepłej izby, dajcie coś jeść, potem wszystko opowiemy.

No i zaprowadzili nas do ciepłej izby¹¹², przynieśli jedzenie, a jak wszyscy się już zebrali, zaczęliśmy opowiadać. Mówimy o tym, co nas

¹¹² W oryginale występuje tu turecki wyraz *oda* „pokój, izba” (por. „odaliska”) (AP).

w drodze spotkało, mówimy, gadamy, gadamy... i sami się coraz bardziej z tej naszej przygody śmiejemy.

A potem dowiedzieliśmy się od gospodarzy, że trafiliśmy wcale nie do tej wsi, którą chcieliśmy odwiedzić, zblądziliśmy bowiem na pustkowiu po nocy i zamiast do Artiku trafiliśmy do wioski Parni.

7

– Wy nam tu o ogniu gadacie, o obojach, ale wilk przecież jeszcze jednej rzeczy się boi. A wiecie jakiej? – spytał jeden ze słuchaczy.

– Sznura!

– Czyżby? Nie może być... Sznura?...

– A tak, to prawda – potwierdził dziadek Andrias. – Jeśli za sobą będziesz ciągnął sznur, wilk się przelęknie i nie podejdzie.

– Jak zwykły sznur może przestraszyć wilka? No jak?

– Chyba że wilkowi będzie się on kojarzył ze żmiją albo jeszcze czymś innym...

– Był w naszej wiosce jeden młody chłopak, miał na imię Jegho¹¹³ – zaczął swoją opowieść Awo pochodzący z Szoragialu. – Wyrósł na śmiałego mężczyznę. Można mu było machnąć szablą przed samym nosem, on nawet okiem nie mrugnął. Jakies cztery lata temu, zimą, udał się w swoich sprawach do sąsiedniej wioski i zabawił tam parę dni. A miał on syna, którego kochał nad życie. Nagle któregoś wieczora dostaje wiadomość: „Twoje dziecko zachorowało i bardzo chce cię zobaczyć!”. Od razu wstał, zebrał swoje manatki i powiada: „Jadę!”. Gospodarze go zatrzymują, przemawiają do rozsądku, perswadują: „Toż to już noc, ciemno, tysiąc niebezpieczeństw czyha na drodze, wilk albo inne zwierzę może cię napaść... Wstrzymaj się do rana – przekonują – każda noc przecież o świcie się kończy, rano pojedziesz i zobaczysz się z synkiem”. Ale Jegho się uparł: „Nie i nie, jadę natychmiast! – powiada. – Szablę ze sobą mam, konia mam, sznur mam... Co mi się może przydarzyć?”. Nie dał się powstrzymać – pojechał. I mniej więcej w połowie drogi faktycznie otoczyło go stado wilków. Ale Jegho miał przy sobie zawczasu przygotowany sznur. Rozwinął go, rzucił koniec sznura na ziemię i ciągnie za koniem.

¹¹³ Jegho – zdrobnienie imienia Jeghiazar (Eliezer) (AP).

Wilki nie podchodzą: boją się zbliżyć, patrzą na sunący sznur i tylko biegną po obu jego stronach. Tak nasz młodzieniec jechał dość długo. Raptem – trudno powiedzieć, jak się to stało – wypuścił z ręki sznur, który upadł na ziemię. Wprawdzie natychmiast dał koniowi ostrogę, przyspieszył, ale wilczyska wnet go zaczęły doganiać, a jeden spróbował nawet jeźdźca zaatakować. Jegho wyciągnął szablę i rozplątał napastnika... A wiecie, że wilki mają taki zwyczaj: kiedy jeden zostaje ranny, to od razu całe stado rzuca się na niego. Tak też i tym razem się stało – dopóki wilki rozszarpały swego zranionego kompana, dopóty Jegho na krótką chwilę zostawiły w spokoju. Ten popędza konia, galopuje i nawet dość daleko odjechał, ale co z tego? Wilki pożarły rannego kompana i rzuciły się w pogoń za jeźdźcem... Jegho chce ponownie dobyć szabli i nie może... Ciągnie i ciągnie, a szabla z pochwy nie wychodzi – zacięła się! A wilki coraz bliżej! Przerażony mężczyzna zębami zaczyna gryźć pochwę, chce ją rozerwać, ale nie daje rady – szabla wciąż ani drgnie! Okazało się, że jak tamtego wilka rozciął, to w pośpiechu nie otarł klingi i zakrwawioną wsunął do pochwy, a klinga na mrozie przymarzła... I tak się skończyło: wilki zżarły i człowieka, i konia. Usłyszeliśmy o tym następnego dnia, poszliśmy tam; na zakrwawionym śniegu leżało pełno kości, wałała się też szabla i strzępy ubrania, wszystko było w nieładzie porozrzucane.

– Skąd wiedzieliście, jak to się stało?

– Człowiek ma przecież swój rozum i doświadczenie. Poszliśmy, obejrzeliliśmy miejsce zdarzenia i wyciągnęliśmy wnioski. Ślady na śniegu wyraźnie mówiły, skąd człowiek jechał, gdzie go dopadły wilki, w którym miejscu rozmotął sznur, jak długo go za sobą ciągnął i gdzie koniec sznura wyslizgnął mu się z ręki. Nieco dalej ujrzeliśmy skotłowane ślady – końskie i wilcze – wszystkie bezładnie przemieszane... a wśród nich kłaki sierści i wilcze kości. A nieco dalej znaleźliśmy również to miejsce, w którym wilki rozszarpały Jegho i konia. Szablę przynieśliśmy do domu, na pochwie wyraźnie było widać ślady ludzkich zębów. Próbowaliśmy wyciągnąć szablę z pochwy, szarpaliśmy, szarpaliśmy – nie udało się. Pokazaliśmy ją płatnerzowi; ten rozłamał pochwę i szablę wyjął; patrzymy, a ona cała w zamrożonej krwi – na amen do pochwy przywarła.

– No cóż, szkoda człowieka... – ze współczuciem orzekli słuchacze. – Nie bez racji ludzie powiadają, że cierpliwość to życie. Nie mógł, głupek, poczekać do rana i jechać, kiedy się rozwidni?

8

– A mnie się zdaje, przyjaciele, że nie ma na świecie stworzenia wredniejszego od wilka. Co wy na to? – odezwał się jeden z wieśniaków po ostatnim, smutnym opowiadaniu.

– Tak właśnie jest, żebyście wiedzieli – potwierdził dziadek Andrias i zwrócił się do mnie.

– A jak ty myślisz, mój panie¹¹⁴?

– Ja również tak sędzę – odparłem. – A i w książkach czytałem, że żadne inne zwierzęta nie wyrządzają ludziom tyle szkody co wilki, zwłaszcza w tych krajach, gdzie rozwinięta jest hodowla bydła. W każdym państwie wilki powodują znaczne straty. Tylko w samej Rosji ginie przez nie każdego roku prawie milion sztuk bydła.

– To dlaczego poszczególne kraje nie myślą, jak temu zaradzić, nie szukają jakiegoś wyjścia z sytuacji? – przerwał mi jeden z wieśniaków.

– Ależ myślą, oczywiście, że myślą. W niektórych państwach nawet specjalną premię wypłacają za każdego zabitego wilka. Tam tępi się je ustawowo, na wszelkie sposoby. Dlatego w Europie są takie kraje, gdzie wilków zupełnie już nie ma, na przykład Anglia albo Niemcy...

– Masz ci los! – wykrzyknęli zdumieni chłopci. – Jakże to?... Znaczący się wilków w tamtych krajach teraz wcale nie ma?

– Nie ma...

– Ba, to ci dopiero kraje! Wygonisz bydło i możesz je zostawić, a samemu iść sobie, gdzie chcesz...

– Istnieją również takie państwa – ciągnąłem dalej – w których wszystkie wilki są policzone i wiadomo, czy jest ich pięć czy – powiedzmy – sześć sztuk...

– Nie do wiary! – dziwili się słuchacze. – U nas ludzi jeszcze dotąd nie policzyli, a tam wiedzą nawet, ile wilków mają!...

– Mówisz, że wilki tam tępią prawie do ostatniego... Ale w jaki sposób to robią? – zapytał stary wieśniak o imieniu Sahak.

¹¹⁴ W oryginale: *paron* „pan” (por. przypis 17), średniowieczne zapożyczenie z języka francuskiego. W wymowie zachodnioormiańskiej: *baron* (z akcentem na ostatniej sylabie, jak zwykle w języku ormiańskim); odpowiednik polskiego „barona”, z francuskiego *baron* (wyraz pochodzenia germańskiego) (AP).

– Rozmaicie, dziadku Sahaku¹¹⁵. Jak już mówiłem, za każdego zabitego wilka państwo wypłaca specjalną nagrodę albo premię. Toteż myśliwi starają się upolować ich jak najwięcej, żeby i pieniędzy dostać jak najwięcej. Mają tam nawet specjalne myśliwskie towarzystwa, które zajmują się głównie odstrzałem wilków. W niektórych krajach, na przykład w Hiszpanii, jeśli człowiek za zabicie wilka nie otrzyma od państwa należnej zapłaty, to wdzięczni ludzie sami go za to nagradzają. Myśliwy ładuje zabitego wilka na osła albo konia i jeździ z nim od wsi do wsi, a właściciele domowego bydła dają mu pieniądze. I wszyscy chętnie dają...

– Ale ja o co innego pytałem. Chciałem się dowiedzieć, czym je zabijają... I jak się ich pozbywają?

– Ach, to ty o tym, dziadku Sahaku... Opowiem i o tym, zaraz opowiem...

Jak wilka zastrzelić albo złować w potrzask, sami – ma się rozumieć – wiecie najlepiej. Ale gdzie indziej oprócz strzelb i wnyków stosuje się też inne środki, na przykład wilcze doły; wykopuje się jamę głębokości półtora sążnia¹¹⁶ i szerokości jednego sążnia i przykrywa chrustem, obsypuje popiołem, a na wierzchu kładzie się mięso. Tak przygotowaną jamę ograda się ze wszystkich stron, żeby wilk musiał skoczyć po mięso przez ogrodzenie i przy tym wpadł do dołu. Ale w ten sposób, oczywiście, mało wilków się upoluje.

Są w innych krajach również takie miejsca, gdzie ludzie na polowanie zbierają się całą gromadą, idą do lasu i otaczają jego określony fragment. Myśliwi zaś, ze strzelbami gotowymi do strzału, okrążają go z trzech stron, a z czwartej wchodzi hałasujący tłum – z psami, wrzaskami, trzaskami, hukami – i wygania zwierzynę prosto na myśliwych. Tyle że w ten sposób poluje się na gęsto zalesionych terenach, co zresztą też nie przynosi zbyt dobrych rezultatów. Zdarza się bowiem tak, że mimo starań nagonki łupem myśliwych pada zaledwie jeden albo dwa zające.

¹¹⁵ W oryginale: *bidza Sahak* (ormiańska forma hebrajskiego imienia Izaak); *bidza* – por. przypis 39 (AP).

¹¹⁶ W oryginale autor użył rosyjskiego terminu *sažen*. Polski odpowiednik tej miary, „sążen”, opartej na odległości dłoni rozstawionych ramion człowieka, wynosi około 170 cm (*Słownik języka polskiego*, t. 3, red. M. Szymczak i in., PWN, Warszawa 1981, s. 184) (AP).

A wilkom najczęściej bez trudu udaje się przy tym uciec i zniknąć. W ten sposób bardzo niewiele udaje się zabić.

Na zasypanych śniegiem bezkresnych połaciach Rosji jeszcze inaczey poluje się na wilki – pędzi się za nimi konno! W głębokim śniegu wilkowi trudno jest uciekać, łapy mu więzną, szybko traci siły. Z łatwością więc się go dogania i zabija jednym uderzeniem dębowego kija. Najczęściej jednak w Rosji wilki się truje. Ze zdechłej owcy zdziera się skórę, mięso się nacina i posypuje trucizną, po czym znowu naciąga się skórę – i tak nafaszerowana padlina zostaje w nocy podrzuczona na polu. Głodne wilki zbiegają się, pożerają ofiarę i na miejscu zdychają.

9

– Wszystko to prawda¹¹⁷, wilk dużo szkody ludziom wyrządza, ale tak o nim jakoś ładnie opowiadałeś, że szczerze mówiąc, żal mi się go zrobiło – powiedział stary Sahak.

– Ależ, dziadku Sahaku, czy nad wilkami można się użalać, czy można im współczuć? – wtrącił jeden z pastuchów.

– No pewnie, jakżeby inaczej?! Czyż wilk nie jest żywym stworzeniem? – obruszył się Sahak.

– Ano jest, i bardzo przypomina naszego psa... – dodał od siebie dziadek Andrias. – A nawet jest całkiem taki sam. Przecież jeżeli psa porzuci się na gołym stepie, zostawi samego, głodnego, bezdomnego i na dodatek będzie się go wciąż tropić i na wszelkie sposoby prześladować, to szybko zdziczeje i stanie się taki jak wilk. Z drugiej strony, jeżeli dzikiego, głodnego wilczka weźmie się do domu, przygarnie, nakarmi do syta, otoczy opieką, to zwierzę się oswoi i po jakimś czasie zamieni w domowe, całkiem podobne do psa.

– Ale czy wilka da się w ogóle udomowić, dziadku Andriasie?

– No pewno, że się da! I nawet często tak się zdarza. Spróbuj kiedyś złapać małego wilczka, przynies go do domu, dawaj mu jeść, opiekuj

¹¹⁷ W oryginale wypowiedź „staruszka Sahaka” (*ceruni Sahak*) poprzedzona jest zwrotem *warżapet!* („nauczycielu!”). Tak tytułowali chłopci swego rozmówcę, wykształconego inteligenta, jakim był Howannes Tumanian (AP).

się nim, a za jakiś czas będziesz już widział, czy stał się on zwierzęciem domowym czy nie.

– To dlaczego się mówi, że natura zawsze ciągnie wilka do lasu?

– Bo to też prawda. Pierwsze pokolenie ta natura ciągnie, drugie ciągnie; ale mimo to z czasem wilk zapomina o lesie i – podobnie jak pies – staje się zwierzęciem domowym. Było nie było wilki należą przecież do rodziny psowatych. I budowę mają taką samą jak pies, i małych w jednym miocie wydają na świat każdego roku od trzech do dziesięciu sztuk, najczęściej jednak od czterech do sześciu.

Jak suka przed rozwiązaniem szuka sobie ustronnego miejsca na legowisko, gdzie się szczeni i karmi swoje młode, tak samo i wilczyca – albo w ziemi wygrzebuje jamę, w której rodzi i karmi potomstwo, albo wybiera do tego dziuplę zwalonego, uschniętego drzewa, albo gęste zarośla w jakimś głuchym leśnym zakątku. I tak samo jak każda rodzicielka wilczyca kocha swoje dzieci i bardzo się o nie troszczy. A jak wyczuje jakieś zagrożenie, ostrożnie przenosi wszystkie maleństwa w inne, bezpieczne miejsce. Wilk nigdy też nie poluje w pobliżu legowiska i nie wyrządza tam ludziom szkody, żeby nie zdradzić miejsca swojej nory.

Podobnie jak u psów samica wilka jest zwykle mniejsza od samca, pysk ma bardziej ostry, wydłużony i znacznie cieńszy ogon. Zdarza się również, że wilki – jak i psy – dostają wścieklizny. Wściekłego wilka panicznie boją się wszystkie dzikie zwierzęta i w trwodze przed nim uciekają.

Na zakończenie trzeba jeszcze dodać, że wilk – podobnie jak pies – żyje od dwunastu do piętnastu lat. Ale nieliczne wyjątki zdarzają się zarówno wśród psów, jak i pośród wilków.

Jednym słowem, psy i wilki to jednakowe zwierzęta, tyle że jedne są oswojone, zadbane i syte, a drugie – dzikie i głodne. A głód... głód, moi drodzy, nawet z człowieka zrobi wściekłe zwierzę! Nie ma co gadać... – zakończył dziadek Andrias.

– Słusznie prawisz, dziadku Andriasie – powiedziałem. – U nas nie ma takiego zwyczaju, ale w innych krajach ludzie łowią dzikie zwierzęta i je tresują, uczą różnych sztuczek... Przypominam sobie taką historię: pewien człowiek złapał dwa wilczki i trzymał je w domu. Wkrótce zwierzęta tak się zadomowiły i udomowiły, że swobodnie mogli się z nimi bawić nie tylko wszyscy dorośli, ale i dzieci, a pies to nawet spał razem z nimi w swojej budzie. Minął pewien czas i jeden z wilczków niestety

zdechł. Jego osierocony braciszek długo nie chciał się w ogóle bawić i prawie nic nie jadł. Leżał tylko smutny i żałośnie ni to wył, ni to skomlał. Stopniowo wszakże zaczął mu wracać dobry nastrój i ponownie jął dokazywać. Człowiek, od którego ową historię słyszałem, powiedział mi jeszcze, że gdy wilczek dorósł, to tak się do jego bliskich przywiązał, że zawsze układał się tam, gdzie siadali, i nikogo innego do nich nie dopuszczał. „Baliśmy się – ciągnął znajomy – żeby komuś nie wyrządził krzywdy, i przez jakiś czas nawet trzymaliśmy go na łańcuchu, a potem sprzedaliśmy właścicielowi objazdowego zwierzyńca”. Od tamtego czasu minęło półtora roku albo i dwa lata – dokładnie nie pamiętam – kiedy nieoczekiwanie spotkałem ów wędrowny zwierzyniec w jakimś mieście. Zainteresowałem się, wszedłem do środka. „Sprawdzę – pomyślałem – zapytam, czy jeszcze żyje nasz wilczek”. A on, jak się okazało, całkiem blisko mnie leżał w klatce. I jak tylko usłyszał mój głos, zerwał się na równe nogi, poznał mnie, zapamiętał! Ucieszyłem się niemożebnie, ale gdybyście widzieli, co on wyprawiał, jak szalał z radości, jak skakał! Nie, tego chyba nie możecie sobie wyobrazić! Próbował zbliżyć się do mnie, machał ogonem, skomlał, miotał się po klatce. Miałem poczucie, że spotkałem bliską memu sercu istotę, niemal członka rodziny, i z bólem opuszczałem tamten zwierzyniec. I co o tym sądzicie? Ta historia naprawdę się zdarzyła... Ma rację dziadek Andrias: wilk to takie samo stworzenie jak pies, tylko że dzikie, tępione i głodne.

Było już dobrze po północy, kiedy dobiegła końca nasza rozmowa. Psy na podwórku to długo szczekały, to znów przeciągle i żałośnie wyły.

– Krąży, przekłęty, krąży wokół wioski... I za nic nie odejdzie! Nie uspokoi się, dopóki szkód nie narobi.

– No, moi drodzy, uważajcie dziś w nocy i bądźcie czujni... Nie dajcie wilkowi dopaść bydła – ostrzegał dziadek Andrias sąsiadów, którzy życząc nam dobrej nocy, rozchodzili się jeden po drugim do domów.

Na podwórzu któryś z nich krzyknął przeciągle: „He-e-e-ej!” i wszystkie psy, ile ich we wsi było, od najdalej stojących zabudowań aż do najbliższych, jak na komendę rozszczeakały się jeszcze głośnie.

A głodny wilk ciągle krążył wokół wioski.

Mój kolega Neso

1

Byliśmy zgraną gromadą wiejskiej dzieciarni. Nie znaleźliśmy ani szkoły, ani lekcji, nikt nas nie kształcił, ani nie wychowywał. Byliśmy pozostawieni samym sobie i tylko się bawiliśmy. Ale za to jak się bawiliśmy! I jak byliśmy ze sobą życzliwi, jak lubiliśmy jeden drugiego, jak przywykliśmy do siebie nawzajem!

Kiedy czuliśmy głód, biegliśmy do domu, braliśmy z kredensu kromkę chleba, a z karasu¹¹⁸ kawałek sera i z powrotem biegliśmy na miejsce zabaw. Wieczorami również się spotykaliśmy, gadaliśmy, hałaśliwie się przekrzykiwaliśmy, opowiadaliśmy sobie bajki¹¹⁹.

Był pośród nas chłopak o imieniu Neso. Ile on znał bajek, to się w głowie nie mieści – końca im wprost nie było!

W księżycowe letnie wieczory siadaliśmy na drewnianych belkach koło naszego domu i jak zaczarowani patrzyliśmy na ładną buzię Neso, która w trakcie jego natchnionych opowieści stawała się niemal jeszcze piękniejsza. Opowiadał o precudnych rajszych dziewicach¹²⁰, o szmaragdowym ptaku¹²¹, o świetlanym i o mrocznym królestwie¹²²...

¹¹⁸ *Karas* – ormiańska nazwa dużego glinianego dzbanka (AP).

¹¹⁹ *Hekijat* „baśń, bajka”, z arabskiego *ḥikāya(t)*. Słowo przeniknęło do języka ormiańskiego za pośrednictwem tureckim (*hikāye*) lub perskim (*hekāyat*) (AP).

¹²⁰ W oryginale: *Huri peri* „huryś”, według muzułmańskiej tradycji „piękna rajska dziewczyna” (po arabsku: *ḥūrīyya*); drugi wyraz pochodzi z perskiego *pari* „wrózka, nimfa” (AP).

¹²¹ W oryginale *Zymrucht Ghusz*. Pierwszy wyraz jest kontynuacją greckiego wyrazu *smáragdos*, z którego pochodzi także polski „szmaragd”. Drugi to turecki rzeczownik *kuş* [kusz] w wymowie ormiańskiej, z *gh* wymawianym jak polskie dźwięczne „ch” w wyrazie „klechda” (AP).

¹²² W oryginale: *Lis u Mut aszchar* (*lis* – dialektałna forma literackiego rzeczownika *lujs* „światło”), dosłownie: „świat światła i ciemności” (oryginalny tytuł ormiańskiej baśni ludowej) (AP).

– Kochany Neso¹²³, jeszcze o ślepym królu¹²⁴ opowiedz... i o gadającej papudze¹²⁵... o łysym i pozbawionym brody¹²⁶...

2

Zdarzyło się tak, że w naszej wsi otworzono szkołę. Mnie i jeszcze dwudziestu-trzydziestu chłopaków do niej zapisano. Jednak za każdego ucznia trzeba było rocznie płacić trzy ruble. Stąd wiele wiejskich dzieciaków, których rodziców nie było stać na płacenie tylu pieniędzy, nadal do szkoły nie chodziło. Nie trafiła też do niej większa część moich towarzyszy zabaw, w tym również Neso.

Pierwszy raz zostaliśmy rozłączeni, a sprawiła to szkoła i nauczyciel. Po raz pierwszy też zrozumieliśmy i uświadomiliśmy sobie, że jedni z nas¹²⁷ są zamożni, a drudzy – biedni.

Od tamtej pory stale mam w uszach rozdzierający płacz Neso, który tarzał się po ziemi na podwórku swojego domu, szlochał i przejmująco wrzeszczał:

– Ja też chcę iść do szkoły! Ja też chcę!...

Ciągle brzmi także w moich uszach podniesiony głos jego ojca:

– Nie! Nie... i koniec! Skąd mam wziąć tyle pieniędzy? Gdybym miał trzy ruble, to bym chleba dla was kupił, żebyście nie musieli stale siedzieć głodni, ale nie mam! Nie mam pieniędzy, zrozum! Nie mam!...

Neso i inni moi rówieśnicy, których rodzice nie byli w stanie płacić za naukę, gromadzili się pod progiem szkoły i patrzyli na nas tęsknie, ze smutkiem. Nauczyciel ciągle odpędzał ich sprzed budynku, a nam zabraniał bawić się z nimi nawet podczas przerw. Wpajał nam przekonanie, że postronne osoby nie mają prawa bawić się razem z uczniami. Toteż nasi biedni koledzy siadali pod ścianą szkoły i cierpliwie

¹²³ W oryginale: *Neso-dżan*, por. przypis 51 (AP).

¹²⁴ W oryginale: *Kur* (dialektalny odpowiednik literackiego przymiotnika *kujr*) *Takawor*, po ormiańsku: „ślepy król” (AP).

¹²⁵ W oryginale: *Tuti Ghusz*. Pierwszy wyraz to perska nazwa „papugi”: *tuti*. Drugi – por. przypis 121 (AP).

¹²⁶ Po ormiańsku: *Kaczal* (z perskiego: *kaczal* „łysy”) *u Kosak* (AP).

¹²⁷ Ojciec Howannesa Tumaniana był niższym duchownym Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego (por. przypis 46). Stać go było na kształceniu syna (AP).

czekali, aż lekcje się skończą, bo chcieli razem z nami chociaż wracać do domów.

W pierwszych miesiącach nauki poznałem kilku nowych kolegów. Pod koniec roku Neso i inni moi rówieśnicy, którzy nie chodzili do szkoły, już nas pod jej ścianą nie wyczekiwali.

3

W naszej wiejskiej szkółce uczyłem się dwa lata, potem ojciec zawiózł mnie do powiatowego miasta¹²⁸, gdzie kontynuowałem naukę.

To był już całkiem inny świat. Białe domy z czerwonymi dachami. Szkoła duża i piękna. I w niej nie jeden nauczyciel, jak na wsi, ale kilku, w tym nawet kobiety. Kobieta jako nauczyciel... To była dla mnie nowość – nowość zdumiewająca, ale jakże przyjemna.

Odpowiednio do wymagań nowego środowiska zmieniona została także moja odzież. Ojciec sprawił mi ładny i schludny mundur ucznia szkoły miejskiej – i tak właśnie ubrany przyjechałem do rodzinnej wsi na świąteczne ferie. Neso oraz inni jeszcze koledzy dowiedzieli się o moim przyjeździe i od rana już wystawali pod naszym domem – i podglądali przez wszystkie szpary. Wyszedłem oczywiście, na dwór, żeby się z nimi spotkać; dziś wprawdzie nie pamiętam już samego przywitania, ale uderzyło mnie, jak brakowało w nim dawnej bezpośredniości, prostoty, emocjonalnej bliskości. Byli koledzy przede wszystkim zwracali uwagę na moje ubranie. Widząc moją przykrótką uczniowską bluzę, Neso ni to żartobliwie, ni to złośliwie zauważył:

– Całkiem jak sroka bez ogona!...

Wszyscy się roześmieli. Bardzo mnie to zabolalo, ale nie dałem niczego po sobie poznać. Potem Neso przeciągnął ręką po moim mundurku, a w ślad za nim robili to wszyscy pozostali, dziwując się przy tym, że materiał jest taki miękki. Tego dnia, patrząc na nich, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że odziani są w jakieś dziurawe łachmany, że ich stare ubrania są brudne i całe w strzępach. I w ogóle cała nasza wioska wydała mi się wtedy bardzo uboga, zaniedbana i brudna.

¹²⁸ Chodzi tu o miasto Stepanawan, leżące na północy Armenii nad rzeką Dzoraget. Dawna nazwa (turecka) stosowana za czasów Tumaniana to Dżalal-oghlu (AP).

4

Upłynęły jeszcze dwa lata i ojciec zawiózł mnie do dużego miasta¹²⁹, a tam oddał do innej, jeszcze większej szkoły. A kiedy stamtąd przyjechałem na wakacje, moi dawni towarzysze zabaw, którzy byli już roslymi młodzieńcami, przyszli mnie powitać razem z wieśniakami, razem z nimi też odeszli na stronę i stanęli w grupie nieopodal. Rozmawialiśmy o tym i owym, ale kiedy byli kompani zapytali mnie, czy pamiętam, jak się wspólnie uczyliśmy w naszej wiejskiej szkole, nieoczekiwanie odezwał się Neso:

– A pamiętasz, jak nocami siadywaliśmy na belkach przy waszej bramie i opowiadaliśmy bajki?...

– Oczywiście! Jak bym mógł o tym zapomnieć? Wszak to jedno z najpiękniejszych wspomnień mojego dzieciństwa! – odparłem z przekonaniem.

Neso, miałem wrażenie, był zadowolony z mojej odpowiedzi, mimo to jednak wciąż pozostawał dziwnie obcy i daleki.

Gdy po skończonych wakacjach trzeba było wracać do miasta, trafiać, że konia dla mnie wynajęto akurat u ojca Neso. Sam Neso zaś musiał biec za koniem, którego ja dosiadałem. Kiedy ruszyliśmy w drogę: ja – wierzchem, a Neso, w łachmanach i dziurawych łapciach – piechotą, serce mi się boleśnie ścisnęło. Toteż szybko stwierdziłem, że wolę jednak iść piechotą i zsiadłem z konia. Dalej już przez całą drogę albo obaj szliśmy, albo po kolei siadaliśmy na konia. Neso taki układ wyraźnie akceptował i cieszył, ale – jak mogłem zauważyć – powodu okazywanego mu współczucia upatrywał nie tyle w dobroci mego serca, ile w mojej głupocie. Przykre to było, lecz znacznie większa przykrość czekała mnie w niedalekiej przyszłości.

Zrobiliśmy przerwę w podróży, trzeba było odpocząć i coś zjeść. Wyjąłem arbuz. Neso chciał go rozkroić, toteż podałem mu swój nóż kieszonkowy. Później, ruszając ponownie w drogę, zauważyłem, że nóż

¹²⁹ Tu już chodzi o Tyflis (obecnie funkcjonuje pod gruzińską nazwą Tbilisi). Do pierwszej wojny światowej połowę (!) ludności historycznej stolicy Gruzji stanowili Ormianie. Gruzini byli tam mniejszością: około 25 procent. Tyle samo (25 procent) było tam Rosjan. Por. przypis 6 (AP).

zniknął. Neso zapewniał, że mi go zwrócił i że widział, jak wkładałem nóż do kieszeni. Ja zaś doskonale pamiętałem, że nie oddał mi noża, lecz mimo to przeszukałem wszystkie kieszenie – i oczywiście nic nie znalazłem. Ruszyliśmy dalej. Wiedziałem, że Neso przywłaszczył sobie mój nóż, później mówiono mi zresztą, że ktoś go widział u niego. Toteż, kontynuując podróż, dotkliwie odczuwałem serdeczną boleść – i bynajmniej nie tylko dlatego, że straciłem nóż. Utraciłem coś o wiele bardziej cennego i drogiego – wszelako Neso nie był w stanie tego pojąć...

Kiedy dotarliśmy do celu i Neso musiał wracać do domu, zapłaciłem mu nie tylko za wynajętego konia, ale kupiłem też w prezencie materiał na *archałyk*¹³⁰. Mimo to zamiast podziękowania z ust Neso usłyszałem: – A na piwo nic nie dorzucisz?

Ogarnął mnie ogromny wstyd. Ale cóż mogłem począć? Dorzuciłem mu jeszcze i na piwo... Jednak od tamtej pory, ilekroć wspominam dni swego dzieciństwa, księżycowe wieczory, wysiadującą na pniach wiejską dzieciarnię i opowiadającego bajki Neso – moje serce napęla się boleścią i żalem.

5

„Neso jest biedny... Neso jest nieukiem... przytłacza go i gubi życie na wsi, bez jakichkolwiek perspektyw... Gdyby chodził do szkoły, miał wykształcenie i ogładę, mógłby się stać dobrym, światłym człowiekiem, może nawet o wiele lepszym niż ja...”

Tak teraz myślę, wspominając Neso, i staram się go usprawiedliwić, by móc go znowu pokochać tak, jak kochałem w dzieciństwie. Pragnę, by w mej pamięci zawsze trwał tamten Neso, z owych błogosławionych księżycowych, gwiezdnych nocy, lecz to się nie udaje, to już, niestety, nie wychodzi! Obecnie stoi mi przed oczyma zupełnie inny jego obraz – przynębiający i przykry.

Zdobywszy wykształcenie i wyszedłszy na ludzi, jeszcze raz odwiedziłem rodzinną wioskę¹³¹ i znalazłem się na jej głównym placu. Tego dnia

¹³⁰ Po turecku: *arkalık* [*arkałyk*] oznacza narzutkę na plecy (*arka*) (AP).

¹³¹ Chodzi o Dysegh, wieś leżącą na północ od miasta Wanadzor w północnej Armenii (AP).

było tam dziwnie gwarnie i tłoczno. Na środku placu, mocno przywiązany do pręgierza, ze zwieszoną głową, stał Neso.

W odpowiedzi na moje pytanie usłyszałem, że został tak ukarany za kradzieże. Wstawiłem się za nim, poręczyłem... i został uwolniony. Do dziś jednak nie mogę zapomnieć tamtego widoku: pod palącymi promieniami słońca, z nisko opuszczoną głową, stoi przywiązany do pręgierza Neso, a wokół krzyczy i biczuje go tłum...

W naszej wiosce zarówno kradzieże, jak i następująca po nich chłosta przy pręgierzu, były czymś normalnym i oczywistym, nieomal codziennością. Jednakże tamtej sceny dotąd nie jestem w stanie zapomnieć, podobnie jak na zawsze pozostanie w mojej pamięci obraz maleńkiego Neso opowiadającego bajki w księżycowe wieczory, Neso prostodusznego, o czystym sercu, Neso – towarzysza mojego dzieciństwa...

1914

tłum. Stanisław Ułaszek

Baśnie

Lisica¹ bez ogona

Dawno, dawno temu żyła sobie uboga staruszka. Pewnego dnia, zaraz po tym, jak skończyła doić swoją kozę, odstawiała garnek na ziemię i poszła nazbierać chrustu, żeby rozpałić ogień i zagotować mleko.

I wtedy nagle przybiegła lisica, wsunęła pysk do garnka – i nuż chleptać mleko.

Na ten widok staruszka chwyciła motykę, ruszyła na lisicę, walnęła ją z całej siły – i odcięła złodziejce ogon!

Bezogoniasta lisica uciekła, wskoczyła na kamień i zaczęła błagać staruszkę:

– Babciu, babuniu, oddaj mi mój ogon, przyczepię go z powrotem i pobiegnę, dogonię swoje przyjaciółki, żeby szyderczo mnie nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

A staruszka na to:

– Najpierw przynies mi mleka.

Lisica udała się z prośbą do krowy:

– Krówko, króweczko, daj mi trochę mleczka. Zaniosę je staruszcze, a ona zwróci mi ogon. Przyczepię go z powrotem i pobiegnę, dogonię swoje przyjaciółki, żeby szyderczo mnie nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

A krowa na to:

– Zgoda, ale przynies mi trawy.

¹ *Lisica* – w rosyjskim przekładzie będącym podstawą niniejszego tłumaczenia występuje tu wyraz *luca*, etymologiczny odpowiednik polskiego rzeczownika „lis”. W języku rosyjskim nazwa tego zwierzęcia jest rodzaju żeńskiego, a w polskim – męskiego. Język ormiański nie zna kategorii rodzaju. Oryginalny (wschodnioormiański) tytuł baśni *Poczat aghwes-y* (w polskiej transkrypcji popularnej) winien być oddany w polskim dosłownym przekładzie jako *Lis bez ogona*. Jednakże idąca za przekładem rosyjskim forma zaproponowana przez tłumacza (dra Stanisława Ułasza) *Lisica bez ogona* jest tu w pełni uzasadniona, ponieważ do treści tej baśni bardziej pasuje samica lisa niż samiec (po rosyjsku *luc*), występujący w baśni pt. *Sultan Czachczach* (AP).

Lisica pobiegła więc z prośbą do pola:

– Hej, pole, żyzne pole! Daj mi swojej trawy. Zaniosę ją krowie – krowa da mi mleka, mleko zaniosę staruszce – staruszka zwróci mi ogon. Przyczepię go z powrotem i pobiegnę, dogonię swoje przyjaciółki, by ze mnie nie szydziły i nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

A pole jej na to:

– To przynieś mi wody.

Lisica popędziła do źródła:

– O, drogie źródło, najczystsze źródélko, daj mi swojej wody. Zaniosę ją polu – pole da mi trawy, trawę oddam krowie – krowa da mi mleka, mleko zaniosę staruszce – ona zwróci mi ogon. Przyczepię go z powrotem i pobiegnę, dogonię swoje przyjaciółki, żeby szyderczo mnie nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

A źródło jej na to:

– Zgoda, ale postaraj się zdobyć dla mnie dzban.

Lisica zwraca się teraz z prośbą do dziewczyny idącej po wodę:

– Dziewczyno, najpiękniejsza dziewczyno, ofiaruj mi swój dzban. Zaniosę go źródélku – źródélko da mi wody, wodę zaniosę polu – pole da mi trawy, trawę zaniosę krowie – krowa da mi mleka, mleko zaniosę staruszce – staruszka odda mi ogon. Przyczepię go sobie z powrotem i pobiegnę, dogonię swoje przyjaciółki, żeby nie mogły ze mnie szydzić i nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

Dziewczyna zażądała:

– W takim razie przynieś mi korale.

Lisica biegnie zatem po prośbie do wędrownego handlarza:

– Miły handlarzu, wędrowny kramarzu, daj mi sznur koralu. Zaniosę je dziewczynie – dziewczyna ofiaruje mi dzban, dzban zaniosę źródélku – źródélko da mi wody, wodę zaniosę polu – pole da mi trawy, trawę zaniosę krowie – krowa da mi mleka, mleko zaniosę staruszce – staruszka odda mi ogon. Przyczepię go sobie z powrotem i pobiegnę, dogonię przyjaciółki, by ze mnie nie szydziły i nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

A handlarz jej powiada:

– Dam ci korale, jeśli przyniesiesz mi jajko.

Idzie więc lisica do kury:

– Kurko, kureczko, podaruj mi jajeczko. Zaniosę je handlarzowi – on da mi korale, zaniosę je dziewczynie – dziewczyna da mi dzban, zaniosę dzban źródłu – źródło da mi wody, wodę zaniosę polu – pole da mi trawy, trawę zaniosę krowie – krowa da mi mleka, mleko zaniosę staruszce – staruszka zwróci mi ogon. Przyczepię go z powrotem i pobiegnę, dogonię swoje przyjaciółki, by ze mnie nie szczyły i nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

Kura odpowiedziała:

– To zdobądź dla mnie ziarenko.

Lisica zatem pędzi do młynarza:

– Ach, młynarzu-gospodarzu, daj mi choć jedno ziarenko. Zaniosę je kurze – kura da mi jajeczko, jajeczko zaniosę handlarzowi – on da mi korale, korale zaniosę dziewczynie – dziewczyna da mi dzban, zaniosę dzban źródłu – źródło da mi wody, zaniosę wodę polu – pole da mi trawy, zaniosę ją krowie – krowa da mi mleka, mleko zaniosę staruszce – staruszka zwróci mi ogon. Przyczepię go sobie z powrotem i pobiegnę, dogonię swoje przyjaciółki, by ze mnie nie szczyły i nie wypytywały: „Gdzieś ty się włóczyła, żeś ogon straciła?”.

Ulitował się młynarz nad okaleczoną lisicą i dał jej garstkę ziarenek.

Otrzymane ziarenka lisica przyniosła kurze – kura jej dała jajeczko, jajeczko odniosła handlarzowi – ten dał jej korale, korale zniosła dziewczynie – dziewczyna dała jej dzban, dzban wręczyła źródłu – źródło dało jej wody, zniosła wodę polu – pole dało jej trawy, przyniosła trawę krowie – krowa dała jej mleka, mleko przyniosła staruszce – staruszka zwróciła jej odcięty ogon. Uszczęśliwiona lisica przyczepiła go sobie z powrotem, pobiegła i dogoniła wkrótce swoje przyjaciółki.

1907

thum. Stanisław Ulaszek

Koziołek²

Dawno temu, w głuchym lesie, żyła sobie koza. I miała synka – małego, pięknego koziołka. Każdego ranka zostawiała go samego w domu i wychodziła się paść. Pasała się, pasła, wieczorem zaś – z wymieniem pełnym mleka – wracała do domu. Podchodziła do drzwi, stukała i tak beklowie nuciła:

Hej, koziołku, koziołeczku,
Ukochany mój syneczku!
Przybyłam z daleka,
Przyniosłam ci mleka.
Otwórz szybko drzwi,
Słodkie mleko pij,
Koziołeczku, koziołeczku,
Ukochany mój syneczku!

Zawsze, kiedy koziołek słyszał ten głos, od razu otwierał drzwi. Matka go karmiła, pieściła, a rano znowu zostawiała samego, bo musiała iść na pastwisko.

Tymczasem ową kozią rodzinę stale z ukrycia obserwował wilk. Pewnego wieczora, nim jeszcze koza zdążyła wrócić z pastwiska, wilk zjawił się przed domem, stanął pod drzwiami i swoim grubym, chrapliwym głosem zaryczał:

Hej, koziołku, koziołeczku,
Ukochany mój syneczku!
Przybyłam z daleka,
Przyniosłam ci mleka.

² *Koziołek* – baśń występująca w wielu kulturach (AP).

Otwórz szybko drzwi,
Słodkie mleko pij,
Koziołeczku, koziołeczku,
Ukochany mój syneczku!

Koziołek, słysząc ów dziwny, obco brzmiący głos, zaniepokoił się:
– Kim ty jesteś? – zapytał. – Ja ciebie nie znam. Moja mamusia wcale tak nie mówi. Jej głos jest miły i delikatny, a twój – ostry i gruby. Nie otworzę drzwi... Idź sobie stąd!...

I zawiedziony wilk odszedł jak niepyszny sprzed koziego domu.
A za jakiś czas zjawiła się matka, zapukała do drzwi i zanuciła:

Hej, koziołku, koziołeczku,
Ukochany mój syneczku!
Przybyłam z daleka,
Przyniosłam ci mleka.
Otwórz szybko drzwi,
Słodkie mleko pij
Koziołeczku, koziołeczku,
Ukochany mój syneczku!

Koziołek natychmiast otworzył matce drzwi, a następnie przypadł do jej wymienia, do syta napił się słodkiego mleka, po czym ją opowiadać:

– Wiesz, mamusiu, co się wydarzyło? Ktoś obcy przychodził tu niedawno, stukał do drzwi i wołał:

Koziołeczku, koziołeczku,
Ukochany mój syneczku...

Ale głos miał taki gruby, chrapliwy! Przestraszyłem się... bardzo... strasznie się bałem!... Nie otworzyłem mu, tylko powiedziałem: „Nic od ciebie nie chcę, idź sobie stąd!”.

– Ojej, ojej!... Ach, mój ty ukochany czarny łebku! Bardzo dobrze, żeś mu nie otworzył i nie wpuścił do domu – pochwaliła syna rozradowana matka. – To przecież był wilk, chciał cię zjeść! I gdyby

znów kiedyś przyszedł, też nigdy mu drzwi nie otwieraj. Tylko głośno krzycz: „Wynoś się, bo jak nie, to przyjdzie moja matka i przebije cię swoimi ostrymi rogami”.

1907

tłum. Stanisław Ułaszek

Wróbel³

Żył sobie na świecie Wróbel. Pewnego razu w nóżkę wbiła mu się drzazga. Drepcze niezdarnie, kuśtyka, rozgląda się wokół, szukając pomocy – wtem patrzy: jakaś babcia zbiera chrust, żeby rozpaścić *tonir*⁴ i upiec sobie *lawasz*⁵, czyli podpłomyk. Wróbel zaczął ją prosić:

– *Nani-dżan*⁶, *nani*, najpierw wyciągnij mi drzazgę, a potem dopiero swój *tonir* rozpalaj! A ja tymczasem odleczę, pogrzebię w śmieciach i zdobędę sobie jakieś pożywienie...

Wyciągnęła babcia drzazgę, rozpaściła *tonir*.

I Wróbel rzeczywiście odfrunął, tyle że wkrótce przyleciał z powrotem i zwracając się do babki, zażądał stanowczo: „Oddaj mi moją drzazgę!”.

A staruszka powiada:

– Wrzuciłam ją do ognia, spaliła się twoja drzazga.

Jednak Wróbel uparcie trwa przy swoim:

– Oddaj mi moją drzazgę – powiada – bo jak nie, to pofrunę wysoko, a potem niby jastrząb spadnę na twój *lawasz*, porwę go i odleczę!

Ale nie musiał tego robić – babka dała mu *lawasz*. Wróbel schwycił go i odleciał.

Leci nad polem, leci, spojrzął na ziemię i widzi: pastuch mleko popija, ale samo tylko mleko, bez chleba... No to Wróbel do niego powiada:

³ W języku wschodnioormiańskim występują dwa odpowiedniki polskiego „wróbla”. Ogólna nazwa gatunkowa to *czynczyghuk* (w polskiej transkrypcji popularnej, gdzie *gh* oznacza dźwięczny odpowiednik spółgłoski *ch*, występujący np. w wyrazie „klechda”). Natomiast *cit* oznacza samca tego ptaszka. W tytule baśni Tumaniana występuje właśnie ten drugi wyraz (AP).

⁴ *Tonir* – orientalny piec (por. perski *tanur*) przypominający studnię o głębokości i szerokości około jednego metra. Na jego dnie rozpalano ognisko, a do ścian przyklejano płaty ciasta, które po upieczeniu wyciągano w postaci chleba przypominającego cienki placek lub naleśnik, zwany *lawaszem* (AP).

⁵ *Lawasz* – por. przypis 4 (AP).

⁶ *Nani(-dżan)* = „babcia”, por. przypisy 51 i 52 do *Opowiadań* Howannesa Tumaniana (AP).

– Druhu pastuchu, czemu samo mleko pijesz, bez chleba? Masz tu *lawasz*, nakrusz go sobie do miski, zalej mlekiem i najedz się, jak należy. A ja tymczasem odleczę, pogrzebię w śmieciach i też znajdę dla siebie jakieś pożywienie...

Odleciał Wróbel, a za jakiś czas wrócił i powiada:

– Oddawaj mój *lawasz*!

A pastuch na to:

– Nie mogę, zjadłem go.

– O, nie, bratku! – zaperzył się Wróbel. – Musisz oddać, bo jak nie oddasz, to pofrunę wysoko, a potem niby jastrząb spadnę na twojego baranka, porwę go i odleczę!

Pastuch nie miał wyjścia i dał mu baranka. A Wróbel go schwycił i odleciał.

Leci znowu nad ziemią, leci i raptem widzi: ludzie zamierzają wesele wyprawić, ale nie mają barana. A przecież na weselne przyjęcie konieczny jest baran – trzeba go zarżnąć, upiec i podać gościom. Widząc rozterkę ludzi, wróbel mówi do nich:

– Nie przejmujcie się, nie kłopotcie. Macie tu baranka, weźcie go, zarżnijcie i ucztujcie sobie do woli, ile dusza zapagnie. A ja tymczasem odleczę, pogrzebię w śmieciach i też znajdę dla siebie jakieś pożywienie.

I jak powiedział, tak zrobił. Odleciał, a po pewnym czasie wrócił i woła:

– Oddajcie mojego baranka!

A ludzie na to:

– Zarżnęliśmy go i zjedliśmy. Jak ci możemy go oddać? Nie ma już baranka.

Wróbel jednakże trwa w uporze:

– Nic mnie to nie obchodzi, oddajcie mi mojego baranka, bo jak nie, to pofrunę wysoko, a potem niby jastrząb spadnę na waszą pannę młodą, porwę ją i odleczę!

I tak też zrobił – pochwycił pannę i odfrunął. Leci z nią, leci i raptem patrzy: idzie drogą *aszugh*⁷. Zwraca się zatem Wróbel do *aszugh*:

⁷ *Aszug* (ściślej: *aszugh*, z arabskiego *ʿāshiq* „kochający, zakochany”, za pośrednictwem tureckim) – „ludowy pieśniarz, bard” (AP).

– *Aszugu* bracie, drogi kamracie, przypilnuj mi panny. A ja tymczasem odleczę, pogrzebię w śmieciach i może znajdę dla siebie jakieś pożywienie...

Po pewnym czasie Wróbel przyleciał z powrotem i znowu swoje:

– Oddaj mi pannę! – powiada.

A aszug na to:

– Nie ma jej, odeszła. Wróciła do domu!

Wróbel jednakże nie daje za wygraną i grozi *aszugowi*:

– Oddaj mi pannę, bo jak nie, to pofrunę wysoko, wysoko, a potem niby jastrząb spadnę na twój *saz*⁸, wyrwę ci go i odleczę!

Ma się rozumieć, że w tej sytuacji *aszug* skwapliwie oddał Wróblowi swój *saz*. A Wróbel schwycił instrument, zarzucił go sobie na ramię i uradowany odleciał. Wkrótce z powrotem znalazł się na ziemi, siadł na kamieniu – i jak nie zaczął brząkać tudzież wyśpiewywać:

Dzyń, dzyń, dzyń...

Drzazgę dałem – *lawasz* porwałem,

Lawasz dałem – barana porwałem,

Barana dałem – pannę porwałem,

Pannę oddałem – *saz* zyskałem,

Saz zyskałem – *aszugiem* się stałem!

Dzyń, dzyń, dzyń,

Dzyń, dzyń, dzyń!

1907

thum. Stanisław Ulaszek

⁸ *Saz* (z perskiego *sâz*) – por. z przypisem 79 do *Opowiadań* Tumaniana (AP).

Niesforny topór

Pewien ubogi cieśla wyruszył niegdyś w dalekie kraje za zarobkiem. I podczas tej wędrówki znalazł się w bardzo dziwnej wsi. Wielce był zdumiony, kiedy zobaczył, że jej mieszkańcy rękami drwa rozłupują!

– A czemuż to – spytał – rękami drwa rozłupujecie? Czyżbyście topora nie mieli?

– Topora?! A co to jest? My nie wiemy... Nie znamy czegoś takiego – odparli zdziwieni chłopci.

Wyjął cieśla zza pasa swój topór, narąbał nim drew, po czym zgrabny sąg polan z boku ułożył. Jak chłopci to zobaczyli, rozbiegli się po wsi, wykrzykując:

– Ej, ludzie, chodźcie! Zobaczcie, co też ten jego topór wyrabia!

Zbiegli się zewsząd wieśniacy i zobaczyli, co topór rzeczywiście potrafi, toteż okrążyli cieślę i nuż go namawiać, żeby im swój topór zostawił. I cieśla się zgodził, bo chłopci w zamian obdarowali go, czym tylko mogli.

Jak już zdobyli topór, to uzgodnili, że po kolei będą nim rąbać swoje drewno. Pierwszego dnia topór wziął starosta. I tak niezdarnie nim się zamachnął, że zamiast w polano, trafił w swoją nogę. Widząc krwawiącą ranę, rzucił się z krzykiem przez wieś:

– E-ej, sąsiedzi! Chodźcie! Popatrzcie! Nasz topór zwariował – on ludzi atakuje!

Zbiegli się chłopci, złość ich ogarnęła, chwycili za kije i nuż topór okładać. Bili go, bili, tłukli, ile wlezie, aż raptem widzą – z toporem nic się nie dzieje. Zostawili więc kije, a niesforny topór wrzucili do ogniska i go podpalili.

Płomienie buchnęły na wszystkie cztery strony. Kiedy ogień zgasł, chłopci podeszli, rozzgnęli popiół, patrzą – stylisko się spaliło, lecz topór został cały, rozżarzył się tylko do czerwoności, pąsową barwę wręcz przybrał.

Na ten widok wykrzyknęli wszyscy z przestachem:

– Ojej, widzicie?! Topór się rozsierdził, całkiem czerwony się zrobił – jeszcze nieszczęście na nas sprowadzi, jakąś krzywdę wyrządzi... Co by z nim zrobić? Jak się go pozbyć?

Rozmyślali, zastanawiali się i doszli do wniosku, że najlepiej będzie go uwięzić. I wsadzili topór. Tyle że nie do więzienia, ale do siennika... Siennik był wypchany sianem, toteż natychmiast się zajął – płomienie ognia wzbiły się aż do nieba.

Chłopi wpadli w popłoch, rzucili się pędem do właściciela topora z żądaniem:

– Idź tam! – krzyczeli. – Idź jak najszybciej i uspokój swój topór... Przemów mu do rozsądku... Spraw, żeby się opamiętał!

1907

tłum. Stanisław Ułaszek

Łgarz

Był sobie niegdyś król. Pewnego razu ogłosił w całym kraju: „Jeżeli stanie przede mną któryś z poddanych i opowie coś tak niezwykłego, że w odpowiedzi usłyszysz ode mnie: «nieprawda» – to oddam mu połowę królestwa”.

I oto przed królem staje pastuch:

– Obyś długo żył, wielmożny królu – powiada. – Przychodzę, władco i panie, aby ci powiedzieć, że mój ojciec miał niezwykły kostur. Był on tak długi, że ojciec sięgał nim do samego nieba i nawet gwiazdy tym kosturem przesuwał.

– To jest całkiem możliwe – rzekł król. – Mój dziad miał taką fajkę, że kiedy jeden koniec cybucha przykładął do ust, to tytoń w główce na jego drugim końcu przypalał od słońca.

Pastuch bezradnie podrapał się w głowę i odszedł z niczym.

Jako następny pojawia się krawiec.

– Racz mi wybaczyć, królu – mówi od progu – że przybywam dopiero teraz. Bardzo chciałem przyjść wcześniej, ale nie mogłem. Wczoraj szalała potworna burza, błyskawica rozdarła niebo i na ziemię lunęła straszna ulewa. Musiałem dziurę w niebie łątać, zaszywać...

– Pożyteczną pracą się zajmowałeś, naprawdę – rzekł król. – Tylko szkoda, że kiepsko jakoś tę dziurę załatałeś – rano znowu padało.

Tu również krawiec odchodzi z niczym.

Po nim przed królem staje biedak, a pod pachą trzyma torbę.

– A ty po coś się zjawił? – zapytuje król.

– Jesteś mi winien torbę złota, władco.

– Ja? Torbę złota?! Tobie?! – zdumiał się król. – Nieprawda!

– Powiedziałeś: „nieprawda”? No to oddawaj pół królestwa!

– Prawda, prawda, prawda! – przestraszył się król.

– Prawda? No to każ mi nasypać złota pełną torbę!

Sułtan⁹ Czachczach¹⁰

Było tak, czy nie było... Któż to może wiedzieć? W każdym razie ludziska powiadają, że żył kiedyś na świecie ubogi Młynarz. Mieszkał w na wpół zrujnowanym młynie nad brzegiem rzeki, chodził w zgrzebnej koszuli upapranej mąką, a na grzbiecie nosił dziurawy półkożuszek. Do jedzenia na cały dzień miał raptem czerstwy podpłomyk¹¹ upieczony w gorącym popiele i kawałek sera.

Któregoś razu nasz Młynarz wyszedł puścić wodę na koło napędzające żarna. Kiedy wrócił, patrzy, a jego ser zniknął.

Za jakiś czas poszedł odciąć wodę, wrócił, patrzy, a jego podpłomyka też nie ma!

„Kto mógłby ukraść mój ser i podpłomyk?” Myślał, myślał i wpadł na pomysł: „Ustawię potrząsk przed drzwiami młyna, żeby złapać złodzieja”. Tak też zrobił i poszedł spać. Rano wychodzi i widzi: w zastawioną pułapkę wpadł Lis.

– Aha, przekłety rudzielcu, toś ty ukradł mój ser i podpłomyk! No to zaraz zobaczysz, co ci za to zrobię!... – wykrzyknął Młynarz i chwycił łom, żeby Lisa zabić.

A ten jak nie zacznie go błagać, jak nie zacznie prosić:

– Ach, zlituj się, bracie Młynarzu! Nie wstyd ci będzie zabić żywe stworzenie za kawałek sera? Daruj mi życie, uwolnij... a ja z wdzięczności dobrem ci odpłacę! Przysięgam!

⁹ W oryginale obaj władcy są określani ormiańskim wyrazem *tagawor* – „król” (wymowa: *takawor*). Dla ich łatwiejszego rozróżniania tłumacz rosyjsko-polski, dr Stanisław Ułaszek, jednego z nich (faktycznie biednego młynarza, którego na dworskie salony wprowadził wdzięczny lis) określa wyrazem „sułtan” (arabskiego pochodzenia) (AP).

¹⁰ *Czachczach* to ormiańska nazwa dźwigni używanej w wodnym młynie (tor) („tor” = przypis tłumacza ormiańsko-rosyjskiego). Tłumacz A. Tadeosjan pozostawił ten wyraz bez tłumaczenia na język rosyjski, uważając zapewne, że z racji komicznego brzmienia nadaje się on na imię sułtana w humorystycznym nastroju baśni (AP).

¹¹ W oryginale *baghardz* – rodzaj praśnego chleba (AP).

Zastanowił się Młynarz, przemyślał propozycję Lisa i puścił go wolno. Ten zaś od razu pobiegł do śmietnika za królewskim pałacem, pogrzebał w stercie odpadków i znalazł złotą monetę, po czym migiem popędził do króla:

– Obyś sto lat żył, miłościwy królu – przychodzę do ciebie z prośbą: użyż nam łaskawie swojej miarki do złota! Sułtan Czachczach chce się bowiem dowiedzieć, ile właściwie tego złota posiada. Jak tylko skończymy je mierzyć i przeliczać, odniosę miarkę z powrotem.

– A któż to jest ów sułtan Czachczach? – spytał zdumiony władca kraju.

– Czyżbyś go nie znał, panie? – rzucił Lis. – To bardzo bogaty sułtan, ja zaś jestem jego skromnym wezyrem. Użyż nam miarki do złota, przeliczymy je, oddam miarkę i wtedy wszystko ci opowiem...

Wziął Lis od króla okazały, służący za miarę drewniany cebrzyk, wetknął w szparę między klepkami znaleziony na śmietniku złoty pieńżek, a wieczorem odniósł cebrzyk z powrotem do pałacu.

– Uff... – stęknął ciężko. – Ależ się namęczyliśmy, zanim wszystko udało nam się zmierzyć i policzyć!

„Czyżby oni faktycznie tak dużą miarą złoto mierzyli?...” – zachodzi w głowę król. Przewraca cebrzyk, potrząsa nim – a ze szpary wypada brzęcząca złota moneta...

Następnego dnia Lis znowu przybiega do króla:

– Sułtan Czachczach przechowuje w skarbcu mnóstwo drogich kamieni i pereł, ale chciałby wiedzieć, ile dokładnie ich jest. Pożycz nam, królu, miarki, po zmierzeniu zwrócę ci ją niezwłocznie...

Wziął Lis od króla cebrzyk służący za miarę i zniknął. A wieczorem do szczeliny między klepkami wsunął perłę, którą też gdzieś wygrzebał, odniósł miarę z powrotem i mówi:

– Uff... Wykończyło nas to mierzenie!

Potrząsnął król cebrzykiem, a z jego wnętrza wypadła perła... Zdumiał się król: „Jak ogromnie bogaty musi być ów sułtan Czachczach, skoro swoje złoto, drogie kamienie i perły takim dużym cebrzykiem mierzy?!”.

Minęło jeszcze kilka dni. I oto Lis ponownie zjawia się u króla, tym razem w roli swata: „Tak i tak – powiada. – Sułtan Czachczach chce się ożenić z Twoją córką i o jej rękę prosi”.

Ależ ucieszył się król, nie posiadał się wręcz z radości:

– Zgoda, odejdz w pokoju. A wy tu nie zwlekajcie, szykujcie się do wesela!

W królewskim pałacu powstało zamieszanie, z impetem ruszyły przygotowania do uroczystości, a Lis tymczasem truchcikiem biegnie do młyna.

Przybiegł i Młynarzowi pośpiesznie dobrą nowinę zwiastuje: „Tak i tak – powiada – wyswatałem tobie królewską córkę. Szykuj się, jedziemy na wesele”.

– Ojjoj, Lisie! A bodaj runął na ciebie twój dom!¹² Coś ty narobił? – przestraszył się Młynarz. – Czyż ja jestem równy stanem królewskiej córce?! Ani majątku nie mam, ani mieszkania, ani nawet porządnego ubrania na zmianę... Co ja teraz pocznę? Co mam robić?!

– Nie bój się, nie martw, okaż mi zaufanie! – uspokoił go Lis, po czym znowu pobiegł do króla. Pędził na złamanie karku, wpadł zdyszany do pałacu i z udawanym przerażeniem wrzasnął:

– Och, jakie nieszczęście!... Jakie nieszczęście!... Mój sułtan Czachczach jechał tu z wielką switą, aby pojąć za żonę twoją córkę, królu, ale po drodze napadły nas wrogie wojska, uśmierciły całą eskortę, rozgrażyły wiezione skarby... Sam sułtan ledwo uszedł z życiem, a ocalał jedynie dzięki temu, że schronił się w starym młynie nad rzeką... w wąwozie. Odarty z bezcennych szat, mój pan ukrył się tam, a mnie posłał, żebym powiadomił was o napaści i przywiózł mu jakiś przyodziewek... Bo pragnie jak najszybciej wziąć ślub, a potem srodze zemścić się na wrogach...

Król natychmiast rozkazał, aby Lisowi przyniesiono wszystko, czego zażąda, wysłał też z nim mnóstwo jeźdźców, aby ze wszystkimi honorami eskortowali jego przyszłego zięcia do pałacu.

Podjechał wytworny orszak do młyna i wszyscy jego uczestnicy ustawili się w szyku przed wejściem. Zdjęto z grzbietu Młynarza dziurawy półkożuszki, odziano we wspaniałe szaty i posadzono na rączego wierzchowca; tak w otoczeniu dworskich wielmożów, z poprzedzającym i zamykającym pochód szwadronem jeźdźców, Młynarz przybył do królewskiego pałacu.

¹² „A bodaj runął na ciebie twój dom!” – tradycyjny ormiański zwrot wyrażający gniew (tor).

Tyle że on, biedaczyna, nigdy w pałacach nie bywał, toteż wielce się spieszył, usta rozdziawił i raz po raz to na swój ubiór niezwykle spogląda, to wewnątrz królewskiej siedziby w niemym zachwycie podziwiał.

– Powiedz mi, drogi Lisie, czemu twój pan tak się wszystkiemu przygląda? – szeptem zapytał król. – Jakby nigdy pałacu nie widział ani szat królewskich nie nosił...

– Ależ nie, to nie dlatego! – zapewnił Lis. – On wszystko, na co tu patrzy, ze swoim bogactwem porównuje i w duchu sobie mówi: „Eee, gdzież temu królowi do mnie!”.

Zasiedli wszyscy do uczty, słudzy przynoszą jedno po drugim coraz to inne dania. A biedny Młynarz nie wie, ani za które najpierw się wziąć, ani jak je jeść.

– Drogi Lisie – szeptem pyta król – a dlaczego twój pan nic nie je?

– Ciągłe rozpamiętuje, jak go w podróży wrogowie ograbili, nie może się z tym pogodzić, wciąż to przeżywa, żałuje... Pewnie dlatego nie ma apetytu – z ciężkim westchnieniem objaśnił Lis. – Nawet nie wyobrażasz sobie, królu, jak wielkie skarby mu zrabowano. Uważa to za straszną hańbę, toteż nic dziwnego, że nawet jeść mu się nie chce.

– To nic, drogi zięciu – uspokaja go król, zwracając się do milczącego Młynarza. – Alboż to mało w życiu może się przydarzyć? Nie martw się! Wszak mamy wesele, ucztujmy, bawmy się radośnie, śpiewajmy, tańczmy!...

Siedem dni i siedem nocy trwała weselna uczta, a Lisowi na jej czas powierzono sprawowanie zaszczytnej roli weselnego starosty¹³.

Po weselu król przekazał swej córce bogate wiano i uroczyste ją pożegnał przed wyruszeniem w drogę do siedziby zięcia.

– Ja ruszę wcześniej i przygotowuję wszystko na wasze przybycie – uprzedził Lis nowożeńców. – A wy się nie spieszcie, jedźcie sobie spokojnie w ślad za mną!

Po tych słowach kum Lis rzucił się pędem przed siebie, ile sił w nogach. Biegnie, biegnie i nagle widzi: pasie się na polu duże stado bydła.

– Czyje to stado? – zapytuje pastuchów.

¹³ W oryginale występuje tu dialektałny wyraz ormiański *kawor* oznaczający „kuma, ojca chrzestnego” (AP).

– Szacha Mara¹⁴ – słyszy w odpowiedzi.

– Ojej, no co też wy, głupcy?! Nie ważcie się odtąd przed nikim wymawiać tego imienia! Czyżbyście nie wiedzieli, że sultán rozgniewał się na Szacha Mara?! I idzie na niego teraz z wielkim wojskiem? Tuż za mną idzie! Wiedźcie, że teraz każdemu za wymówienie imienia Szacha Mara ścina się głowę. Jeśli chcecie uniknąć nieszczęścia, to odtąd na pytanie: „Czyje to stado?” odpowiadajcie, że sultána Czachczacha, i nic złego wam się nie stanie.

Pobiegł Lis dalej i widzi: ogromne stada owiec pasą się na górkim zboczu.

– Czyje to owce? – pyta pastuchów.

– Szacha Mara – odpowiadają.

Również tym pastuchom Lis przykazał odpowiadać na pytania tak samo – i pobiegł dalej. Biegnie, biegnie i widzi: rozległe łąny zboża, a na nich żeńcy z kosami.

– Czyje to łąny? – pyta ich Lis.

– Szacha Mara – znowu słyszy w odpowiedzi.

Żeńcom Lis również nakazał tak samo odpowiadać na pytania i pomknął dalej. Wtem patrzy: ogromne połacie łąk ciągną się aż po horyzont, a na nich kosiarze.

– Czyje to łąki? – pyta.

– Szacha Mara – odpowiadają kosiarze.

Im również Lis kazał podobnie odpowiadać na pytania i pomknął dalej. Biegnie i biegnie, aż dotarł do pałacu samego Szacha Mara.

– Ej, Szachu Marze, Szachu Marze! Oby nie runął na ciebie twój dom! Coś się tak rozsiadł beztrosko?! Czyżbyś nie przeczuwał bliższego nieszczęścia?! Sultán się na ciebie okropnie rozgniewał i już z wielkim wojskiem nadchodzi, żeby cię zgładzić, a wszystkie twoje posiadłości zrównać z ziemią i wszelkie bogactwa zagarnąć... Ale ponieważ kiedyś zjadłem twoją kurę i od owego czasu zawsze ci dobrze życzę, to przybiegłem cię ostrzec: ratuj swoją głowę i uciekaj, póki jeszcze nie jest za późno!

¹⁴ Perski wyraz *mâr* oznacza „węża”, ale w niniejszej baśni nie odgrywa to żadnej roli. W oryginale ormiańskim Tumaniana mamy tu zapis: *Şah-Mar*, w którym pierwszy wyraz oznacza władcę Iranu, szacha, a drugi jest po prostu jego imieniem (AP).

– Ojjoj, to cóż mam teraz poczyć, gdzie się podziać?! – wykrzyknął przerażony Szach Mar.

Spojrzał na drogę przed sobą i widzi: w tumanach kurzu faktycznie zbliża się liczne wojsko...

– Prędej, prędzej wskakuj na konia i pędź na złamanie karku! – gorączkuje się Lis. – Jak najszybciej uciekaj z tego kraju!

Wskoczył Szach Mar na rączego konia i pogalopował precz, gdzie go oczy poniosą.

A tymczasem coraz dalej jedzie rozbawiony weselny orszak – z surmami, z bębnami, z pieśniami... Żołnierze się radują, skaczą, strzelają na wiwat w powietrze... Sułtan Czachczach zasiada wraz z małżonką w złotej karecie, a przed nią i za nią liczni jeźdźcy harcuja zapamiętale...

Dojechali do pola – i widzą: ogromne stado bydła się pasie.

– Czyje to stado? – pytają weselnicy.

– Sułtana Czachczacha! – odpowiadają pasterze.

Jadą dalej i widzą: stada białych owiec pasą się na górskich zboczach.

– Czyje to owce? – pytają.

– Sułtana Czachczacha! – mówią im pasterze.

Ruszają dalej i po pewnym czasie docierają do bezkresnych łąnów zboża.

– Czyje to łąny zboża? – zapytują.

– Sułtana Czachczacha! – odpowiadają żniwiarze.

Dojechali do pięknych łąk ciągnących się aż po horyzont i znów pytają:

– Czyje to łąki?

– Sułtana Czachczacha! – odpowiadają kosiarze.

Oszołomieni weselnicy nie mogą wyjść z podziwu, ale najbardziej bodaj zdumiony jest sam „sułtan” Czachczach – własnym uszom nie uwierzy!

Tak oto weselny orszak, pod wodzą sprytnego Lisa, dojechał do pałacu Szacha Mara. A tu kum Lis rządzi się już w najlepsze, wydaje polecenia, z honorami wita przybywających gości.

Wkrótce zasiedli wszyscy do stołu i zaczęła się uczta. Trwała siedem dni i siedem nocy, potem goście się pożegnali i rozjechali do domów.

A sułtan Czachczach z małżonką i kumotrem Lisem zamieszkali odtąd na dobre w pałacu Szacha Mara.

O samym zaś Szachu Marze ludziska powiadają, że po dziś dzień galopuje on z kraju do kraju, chłoscząc zawzięcie swego konia, i wciąż ucieka przed gniewem sułtana.

1907

tłum. Stanisław Ułaszek

Mówiąca ryba

1

Dawno, dawno temu żył sobie pewien biedak. Poszedł on kiedyś do rybaka i najął się do roboty. Jako zapłatę za cały dzień pracy dostawał kilka ryb, przynosił je do domu i oboje z żoną tylko tymi rybami się żywili.

Któregoś razu rybak złowił piękną rybkę, kazał więc swojemu robotnikowi włożyć ją do worka i dobrze pilnować, a sam znowu wlaź do wody. Siedzi robotnik na brzegu, patrzy na piękną rybkę i tak sobie myśli: „Panie Boże, przecież ta rybka też jest Twoim stworzeniem. I tak samo jak my, ma swoich rodziców, przyjaciół, coś niecoś chyba też sobie uświadamia i na pewno odczuwa radość, smutek...”.

Tu rybka przemówiła nagle ludzkim głosem:

– Posłuchaj mnie, dobry człowieku. Dokazywałam sobie beztrudno z siostrami w nurtach rzeki. Pochłonięta zabawą nie zauważyłam rybackiej sieci i wpadłam w nią. Teraz zaniepokojeni rodzice na pewno mnie szukają, płaczą, a siostry bardzo się smucą. Ja sama też już ledwo żyję, duszę się tu bez wody. Tak bardzo pragnę znaleźć się z powrotem w swojej rzece, bawić się, pluskać, żyć i pływać w przejrzystej toni. Ach, jak ja o tym marzę, jak bardzo chcę tam wrócić!... Ulituj się nade mną, dobry człowieku, i wrzuć mnie do rzeki...

Z trudem udawało się biedakowi zrozumieć wypowiedane przez rybkę słowa, gdyż miała wyschnięte usta i mówiła bardzo cicho. Zrobiło mu się jej żal i wrzucił rybkę z powrotem do wody.

– Płyń, sobie płyń, moja piękna, niech już nie płaczą twoi zrozpaczeni rodzice, wróć do nich i ciesz się razem z nimi.

Rybak okropnie się rozsierdził na swego pomocnika.

– Ach, ty baranie¹⁵! Że też krzty rozumu nawet nie ma w twoim łbie! Ja łażę po pas w wodzie, mokry, zmarznięty, byle złapać rybę, a ten dureń

¹⁵ W oryginale występuje tu wyraz *achmach* – zapożyczenie z arabskiego *'aḥmaq* „głupi” (za pośrednictwem tureckim) (AP).

z powrotem wrzuca ją do rzeki! Idź precz i nie pokazuj mi się więcej na oczy! Niepotrzebny mi taki robotnik, zdychaj z głodu, skoroś taki głupi!

Smutny, przybity biedak powlókł się z pustymi rękami do domu.

– Co ja teraz zrobię? Gdzie znajdę jakąś pracę? Za co wraz z żoną będziemy żyć?

2

Zbliża się wolno zgnębiony biedak do domu, a tu go raptem spotyka Dziwadło¹⁶ w ludzkiej postaci i idzie biedakowi naprzeciw; i krowę przed sobą patykiem pogania...

– Dzień dobry, przyjacielu! Czemuś taki smutny? O czym tak dumasz, nad czym rozmyślasz? – pyta Dziwadło.

Powiedział mu biedak o swoim nieszczęściu: o tym, że stracił pracę, został bez środków do życia i że nie wie, jak zdoła teraz wyżywić rodzinę...

– W takim razie posłuchaj, drogi przyjacielu... – mówi Dziwadło. – Zostawię ci na trzy lata moją krowę. Ona każdego dnia da wam tyle mleka, że będziecie z żoną najedzeni do syta. Ale jedno sobie zapamiętaj: nocą, w którą od tej chwili miną trzy lata, ja do was przyjdę i będę obojgu zadawał pytania. Odpowiedcie – zostawię wam krowę na własność, nie odpowiedziecie – zabiorę was ze sobą i postąpię z obojgiem, jak tylko będę chciał. Zgadzasz się?

„Jeśli mielibyśmy umrzeć z głodu – pomyślał biedak – to chyba lepiej wziąć krowę, zwłaszcza że przez trzy lata może być naszą żywicielką, a potem... Niech się dzieje wola nieba: może nas Bóg oświeci i zdołamy szczęśliwie odpowiedzieć na pytania?”

– Zgadzam się – odpowiada biedak po chwili wahania i przejmuje od Dziwadła krowę, po czym prowadzi ją do domu.

3

Trzy lata krowa karmiła do syta biedaka i jego żonę, ci zaś nawet nie zauważyli, kiedy ten okres upłynął. I właśnie zbliżała się ta okropna noc, kiedy miało się u nich pojawić Dziwadło.

¹⁶ W oryginale: *Hrasz* (AP).

O zmroku mąż i żona siedzieli smutni na progu i wciąż głowili się nad tym, jak mają odpowiadać na pytania. Przecież nie mieli nawet pojęcia, o co ich Dziwadło zapyta, bo niby skąd mogli wiedzieć?

– I po co się było wiązać z tym Dziwadłem!? – zachodzili oboje w głowę, wzdychali i użalali się nad sobą.

Tyle że co się stało, to się stało. Fatalna noc zbliżała się nieubłaganie i nic nie można było na to poradzić.

Raptem ni stąd, ni zowąd piękny młodzieniec zjawił się przed zatrokanymi małżonkami.

– Szczęść wam Boże, dobrzy ludzie! Jestem wędrownikiem, czy moglibyście mnie przenocować?

– A czemu nie, bracie wędrowniku?! Gość w dom – Bóg w dom! Tylko że dziś nocowanie u nas może być niebezpieczne. Kiedyś wzięliśmy od Dziwadła krowę i zgodziliśmy się, żeby trzy lata nas swoim mlekiem karmiła, jednak pod warunkiem, że w ostatnią noc odpowiemy na wszystkie pytania, jakie Dziwadło nam zada. I właśnie dzisiejszej nocy ma się ono tu zjawić: jeśli odpowiemy na pytania – krowa już będzie nasza, jeśli nie – staniemy się jego niewolnikami. Tylko patrzeć, jak Dziwadło tu stanie, a my wciąż nie wiemy, jak mu odpowiadać. I może nas srode ukarać, ale to jeszcze pół biedy – my się boimy, żeby i ciebie też, nie daj Bóg, nie skrzywdziło.

– Nie obawiajcie się – co z wami będzie, to i ze mną się stanie! – zapewnił młodzieniec gospodarzy.

O północy w domu biedaka rozległo się pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– To ja, Dziwadło! Przychodzę, żeby usłyszeć wasze odpowiedzi na moje pytania!

Jakie tam odpowiedzi, skoro mąż i żona struchleli ze strachu i nawet tchu z siebie wydobyć nie mogą.

– Nie bójcie się, ja za was odpowiem! – uspokaja małżonków młodzieniec i rusza ku drzwiom.

– Jestem tu, czekam! – dobiega zza drzwi głos Dziwadła.

– Ja też!

– A ty niby skąd?

– Zza morza!

- Jak żeś się tu dostał?
- Osiodłałem kulawą pchłę, dosiadłem – i przyjechałem!
- Znaczy się, morze było niewielkie?
- No, takie sobie. W każdym razie orzeł go nie przeleci.
- Pewnie jeszcze maleńki – pisklę?
- Nie, skądże! Cieniem swych skrzydeł miasto pokrywa!
- Czyli miasto maleńkie?
- O nie! Zając go przebiec nie zdoła.
- Musi być bardzo drobniutki, prawda?
- Ależ skąd! Z jego skóry dałoby się wykroić kozuch, czapkę i jeszcze parę rękawic na dodatek.
- Pewnie dla karzełka?
- Nie, nie! Ten zając to olbrzym! Jeśli posadzysz mu na kolana koguta, a ten zapieje, zając nie usłyszy – tak daleko od kolan są jego uszy!
- To znaczy, że jest głuchy.
- Nie, nie! Przeciwnie! On nawet słyszy, jak w górach jeleni skubie trawę.

Dziwadło jawnie straciło rezon: poczuło i zrozumiało bowiem, że w izbie kryje się jakaś nieznana mu siła – mądra, odważna i nie do pokonania. Toteż po chwili odeszło w milczeniu od drzwi i znikło w mroku nocy.

Mąż i żona, wybawieni z kłopotu przez tajemniczego wędrowca, nie posiadają się z radości, tryumfują. Tymczasem nastał świt, zajaśniała poranna zorza i młody gość zaczął się żegnać z gospodarzami.

– O nie, nie! Nigdzie cię nie puścimy! – wykrzykiwali małżonkowie, zagradzając gościowi drogę. – Uratowałeś nam życie... Powiedz, jak możemy ci się odwdziżyć...

– No co też wy? Nie trzeba, nie!... Dajcie spokój... Wypuście mnie, proszę, muszę iść!

– W takim razie chociaż powiedz, jak masz na imię; skoro nie możemy okazać ci wdzięczności, to pozwól, że będziemy się za ciebie modlić, ale musimy przecież wiedzieć za kogo...

– Dobro wyświadczone bliźniemu nigdy nie ginie, choćby je nawet topić w wodzie – powiedział gospodarzom nieznajomy młodzieniec. I dodał, zwracając się do biedaka:

– Ja właśnie jestem tą mówiącą rybką, nad którą niegdyś się ulitowałeś i ją ocaliłeś...

To powiedziawszy, zniknął, pozostawiając oszołomionych gospodarzy w niemym zachwycie.

1908

tłum. Stanisław Ułaszek

Dzban złota

Usłyszałem kiedyś od znajomych staruszków (oni zaś od swoich dziadów, a ci – od pradziadów), że w zamierzchłych czasach żył sobie ubogi wieśniak, którego jedynym majątkiem był skrawek ziemi i para wołów.

Pewnego dnia – nie wiadomo dlaczego – obydwaj woły nagle biedakowi zdechły. Toteż gdy przyszła wiosna i trzeba było orać i siać, musiał, nie mając wołów, wydzierżawić ziemię sąsiadowi.

A kiedy sąsiad zaczął tę nową ziemię obrabiać, jego pług raptem o coś zahaczył i wydobył z gruntu jakieś naczynie. Oracz patrzy i własnym oczom nie wierzy: przed nim na ziemi leży dzban pełen złota! Porzuciwszy pług i zwierzęta, biegiem popędził do właściciela pola:

– Oby nigdy nie zgasło światło twoich oczu! Z ziemi, którą wydzierżawiłem od ciebie, gospodarzu, wyorałem dzban pełen złota. Idź i zabierz go sobie!

– Nie, drogi sąsiedzie, to złoto nie jest moje. Ty płacisz za dzierżawę ziemi, ty ją orzesz, obrabiasz, zatem wszystko, co w niej znajdziesz, należy do ciebie. Znalazłeś złoto – weź je sobie, jest twoje!

Rozgorzał spór. Jeden twierdził: „Złoto jest twoje”. Drugi: „Nie, ono należy do ciebie”. Sprzeczka przybierała na sile, doszło do kłótni i przepychanki, ale nic to nie dało – obaj przeciwnicy niezmiennie trwali przy swoim. Poszli się pożalić królowi.

Wysłuchawszy ich opowiadania o dzbanie złota, król z całą stanowczością oświadczył:

– Nie macie o co się kłócić. Dzban znaleziony w mojej ziemi jest mój.

I król wraz ze swą świtą spieszenie podążył na miejsce cennego znaleziska. Tu rozkazuje otworzyć dzban. Patrzy i cofa się przerażony: dzban jest pełen węży! Rozwścieczony władca rozkazał schwycić bezczelnych oraczy, którzy ośmielili się go okłamać, i wrócił do pałacu. Tu postanowił ich srodze ukarać.

– Nie, nie, umiłowany królu, niesłusznie chcesz nas zgubić... – zarzekali się obaj nieszczęśnicy. – W dzbanie naprawdę jest złoto! I przysięgamy, że nie ma tam żadnych węży!...

Król wysłał na miejsce swoich gońców z rozkazem, by sprawdzili, czy to prawda. Ci przybyli na miejsce znaleziska i widzą: dzban jest pełen złota. Wracają i meldują o tym królowi.

– A to dopiero! – zdumiał się król i w duchu pyta samego siebie: „Może niezbyt dokładnie się przyjrzałem albo może był to inny dzban?”.

Ponownie jedzie więc na to miejsce, w którym został wyorany dzban. Otwiera go, patrzy, a w środku – kłębowisko węży!

– Co za dziwo?! Pewnie jakieś czary albo cuda!

I król postanowił wezwać wszystkich swoich mędrców na pilną naradę.

– Wyjaśnijcie mi, mędrcy, istotę następującej zagadki. Otóż ci oracze znaleźli w ziemi dzban pełen złota. Idę tam, patrzę i widzę: w dzbanie tylko kłębowisko węży! Idą inni i widzą, że dzban faktycznie jest pełen złota. Cóż to może znaczyć?

– Nie pogniewaj się, królu, za nasze słowa. Chodzi o to, że ów dzban pełen złota został ofiarowany tym biednym oraczom za ich pracowitość i uczciwość. To ich zapłata, nagroda za ciężką i sumienną pracę. Ty zaś pragniesz jedynie przywłaszczyć sobie cudze dobro – oto dlaczego zamiast złota znajdujesz tylko jadowite węże.

Król się spieszył, nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– No dobrze – przemówił po dłuższym zastanowieniu – to teraz powiedzcie: któremu z tych oraczy winno przypaść znalezione złoto?

– Właścicielowi ziemi, oczywiście! – wykrzyknął biedak.

– Nie! Temu, który je wyorał! – odpalił przeciwnik.

I ponownie wybuchła awantura.

– Chwileczkę, przestańcie – wtrącili się mędrcy. – Czy macie może dzieci – syna bądź córkę?

Okazało się, że jeden z wieśniaków ma syna, drugi zaś – córkę. Dowiedziawszy się tego, mędrcy zdecydowali: należy pożenić młodych i właśnie im przekazać dzban złota.

Rodzice przystają na takie rozwiązanie, wszyscy są zadowoleni, spór zakończony – i wyprawiają wesele! A trwało ono aż siedem dni i siedem nocy.

Złoto – dla nowożeńców, a węże – dla króla.

Gospodarz i parobek¹⁷

Niech Bóg okaże swoje miłosierdzie zarówno wam, jak i owym dwóm braciom, o których opowiada ta historia.

Żyli niegdyś na świecie dwaj ubodzy bracia.

Pewnego razu wpadli w zadumę i długo łamali sobie głowy, usiłując wymyślić, jakie zajęcie pozwoliłoby im najlepiej wyżywić rodzinę. I zgodnie ustalili, że młodszy brat pozostanie na gospodarstwie, starszy zaś najmie się u bogacza za robotnika parobka i to, co zarobi, będzie wysyłał do domu.

Tak też zrobili.

Młodszy brat został w domu.

A starszy najął się do roboty u bogatego gospodarza. I miał u niego pracować aż do wiosny, ściślej zaś – do pierwszego kukania kukułki.

Jeden tylko warunek niepokoił starszego brata, a mianowicie następujące żądanie pracodawcy: „Jeżeli w czasie obowiązywania umowy choć jeden raz rozsierzysz się i wpadniesz we wściekłość, zapłacisz mi tysiąc rubli¹⁸ – zastrzegł się gospodarz. – A jeśli ja się rozsierzę, to zapłacę tobie tysiąc rubli”.

– Tylko skąd ja niby wezmę tysiąc rubli? – rzucił z powątpiewaniem starszy brat.

– Jak mi ich nie dasz, to jeszcze dziesięć lat będziesz u mnie za darmo pracował – oświadczył gospodarz.

Na początku młodzieńca trochę przerażał ów niezwykle warunek, potem jednak uznał, że to nic strasznego: „Po prostu – pomyślał – nie dam się ponieść nerwom i tyle... A jeśli on się rozsierzdzi, to niech do siebie ma pretensje, przecież sam postawił taki warunek”.

¹⁷ W oryginale: „Pan i sługa” (*Ter-n u carra-n*) (AP).

¹⁸ W oryginale: *manet*. W roku 1828 północno-wschodnia Armenia znalazła się pod panowaniem Rosji w następstwie wojny persko-rosyjskiej. Do ormiańskiego języka ludowego weszło wówczas rosyjskie słowo *монета* „moneta” w postaci *manet*. Tak potocznie nazywano ruble, które były ogólnorosyjską jednostką monetarną (AP).

I starszy brat został parobkiem u bogacza.

A ten następnego dnia rano, skoro świt, budzi swojego parobka i wysła go w pole.

– Idź kosić – mówi – póki jasno!... A jak się ściemni – możesz wracać.

Parobek udaje się na pole, cały dzień kosi zboże, a wieczorem, zmęczony, wraca do domu.

Gospodarz wychodzi mu naprzeciw:

– Czemuś tak wcześnie wrócił? – pyta.

– Przecież słońce już zaszło...

– O nie, bratku, nie pamiętasz, co ci powiedziałem? Masz kosić, dopóki będzie jasno! Słońce zaszło, to prawda, ale spójrz w niebo – księżyc, jego brat, wcale nie gorzej świeci i wciąż jeszcze jest widno, prawda?...

– No tak, ale... Nie rozumiem, to jakiś żart? Co to ma znaczyć?! – rzuca rozdrażniony parobek.

– Oho, czyżbyś się złościł? – pyta gospodarz.

– Nie złościę się, tylko mówię, że jestem zmęczony, trochę odpocznę i... – tu zbity z tropu chłopak zająknął się... i posłusznie ruszył z powrotem na pole.

Całą noc kosił zboże, dopóki księżyc nie zniknął z nieba. Ale na jego miejsce od razu pojawiło się słońce. Widząc to, wyczerpany młodzieniec pada bez sił na ziemię.

– A niech przepadnie¹⁹ to twoje pole! – krzyczy rozwścieczony. – I ten chleb, którym mnie karmisz! I ta nędzna zapłata, jaką mi dajesz!

– Widzę, żeś się rozsierdził – niespodziewanie rzucił gospodarz, który raptem jakby spod ziemi wyrósł przed swoim parobkiem. – A skoro tak, to przypominam ci o naszej umowie – ty ją łamiesz, nie ja, więc nie opowiadaj, że to ja ci wyrządzam krzywdę.

To powiedziawszy, gospodarz żąda, aby parobek – zgodnie z umową – zapłacił mu tysiąc rubli albo dziesięć lat pracował u niego za darmo.

Ten wpada w rozpacz – wszak nie ma skąd wziąć pieniędzy, żeby je oddać gospodarzowi, a służba u owego bezwzględnego człowieka wcale nie jest łatwa, toteż bardzo chciałby się od niej uwolnić... Ale jak?... Głowi się, głowi, wreszcie daje bogaczowi pisemne oświadczenie, że

¹⁹ W oryginale występuje tu arabskie słowo *haram*, które (w transkrypcji naukowej: *harām*) dosłownie znaczy „zakazany” (AP).

jest mu winien tysiąc rubli, po czym z pustymi rękami wraca zasępony do rodzinnego domu.

– No to mów – prosi go młodszy brat – jak ci tam było, co robiłeś?

Starszy brat więc siada obok i szczerze, niczego nie pomijając, wszystko młodszemu opowiada.

Po wysłuchaniu opowieści starszego brata młodszy go pociesza:

– Nie rozpaczaj, nie martw się, jakoś sobie z tym długiem poradzimy. Zostań teraz w domu, a ja zamiast ciebie pójde pracować.

Przychodzi młodszy brat do tegoż bogacza i najmuje się u niego do roboty.

Ten znowu stawia chłopakowi warunek: jeżeli rozsierdzisz się przed nadejściem wiosny, czyli do pierwszego kukania kukułki, to albo zapłacisz mi tysiąc rubli, albo dziesięć lat będziesz u mnie za darmo pracował, a jeśli ja się w tym czasie rozsierdę, to ja ci dam tysiąc rubli i puszcze wolno, na cztery strony świata.

– To stanowczo za mało – oświadcza młodszy brat. – Jeżeli ty się rozsierdzisz, zapłacisz mi dwa tysiące, a jeżeli ja, to również zapłacę ci dwa tysiące. Albo dwadzieścia lat będę u ciebie za darmo pracował.

– Zgoda – uradował się bogacz, słysząc takie zobowiązanie.

I oto młodszy brat jest już parobkiem u zamożnego gospodarza.

Nastaje świt, robi się późny ranek, a ów nowy parobek ani myśli wstawać. Gospodarz zagląda do niego raz po raz i widzi: chłopak wciąż chrapie w najlepsze.

– Ej, śpiochu! Wstawaj, pora obiadu nadchodzi! Obudź się wreszcie, słyszysz? Ej!

– Czy ty się aby nie złościsz, gospodarzu, nie sierdzisz się? – pyta zaspany parobek, unosząc nieco głowę.

– Nie, nie... bynajmniej, nie sierdzę się, nie... tylko... – płcze się gospodarz – ...tylko mówię, że już najwyższy czas pójść w pole, pokosić trochę...

– No skoro tak, to zaraz się ubiorę i pójde, nie ma pośpiechu.

Leniwie zwleka się z posłania i zaczyna powoli naciągać robocze buciska. Gospodarz co rusz do niego zagląda i niezmiennie widzi: chłopak wciąż jeszcze naciąga te swoje buciska.

– Kiedy je wreszcie włożysz? Długo jeszcze będziesz się grzebał?!

– A co? Czyżbyś się sierdził? – pyta parobek.

– No coś ty, coś ty? Nie... bynajmniej! Chciałem tylko zaznaczyć, że z wyjściem na pole nie wypada się spóźnić.

– A, jeśli się nie sierzdysz, to co innego, bo przecież umowa to umowa...

Ale zanim robotnik włożył te swoje buciska, zanim wraz z gospodarzem znaleźli się na polu, nadszedł czas obiadu.

– O tej porze nikt przecież nie pracuje – mówi parobek. – Spójrz, gospodarzu, wszyscy ludzie odpoczywają i jedzą, to i nam wypada się posilić, a do pracy potem się zabierzemy...

Siadają, spożywają obiad. Po obiedzie parobek mówi:

– Nam, ludziom ciężko pracującym, nie zawadzi po jedzeniu trochę odpocząć, prawda? – I zanurzywszy głowę w trawie, zasypia, i śpi do samego wieczora.

– Wstawaj, leniu przekłety, bo ciemno się robi! – wrzeszczy rozwścieczony gospodarz. – Inni dawno już swoje pola obrobili i poszli do domów, tylko myśmy na nietkniętym łanie zostali. Że też mnie podkuśiło przyjmując takiego wałkonía na parobka! Obyś kark skręcił, łajzo! Oby przekłety był twój chleb! Lepiej, żebyś się udławił tą swoją robotą!

– Czyś ty się aby nie rozsierzdził? – kpiąco zapytał parobek, siadając i przeciągając się słodko po poobiedniej drzemce.

– Ależ skąd?! Gdzież tam! Wcale się nie sierzdę – chciałem tylko powiedzieć, że ciemno już się zrobiło i pora iść do domu.

– Dobrze, że trzymasz nerwy na wodzy, bo umowa to umowa... Gdybyś się rozsierzdził, musiałbyś ponieść karę.

Wracają do domu. A tam tłum gości! Gospodarz nakazuje parobkowi zabić owcę.

– Ale którą? – pyta go parobek.

– Wszystko jedno, która podejdzie...

Parobek odchodzi.

Po pewnym czasie domownicy alarmują gospodarza:

– Biegnij prędko do zagrody – krzyczą. – Twój nowy parobek wyrznął ci całe stado!

Wpada zdyszany bogacz do zagrody i widzi: rzeczywiście, wszystkie owce, ile ich było, leżą martwe. Zrozpaczony łapie się za głowę:

– Coś ty narobił, bydlaku?! – wrzeszczy. – Bodajś nigdy nie miał swego domu! Dlaczego mój dom rujnujesz?

– Przecież sam powiedziałeś, żebym zabił tę, która podejdzie. A one wszystkie podeszły! No to wszystkie zabiłem... A co, czyżbym zrobił coś nie tak, jak trzeba? – spokojnie pyta parobek. – Oj, widzę, że najwyraźniej się sierdzisz...

– Wcale nie, nie sierdzę się, tylko ubolewam, że tyle dobra się zmarnowało...

– No skoro tak, to nadal mogę u ciebie pracować...

Bogacz gorączkowo rozmyśla, jak by się pozbyć krnąbrnego parobka, jak się od niego uwolnić. Najął go wszak do wiosny, do pierwszego kukania kukułki, a zima przecież dopiero się zaczyna i do wiosny jeszcze tak daleko...

Myśli bogacz, myśli i oto co wymyślił. Wyprowadza swoją żonę do lasu, sadowi na gałęzi drzewa i na dany znak każe jej kukać. Do robotnika zaś powiada: chodźmy na polowanie. Gdy tylko weszli do lasu, żona gospodarza zaczęła kukać niby prawdziwa kukułka.

– Oho, raduj się! – mówi gospodarz do robotnika. – Słysząc kukułkę, a to znaczy, że czas twojego najmu upłynął, możesz już odejść...

Mądry chłopak jednak nie dał się nabrać, przejrzał bowiem plan gospodarza.

– Nie, nie! – powiada stanowczo. – Kto to słyszał, żeby zimą kukułka w lesie kukała? To pewnie jakaś pokutująca strzyga, lepiej ją zastrzelić...

To powiedziawszy, od razu chwytą za strzelbę. Gospodarz rzuca się ku niemu, błaga, by się wstrzymał.

– Na Boga, nie zabijaj jej! – prosi jękliwie. – W złą godzinę się u mnie zjawiłeś! Za co takie nieszczęście na mnie spadło? Bodaj cię wszyscy diabli!...

– Chyba się jednak sierdzisz, prawda?

– Tak, tak, bratku, przyznaję, mam już wszystkiego dość! Zapłacę ci umówioną karę i koniec! Uwolnię się wreszcie od ciebie. Ja postawiłem taki warunek, to i ja zapłacę za złamanie umowy. Dopiero teraz zrozumiałem sens przysłowia: „Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada”.

Dobra to była nauczka dla bogacza. A młodszy brat podarł dłużny kwit starszego brata, wziął tysiąc rubli i wrócił do domu.

1908

thum. Stanisław Ulaszek

Niepokonany kogut

Było tak, czy nie było? Któż to dziś wie? W każdym razie żył ponoć dawno temu pewien odważny Kogut.

Któregoś razu grzebał w śmieciach i znalazł złotą monetę. Frunął na dach i radośnie zapał, najgłośniej, jak potrafił:

– Kukuryku-u-u!... Znalazłem pieniądze!

Usłyszał to król i rozkazał swoim wezyrom, żeby odebrali Kogutowi monetę i przynieśli ją do pałacu. Ci niezwłocznie pomknęli, odebrali, przynieśli...

A pokrzywdzony Kogut jak się nie rozwrzeszczy:

– Kukuryku-u-u, król moim kosztem się wzbogacił!...

Zwrócił król wezyrom złotą monetę i rozkazał:

– Zanieście mu ją z powrotem i oddajcie, bo inaczej ten nicpoń na cały świat mnie zniesławi!

Odnieśli wezyrowie złotą monetę, oddali ją Kogutowi. A ten ponownie frunął na dach i zapał najgłośniej, jak umiał:

– Kukuryku-u-u-u, król się mnie wystraszył!

Tu już władca rozgniewał się nie na żarty i rozkazał wezyrom:

– Idźcie – powiada – schwytajcie tego niegodziwca, odrąbcie mu głowę, ugotujcie go i podajcie mi na stół! Zjem go i uwolnię się wreszcie od szubrawca...

Pobiegli wezyrowie, pojмали Koguta, niosą go, a ten wrzeszczy:

– Kukuryku-u-u-u, król w gości mnie zaprosił!

Przyniesiono Koguta do pałacu, zarżnięto, wrzucono do kotła, a ten jak się nie rozedrze:

– Kukuryku-u-u-u, król mi gorącą kąpiel przygotował!

Ugotowano i podano królowi na półmisku Koguta, a ten radośnie krzyczy:

– Z samym królem mam honor przy stole zasiadać! Kukuryku-u-u-u!!!

Pochwycił król ugotowanego Koguta i już go ogryzać, żuć, połykać... Lecz i w królewskim gardle ten huncwot miewa się całkiem nieźle i stamtąd pieje:

– Wąską uliczką z trudem się teraz przeciskam... kukuryku-u-u!

Król widzi, że – nawet przezeń połknięty – ów krzykliwy Kogut nie zamierza bynajmniej zamilknąć, toteż rozkazuje swoim wezyrom, żeby z obnażonymi szablami stanęli po jego obu stronach i jeśli Kogut zapieje, żeby go natychmiast zabili i poćwiartowali.

Stanęli więc wezyrowie z obnażonymi szablami obok króla: jeden po jego prawej ręce, drugi – po lewej.

Tymczasem niezmordowany Kogut dotarł do królewskiego żołądka i stamtąd głośno zapiał:

– W słonecznym kraju żyłem, a teraz do mrocznego królestwa trafiłem... kukuryku-u-u-u!...

– Zabić go! – rozkazuje król.

Zamachnęli się wezyrowie szablami i rozplatali królowi brzuch.

A Kogut z niego jak nie wyskoczy, jak nie pobiegnie!... Pędzi przed siebie, pędzi... Frunął na dach i tryumfalnie, na całe gardło zapiał:

– Kukuryku-u-u-u-u!!!

1909

tłum. Stanisław Ułaszek

Barekendan²⁰

Żyli niegdyś na świecie mąż i żona. Ale nie bardzo się lubili, toteż wiecznie darli ze sobą koty.

Mąż wyzywał żonę od głupich bab, żona zaś męża – od durniów i tumanów, a ich kłótniom i swarom nie było końca.

Któregoś razu mąż kupił na rynku kilka pudów²¹ masła i ryżu, po czym najął tragarza, aby ten odniósł zakupy do domu.

Żona, widząc je, okropnie się rozgniewała:

– Zawsze się pieklisz, durniu, kiedy mówię, żeś bezmyślny tuman, ale ty oczywiście nie wierzysz... No to sam popatrz: na co nam tyle masła i ryżu? Czyżbyś zamierzał stypę po ojcu urządzić albo synowi wesele wyprawić?!

– Głupoty pleciesz, żono! Jaka tam stypa, jakie wesele? Zajmij się lepiej zakupionym towarem, przechowaj go... Bo jak Barekendan przyjdzie, to oddamy, co mu się należy, dlatego tyle nakupiłem.

Uspokoiła się żona, schowała zapasy do spiżarni.

Czas mija. Żona czeka i czeka, a ów zapowiedziany przez męża Barekendan wciąż nie przychodzi. Pewnego razu usiadła przed drzwiami i widzi: idzie szybko ulicą jakiś człowiek i się rozgląda... Przyjrzała mu się, zawołała:

– Ej, dobry człowieku! Czekaj no, zatrzymaj się!...

Przechodzień stanął.

²⁰ *Barekendan* (wymowa: *Barekentan*) – nazwa ormiańskiego ludowego święta pożegnania zimy, odpowiednik rosyjskiej „maslenicy” (tor). Chodzi o tzw. „ostatki”, dawniej zwane „mięsoпустem”, czyli ostatnie dni karnawału (w chrześcijańskim kalendarzu okres od święta Trzech Króli 6 stycznia do środy popielcowej otwierającej Wielki Post poprzedzający Wielkanoc, święto Zmartwychwstania Pańskiego). Ormiański wyraz *Barekendan* nawiązuje do przymiotników *bari* „dobry” i *kendani* [kentani] „żywy”. Okres, którego nazwa jest tytułem niniejszej baśni, kojarzy się z urządzanymi wówczas wesołymi zabawami (AP).

²¹ *Pud* – rosyjska miara wagi równa 16,38 kg (AP).

– Powiedz mi, dobry człowieku, czy nie nazywasz się czasem Barekendan?

Przechodzień od razu się zorientował, że z głową kobiety coś jest nie w porządku i chyba brak jej piątej kleпки, toteż pomyślał: „A co tam, mogę się dla niej i tak nazywać... Zobaczymy, co z tego wyniknie”.

– Tak, tak, miła siostró, ja jestem Barekendan. Chcesz mi może coś powiedzieć?

– A pewnie, że chcę, i to jak! Czyżbyś nas po to wynajął, żebyśmy stale twoje masło i ryż przechowywali? Przez tyle czasu?! Wstydu nie masz, jak można?! Dlaczego wciąż nie zabierasz tego, co twoje?

– Niepotrzebnie się złościś, miła siostró, właśnie przychodzę te rzeczy zabrać; tylko waszego domu jakoś nie mogłem odnaleźć, szukałem go i szukałem...

– No to wchodzi i zabieraj wreszcie to wszystko!

Wszedł przechodzień do środka, w spiżarni załadował do worka przygotowane zapasy, zarzucił tobół na plecy i chodu! Byle prędzej, z powrotem – piętami do tego dziwnego domu, a twarzą do swojej wioski!...

Wrócił do domu mąż nierozumnej kobiety, a ona mu powiada:

– No, dziś nareszcie zjawił się ten twój Barekendan. Kazałam mu zabrać ze spiżarni te jego zapasy, co się tam dotąd walały!

– Jaki znów Barekendan, jakie zapasy?! Co ty pleciesz, głupia babo? Nie pojmuję!...

– Nie pojmujesz, durniu?! A to masło i ryż, coś na rynku dla niego nakupił?... Zobaczyłam, jak idzie po ulicy, rozgląda się, zastanawia... naszego domu wypatruje. Zawołałam, nawymyślałam mu, kazałam zabierać wreszcie cały ten ryż i masło...

– Waj-ajajajaj, niechby runął na ciebie twój dom, głupia babo! Och ty... bezmózgie stworzenie! A w którą stronę on poszedł?

– W tamtą-ą-ą...

Mąż wskoczył na konia i pogalopował, chciał dogonić Barekendana.

A ten wciąż idzie rażno swoją drogą i stale się ogląda. Zobaczył w oddali jeźdźca i się domyślił, że to ściga go mąż oszukanej kobiety, toteż przezornie ukrył worek w krzakach. Jeździec zrównał się z nim i mówi:

– Dzień dobry, przyjacielu!

– Niech i dla ciebie będzie on dobry!

– Czy nie wyprzedził cię niedawno jeden człowiek?

- Wyprzedził.
- A niósł może worek na plecach?
- No pewnie, że niósł, oczywiście...
- Właśnie to chciałem wiedzieć, dzięki... A dawno on cię minął?
- O, już jakiś czas temu...
- Czy jeszcze dogonię go na koniu?
- Ależ skąd! Na pewno nie dogonisz! Przecież ty siedzisz na koniu, a on idzie piechotą... Zanim twój koń zdąży jedną za drugą przestawić wszystkie cztery nogi – jedna... druga... trzecia... czwarta... – tamten człowiek na swoich dwóch piorunem się puścił przed siebie: raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa! I natychmiast cię wyprzedzi – tyle go będziesz widział!...
- To co w takim razie mam robić?
- Jedno tylko ci pozostaje: zsiądź z konia – ja chętnie go przypilnuję – a sam biegnij za tamtym człowiekiem, to może go i dogonisz.

Zszedł z konia tępy mąż głupiej kobiety, powierzył zwierzę opiece nieznanego wędrowca, a sam puścił się biegiem, żeby jak najprędzej dogonić złodzieja. A Barekendan odczekał, póki ów naiwny głupiec nie zniknie mu z oczu, wydostał z krzaków worek, objuczył nim konia, wskoczył na jego grzbiet i – okładając wierzchowca nahajką – pogalopował przed siebie, ale na wszelki wypadek przezornie zboczył z głównej drogi.

A mąż głupiej żony biegnie i biegnie tą właśnie drogą, ale zrozumiał, że jednak złodzieja nie dogoni, zatrzymuje się i idzie z powrotem, wkrótce też przekonuje się, że stracił i konia...

Przeto wrócił zgnębiony do domu i znowu między małżonkami wybuchła zażarta kłótnia: mąż rugał żonę za utracone masło i ryż, a żona męża – za straconego konia.

I tak po dziś dzień oboje na siebie wrzeszczą: on wyzywa kobietę od głupich, ona zaś jego od durniów i bezmyślnych tumanów, a Barekendan słucha i pęka ze śmiechu.

1910

tłum. Stanisław Ulaszek

Myśliwy – łgarz

W urodziny matki i zarazem w rocznicę chrztu ojca postanowiliśmy w pięciu czy sześciu wybrać się ze strzelbami-szablami na polowanie. Tak, tak... – my, to znaczy: Hadi, Hudi, Czati, Mati, mój ojciec i ja – ruszyliśmy wszyscy razem na łowy.

Po górach, dolinach, wertepach szliśmy wytrwale przed siebie; tam, gdzie była zwierzyna – stąpaliśmy ostrożnie, w milczeniu, a tam, gdzie strach nas ogarniał – przemykaliśmy się cichaczem, zgięci wpół...

Szliśmy tak, szliśmy... a czy bardzo daleko, czy nie bardzo? Trudno powiedzieć; w każdym razie zobaczyliśmy nagle trzy jeziora: dwa wyschnięte, jedno bez wody. Patrzymy, a na tym bezwodnym jeziorze trzy białe kaczki pływają – i kwaczą, kwaczą... Przy tym dwie z nich – nieżywe, a jedna – zdechła.

Wołam do Hadioego:

– Pal do nich, pal!...

A on:

– Przecież nie mam strzelby.

– No to ty, Hudi – strzelaj!

– Ja też nie mam czym.

– Czati!... Mati!... Strzelajcie!

– I my nie mamy czym.

– A niech to!... Co teraz począć?

Ojciec miał w ręku kij – długi i krótki, gruby i cienki. Zebrał się na odwagę, złożył się do strzału, z grubsza wycelował – i jak nie palnie! Ba-bach!... On wprawdzie strzelił, ale ja uderzyłem. A rąbnąłem tak, że kaczka jak długa się rozciągnęła i rozłożyła skrzydła! Ale jakie szerokie! Każde na pięć i pół gaza²².

– Hadi, daj nóż!

²² Gaz – perska miara długości nieco większa od metra (AP).

A on:

– Nie mam noża.

– A ty, Hudi?

– Ja też nie mam.

– Czati, Mati – a wy?

– I my nie mamy.

– To co zrobić, he?...

Mój ojciec miał nóż, tyle że bez ostrza...

Ale choć nóż nie miał ostrza, spróbowaliśmy zarżnąć nim kaczkę...

Próbował Hadi – na próżno, próbował Hudi – nie dał rady, Czati... – też sobie nie poradził, Mati – tak samo, a ojciec również nie dał rady.

No to ja spróbowałem – i migiem ją zarżnąłem.

Zarżnąłem i rzuciłem na ziemię, tyle że stała się przy tym wielka jak bawół! Hadi chciał ją podnieść i zarzucić sobie na plecy – nie zdołał. Czati – nie zdołał, Mati – nie zdołał, ojciec spróbował – i też nie zdołał.

Ja się natężyłem – i podźwignąłem ciężar! Zarzuciłem go sobie na plecy i ruszyliśmy w drogę.

Szliśmy, szliśmy, aż dotarliśmy do jakiegoś nieznanego miejsca. Patrzymy – trzy osady przed nami, tylko że dwóch w ogóle nie widać, a w trzeciej – żadnej, choćby najmniejszej chałupki nie ma... Przeszukaliśmy tę osadę, w której nie było żadnego domu, i znaleźliśmy jedną chałupę! A w niej – trzy staruchy: dwie martwe, a trzecia całkiem bez życia...

– Wiecie co, moi drodzy – wpadłem na pomysł – przyrządzimy sobie *pilaw*²³ z tej naszej kaczki, zgoda?

Trzecia starucha, ta całkiem bez życia, poszukała, poszukała – i znalazła gdzieś nie tylko pół ziarenka ryżu, ale i trzy kotły: dwa dziurawe, a trzeci – w ogóle bez dna.

Napełniliśmy wodą ten kocioł bez dna, włożyliśmy do niego kaczkę i ryż – i zaczęliśmy gotować bez ognia. Gotowaliśmy, gotowaliśmy tak długo, aż mięso i ryż całkiem się wygotowały, a w kotle została sama woda.

²³ *Pilaw* – nazwa orientalnej potrawy z ryżu i różnych gatunków mięsa (z perskiego *pelou/polou*) (AP).

Zgłodnieliśmy wszyscy bardzo na tym polowaniu – jak zatem mogliśmy nie rzucić się na gotowy *pilaw*?!

Jedliśmy, jedli, opychaliśmy się, ile wlezie, tyle że żadnego jedzenia nie widzieliśmy, a i do ust nic nam nie trafiało...

1910

thum. Stanisław Ułaszek

Leniwa Huri

Żył sobie niegdyś pewna kobieta i miała córkę o imieniu Huri²⁴. Dziewczyna była okropnie leniwa, do żadnej pracy się nie garnęła. Całymi dniami przesiadywała z założonymi rękami na dachu domu i tak mruczała pod nosem:

Po co sobie ręce brudzić i po co się męczyć?
Praca trudna jest i brudna, i okropnie nudna,
Nie chcę żadnych nasion z bawełny wybierać!
Wolę tutaj sobie siedzieć, słodko leniuchować,
I spokojnie, bez pośpiechu żując dobry *mastak*²⁵.
Cały dzień bezmyślnie przed siebie spojierać,
I smacznie jeść, i smacznie pić,
A jak się ściemni – do łóżka iść...

Nic zatem dziwnego, że sąsiedzi mówili o dziewczynie „leniwa Huri”.

Ale matka nie mogła się wręcz córuchny nachwalić: a to, że niby piękna jak wróżka z bajki; a to, że niby energiczna jak ogień i robotna, i wszystko potrafi, bo ma złote ręce. Żaden to dla niej trud *lidr*²⁶ bawełny oczyścić, rozczesać, uprząść i w motki nawinąć, albo skroić i uszyć ubranie, albo ciasto zamiesić, chleb upiec, i obiad ugotować, i naczynia pozmywać, uprzątnąć...

Pewien młody kupiec usłyszał kiedyś, jak matka wychwalała przed ludźmi tę swoją Huri, i powiedział do siebie: „Urodziwa dziewczyna z wszelkimi zaletami! Takiej właśnie żony potrzebuję!”.

²⁴ Huri – arabskie imię żeńskie występujące w Koranie („rajska hurysa” – wiecznie młoda, piękna dziewczyna), por. z przypisem 120 do *Opowiadań* Tumaniana (AP).

²⁵ *Mastak* – ormiańska nazwa żywicy używanej dawniej do żucia (tor).

²⁶ *Lidr* – dawna miara wagi równa około 5 kg (tor).

Popędził na złamanie karku do wybranki, poprosił o jej rękę, rychło też się ożenił z leniwą Huri i przywiózł ją do swojego domu. Kupił bodaj dziesięć albo i dwadzieścia bel bawełny i powiada do żony:

– Wyjeżdżam daleko w interesach. A póki mnie w domu nie będzie, oczyść tę bawełnę, rozczesz i uprządź. Kiedy wrócę, sprzedamy przędzę – i dopiero się wzbogacimy!

Kupiec wyjechał, a leniwa Huri ani myśli zabierać się do pracy, spaceruje sobie, obja się, *mastak* językiem między zębami przesuwa...

Ktoregoś razu w czasie przechadzki nad rzeczką usłyszała rechot i kumkanie żab:

– Rech... rech... kum... rech... kum... kum... rech...

– O, moje miłe dziewczeczki, moje drogie Rechcio i Kumcio! Czy mogłybyście rozczesać mi bawełnę, kiedy ją tu przyniosę?

– Przynieś... Przynieś... – kumkają i rechoczą żaby.

Ucieszyła się leniwa Huri, pobiegła, przydźwigała całą bawełnę – i wrzuciła do rzeczki.

– No to weźcie się do roboty, rozczeszcie bawełnę i uprządźcie. A ja za kilka dni przyjdę, odbiorę przędzę i sprzedam...

Powiedziała to i odeszła. Kilka dni później wróciła nad rzeczkę, a żaby beztrósko swoje:

– Rech... rech... kum... kum...

– Ej, witajcie, dziewczeczki! Już jestem! Ej, Rechciu! Ej, Kumciu! Przynieście moją przędzę, czekam!

Żaby wciąż rechoczą, kumkają, ale przędzy jednak nie niosą...

Rozejrzała się Huri i widzi – wszystkie kamienie nad wodą i cały brzeg rzeczki pokrywa gruby dywan zielonej rzesy.

– Och, czy moje oczy naprawdę to widzą?! Coś niesłychanego! Nie dość, że bawełnę uprządziły, ufarbowały, to jeszcze i dywan z niej utkwały!

Huri przysłoniła dłonią oczy i woła do żab:

– Ej, dziewczeczki, skoro nawet dywan utkwałyście sobie z mojej przędzy, to oddajcie mi za nią pieniądze!

Krzyknęła tak, ruszyła w stronę rzeczki, weszła do wody, aby się rozmówić z żabami... I raptem nastąpiła na coś twardego. Schyliła się, podniosła i widzi, że to złoty samorodek! Podziękowała zatem hojnym żabkom, Kumci i Rechci, włożyła samorodek do podołka i poszła do domu.

Wkrótce wrócił też kupiec z dalekiej podróży. Wszedł do pokoju i widzi: na półce leży duża sztabka litego złota...

– Powiedz mi, żono, co to za złoto? I skąd się tu wzięło?!

A Huri mu powiada:

– Drogi mężu, muszę ci się pochwalić: sprzedałam naszą bawełnę dwóm moim dobrym znajomym, Rechci i Kumci. A to jest ich zapłata za sprzedany towar.

O jakże mąż się ucieszył! Daj Boże i wam, czytelnicy, zaznać kiedykolwiek w życiu podobnej radości! Kupiec zaprosił w gości teściową, obsypał ją podarkami, nie może jej się nachwalić za to, że taką roztropną i pracowitą córkę wychował. Niezwłocznie też zasiedli wszyscy do stołu i rozpoczęła się uczta.

Ale teściowa była mądra i wielce przebiegła. Wypytała dokładnie córkę o to, jak się sprawy miały, i strach ją ogarnął. Przełękła się bowiem, że zięć może będzie chciał powierzyć Huri jakąś nową pracę – i wszystko się wyda!

Tu przypadek przyszedł jej z pomocą. Kiedy uczta trwała w najlepsze, przez okno wpadł do środka pokaźny chrząszcz i jął z głuchym buczeniem krążyć po pokoju. Teściowa energicznie wstała z miejsca, zgłębiając się w pokłonie przed chrząszczem i radośnie zawołała:

– Ach, witaj, witaj, drogi kuzynie! Nareszcie jesteś! Czemu tak długo kazałeś na siebie czekać? Jak się masz? Czy wszystko u ciebie w porządku? Gdzieś się podziewał i co cię tak długo zatrzymywało, żeś się nie pokazywał? Nie miałeś kiedy, bo pewnie znów ktoś ci kazał bardzo ciężko pracować, tak? Aż strach patrzeć, jak zmizerniałeś, biedaku, co z ciebie zostało?! Spójrz, do czego siebie przez tę wyczerpującą robotę doprowadziłeś...

Zięć słucha, dziwi się i szeptem zapytuje teściową:

– Czyżbyś, matko, rozum postradała, co ci się stało?! Dlaczego raptem ni stąd, ni zowąd nazywasz chrząszcza kuzynem?

Teściowa mu wyjaśnia:

– Ech, mój drogi zięciu, nie będę przed tobą niczego ukrywać, tym bardziej że obecnie jesteś też moim synem! Musisz zatem wiedzieć, że ten chrząszcz naprawdę jest moim kuzynem... Zawsze był bardzo pracowity, całymi dniami harował bez wytchnienia. I od tego ciągłego trudu ponad siły cały wysechł, skurczył się, zmalał, z biegiem czasu

robił się też coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu w chrząszcza się zmienił! Cały nasz ród ma to we krwi, wszyscy podobnie się zachowujemy – po prostu uwielbiamy pracować. Tyle że mizerniejemy z czasem, coraz bardziej usychamy, malejemy – i w końcu przemieniamy się w chrząszcze...

Zięć słuchał owego wyjaśnienia z otwartymi ze zdumienia ustami, dusza mu wręcz ze strachu w piętach ugrzęzła. I jak najsurowiej zabronił Huri pracować, zakazał jej nawet palcem tknąć czegokolwiek: przeraził się, że i jego żona, podobnie jak ów jej nieszczęsny kuzyn, mogłaby się (nie daj Boże!) przeobrazić w chrząszcza!

1911

tłum. Stanisław Ułaszek

Kto biednemu zabroni radośnie spędzać czas?²⁷

(BAŚŃ WSCHODNIA)

1

Bagdadem władał podówczas kalif Harun ar-Raszid²⁸. Miał on zwyczaj wędrować w przebraniu po mieście, aby dobrze wiedzieć, co tak naprawdę dzieje się w jego stolicy.

Pewnej nocy, kiedy przebrany za derwisza²⁹ przechodził głuchą uliczką obok jakiejś nędznej chałupy, dobiegły go dźwięki muzyki i śpiew. Kalif zatrzymał się, zastanowił, podumał... i wszedł do środka. I cóż widzi? Ogołocoony pokój, puste ściany, a na zgrzebnym wytartym dywaniku przy ogniu – gospodarz i kilku muzykantów... Siedzą przy skromniutkiej kolacji, weselą się, grają i śpiewają...

– Pokój wam, o weseli ludzie! – przywitał derwisz uczujących, kłaniając się gospodarzowi domu.

– A, witaj, witaj, szanowny³⁰ derwiszu. Siadaj, ogrzej się... Zechciej też spożyć z nami ten chleb zesłany przez Allaha³¹ i dziel naszą radość –

²⁷ W oryginalnym tytule tej baśni występuje dialektałny ormiański wyraz *kef* oznaczający „uczucie, radość”. Pochodzi on od arabskiego rzeczownika *kayf* o tym samym znaczeniu. Dotarł on nawet do języka rosyjskiego, skoro słowniki tego języka notują słówko *кейф* (w znaczeniu nieco innym: „bezczynność, odpoczynek”) (AP).

²⁸ Harun ar-Raszid był arabskim władcą, kalifem (po arabsku: *chalifa*), rządzącym z Bagdadu ogromnymi terytoriami na przełomie VIII i IX wieku. Pochodził z dynastii Abbasydów. Stał się bohaterem wielu baśni z *Księgi tysiąca i jednej nocy* (AP).

²⁹ Derwisz – członek sekty żebrzących mnichów (mużulmańskich) (tor). Byli także *derwisze* nie żebrzący, lecz oddający się medytacjom mistycznym. Wyraz „derwisz” pochodzi z języka perskiego (AP).

³⁰ *Baba!* – „(drogi) ojcze!” – pełen szacunku zwrot używany w odniesieniu do ojca przez mużulmanów (tor). Wyraz pochodzenia tureckiego, występujący także w języku perskim. W oryginale ormiańskim Tumaniana weselący się biedacy witają odwiedzającego ich derwisza zwrotem: *derwisz-baba!* („szanowny derwiszu!”), po czym, na znak szacunku, zwracają się do niego w 2. osobie liczby mnogiej (per „wy”) (AP).

³¹ Allāh – po arabsku: „Bóg” (AP).

zaprosił gościa gospodarz domu, posadził go obok siebie i skromna, ale wesoła uczta nadal trwała w najlepsze.

Późną nocą gospodarz wręczył muzykantom umówioną zapłatę, zwolnił ich i pożegnał. Gdy muzykanci wyszli, rzekomy derwisz zwrócił się do gospodarza z pytaniem:

– Jak cię zwą, przyjacielu?

– Hasan.

– Nie obraż się, bracie Hasanie, że otwarcie zapytam: jaki masz fach i ile pieniędzy zarabiasz, że możesz sobie pozwolić na ucztowanie z muzyką?

– Na moją ucztę, szanowny derwiszu, wiele pieniędzy nie trzeba! – z uśmiechem odrzekł Hasan. – Można wesoło spędzać czas, nawet zarabiając tyle co nic. Ja jestem zwykłym szewcem, całymi dniami naprawiam ludziom obuwie, ale pieniędzy z tego mam bardzo mało. Mimo to co wieczór odkładam część zarobku na życie, a drugą – na opłacenie wynajętych muzykantów, których dopiero co u mnie widziałeś. Zbieramy się i wesoło spędzamy czas przy muzyce, śpiewamy... A jeśli z woli Allaha zaszczyca nas czasem swoim przybyciem tak znamienity gość jak ty, nasza radość jest jeszcze większa!

– Oby nigdy pod twoim dachem, bracie Hasanie, nie brakowało radości! Ale... gdyby, dajmy na to, wyszło raptem źródło twego groszowego zarobku, to co byś wówczas począł?...

– A dlaczego ono miałoby wyschnąć, szanowny derwiszu?!

– No powiedzmy, że ni stąd, ni zowąd nasz kalif postanowi zakazać szewcom naprawy obuwia? A przecież może mu wpaść do głowy nawet i taki pomysł, prawda? On wszystko może – wszak jest kalifem...

– E tam, szanowny derwiszu, czyżby kalif nie miał ważniejszego zajęcia niż gnębienie ubogich szewców?! A niby czym moglibyśmy mu się narazić albo w czym zawinić?! Zresztą gdyby nawet zakazał nam naprawy obuwia, to i tak zadbamy o to, by móc nadal sprawiać sobie radość, bowiem z woli miłościwego Allaha, szanowny derwiszu, jego wiernym wyznawcom nigdy nie braknie możliwości ani chęci do radosnego ucztowania – to nasza natura! Tak już nasz świat jest urządzony – z jakim nastawieniem przystąpisz do pracy, takie też będziesz miał wyniki... Ale pora już spać, drogi gościu.

– Niech Allah sprawi, aby działa się zawsze według twego słowa! – bogobojnie rzekł derwisz.

2

Wczesnie rano derwisz odszedł.

Niedługo potem miejscy heroldzi tłumnie wybiegli na ulice oraz place Bagdadu, obwieszczając wszem wobec i każdemu z osobna, że kalif rozkazał zamknąć wszystkie szewskie zakłady i sklepiki – od dzisiejszego dnia nikt w mieście nie ma już prawa zajmować się tym rzemiosłem. A każdy, kto sprzeciwi się woli kalifa, zostanie ścięty...

Biednemu Hasanowi wyrwano z rąk szydło, przepędzono go na zbity łeb z ciasnego sklepiku i na głucho zabito wejściowe drzwi.

W nocy Harun ar-Raszid, jak zwykle przebrany za derwisza, ponownie ruszył na wędrowną po mieście. Przechodząc uliczką, przy której mieszkał wesoły szewc Hasan, znowu usłyszał śpiew i dźwięki muzyki... I znowu wszedł do owej nędznej chałupy.

– A-a-a, witaj nam, witaj, szanowny derwiszu! Zapraszamy serdecznie, zechciej łaskawie sięść na swoim miejscu! – zawołał Hasan ucieszony widokiem gościa.

I znowu, jedząc i pijąc, słuchając muzyki i śpiewając, wesoło spędzali czas do późnej nocy.

O północy muzykanci otrzymali uzgodnioną zapłatę i odeszli. Hasan zaś został sam na sam z gościem.

– A czy ty wiesz, szanowny derwiszu, co się dziś wydarzyło?

– Nie, a co?

– Akurat to, co przepowiedziałeś ubiegłej nocy! Kalif właśnie zakazał wykonywania naszego rzemiosła.

– Co ty mówisz? Naprawdę?! – zdumiał się gość oszołomiony wprost usłyszaną wiadomością. – Lecz skoro tak, to niby jak zdobyłeś pieniądze na dzisiejszą ucztę?

– Znalazłem jakiś gliniany dzban, napełniłem go zimną wodą i chodząc po ulicach, sprzedawałem ją ludziom dla ochłody. I kupowali od czasu do czasu... Jedną część zarobionych pieniędzy odłożyłem na życie, drugą opłaciłem muzykantów... i znowu urządziłem ucztę!

– A co byś zrobił, gdyby kalif zakazał też sprzedawania wody na ulicach? Co byś wtedy począł?

– Jak kalifowi mogłaby przeszkadzać sprzedaż wody na ulicach? I niby z jakiej racji miałby tego zakazać? A zresztą... po co się zawczasu martwić?! Jeśli zakaże, wtedy pomyślimy. Ale ty, przyjacielu, nie się nie bój – dla ciebie zawsze się tu znajdzie i kawałek chleba, i miejsce przy ogniu, gdzie będziesz mógł się rozerwać przy muzyce i śpiewać razem z nami...

– Oby pod twoim dachem, bracie Hasanie, nigdy nie zabrakło radości! – nabożnie wypowiedział derwisz życzenie i się oddalił.

3

A już o świcie na wszystkich ulicach Bagdadu rozbrzmiewały donośne głosy heroldów obwieszczających nowy rozkaz kalifa Harun ar-Raszida: „Jako że woda jest darem Allaha, niech nikt od dzisiaj nie ośmiela się sprzedawać jej za pieniądze!... Nakazuję rozbić wszystkie dzbany i bukłaki nosiwodów w całym Bagdadzie”.

Ubogiemu Hasanowi również rozbito dzban, kiedy szedł do źródła po wodę – i z pustymi rękami musiał wracać do domu.

W nocy kalif znowu się przebrał za derwisza i wyruszył na miasto. Podeszedł do chałupy wesołka Hasana – a tam ponownie muzyka i śpiewy! Wszedł kalif do środka.

– A-a, witamy serdecznie, szanowny derwiszu! Siadaj na swoim miejscu! Zapraszamy do wspólnej uczty, żeby dzień przedłużyć i noc wesoło spędzić... Rozerwiemy się, drogi gościu, wszak lepiej się weselić niż smucić.

– Wesołość z całą pewnością lepsza jest niż smutek. Wszyscy jesteśmy śmiertelni, toteż każdy, kto może, niechaj się weseli! – odrzekł derwisz, sadowiąc się obok Hasana.

Późną nocą muzykanci otrzymali ustaloną zapłatę i odeszli. Derwisz i gospodarz zostali w chałupie sam na sam.

– Nie jestem pewny, czy dobrze słyszałem, ale podobno kalif zakazał sprzedawać wodę... To prawda, bracie Hasanie?

– A jakże, prawda! Oczywiście, że prawda... W dodatku jego ludzie zniszczyli też wszystkie dzbany i bukłaki! Ty, bracie, pod tym względem

okazujesz się być prawdziwym jasnowidzem – wszystko, co przepowiadasz, na drugi dzień staje się rzeczywistością!...

– No to jak zdobyłeś pieniądze, żeby znów dzisiaj ucztować?

– Och, żeby na tym świecie człowiek nie miał innego zmartwienia, jak tylko brak pieniędzy! Przecież nietrudno je zdobyć, szanowny derwiszu: nająłem się do pomocy u jednego kupca i dostałem za dzień pracy trochę pieniędzy. Część poszła na życie, część dałem muzykantom... i urządziłem ucztę. Wszak istota sprawy nie w tym, szanowny derwiszu, ile kto ma pieniędzy, ale w tym, jaką posiada duszę!

– Klnę się na Allaha, Hasanie, że nasz kalif powinien na swoim dworze mieć podobnego, oddanego sobie człowieka o takiej duszy jak twoja! I oby tak się stało! – wykrzyknął derwisz w zapale.

– Ojej, ostrożnie, drogi gościu! Wszak jakimś dziwnym trafem wszystko, coś dotąd przepowiadał, dokładnie się sprawdziło! Cóż zatem będzie, jeśli i te twoje słowa okażą się prorocze?...

– A czemu by i nie? Na tym świecie nie ma nic niemożliwego. Potem się rozstali.

4

Wczesnym rankiem do żalosnej chałupki Hasana wpadli pałacowi urzędnicy:

– Czy tutaj mieszka Hasan, amator nocnego ucztování?

– To ja... – odparł zdziwiony gospodarz.

I zaprowadzono Hasana prosto do pałacu, a tam mu powiedziano, że kalif mianował go swoim urzędnikiem. Ubrano go w odpowiednie szaty, przytroczono do boku szablę i postawiono na posterunku przy jednym z wejść do pałacu. Cały dzień tak zupełnie bez celu wystawał Hasan przy owym wejściu, a z nastaniem wieczoru został odprawiony do domu z pustymi rękami, ale też z poleceniem, by rano znowu obowiązkowo się stawił się przy tym samym wejściu.

W nocy Harun ar-Raszid, jak zawsze przebrany za derwisza, ponownie ruszył na wędrowkę po mieście. Zbliżając się do chałupki Hasana, po raz kolejny usłyszał dźwięki muzyki i wesołe pieśni – Hasan nadal ucztował! Kalif wszedł.

– Ach, szanowny derwiszu, szanowny derwiszu!... Oby nigdy nie runął twój dom! Sprawdziły się również twoje wczorajsze słowa: kalif raczył obdarzyć mnie stanowiskiem na dworze!

– Co ty powiesz?! Naprawdę?

– Przysięgam na Allaha!

– I zapewne hojnie też ciebie obdarował?

– A skądże?! Jakże tam – „obdarował”?! Nawet jednej miedzianej monetki nie dostałem, z niczym do domu mnie odprawili!

– To za coś dzisiaj wyprawił ucztę, jak nie miałeś pieniędzy?!

– Siadaj, szanowny derwiszu, zaraz opowiem. W pałacu przytrazono mi do boku paradną szablę. Wieczorem, kiedy wracałem do domu, wpadła mi do głowy taka myśl: a po co mi w ogóle ta szabla, przecież nie zamierzam nikogo zabijać?! Postanowiłem sprzedać stalową głownię szabli, a zamiast niej zamówiłem drewnianą, wsunąłem ją do pochwy i poszedłem do domu. A za pieniądze, jakie dostałem za stalową głownię, urządziłem ucztę. Powiedz mi, derwiszu, czy dobrze postąpiłem? Ja w każdym razie uważam, że zamiast dźwigać szablę, którą zabija się ludzi, lepiej im – i sobie! – sprawić trochę radości. Nie sądzisz?...

– Ha, ha, ha! – zaniósł się śmiechem derwisz. – Oczywiście, że lepiej... ale jeżeli jutro kalif rozkaże ci ściąć głowę jakiemuś skazanemu na śmierć przestępcy, to co wtedy zrobisz, Hasanie?

– Powstrzymaj swój złowieszczy język, nieżnośny derwiszu! – rozłościł się Hasan. – Bo jak na złość wszystko, co mówisz, natychmiast staje się faktem... Czy nie mógłbyś choć raz przepowiedzieć nadejście czegoś dobrego?

Po tych słowach stało się coś zdumiewającego – wielki smutek ogarnął beztroskiego wesołka Hasana, do jego serca wkraśl się strach, przez całą noc nie mógł zamknąć oczu.

A na drugi dzień kalif rzeczywiście polecił wezwać Hasana i – w obecności wszystkich zgromadzonych dworzan – uroczyście rozkazał mu ściąć głowę skazanemu na karę śmierci przestępcy:

– Rozkazuję ci dobyć szabli i odciąć głowę temu oto łotrowi!

– Obyś wiecznie żył, wielki kalifie! – wyszeptał przerażony Hasan. – To ponad moje siły... nie mogę... nie potrafię... nigdy nie zabiłem człowieka! Ty, panie, masz w swoim pałacu wielu doświadczonych katów – im zleć to zadanie!

– Słyszałeś mój rozkaz?! Jeśli ośmielisz się zwlekać jeszcze choćby minutę, to twoja głowa spadnie ci z karku! Natychmiast doładuj szablę!

Po tych słowach biedny Hasan podszedł do klęczącego złoczyńcy, wznosił ręce ku niebu i zawołał:

– O, wielki Allahu! Tyś jest wszechwiedzący i najlepiej wiesz, kto jest winny, a kto niewinny... Jeżeli ten człowiek popełnił zbrodnię, za którą skazano go na śmierć – daruj mi tyle siły, bym jednym uderzeniem odciął mu głowę! Lecz jeśli jest on niewinny – spraw, aby moja stalowa szabla stała się drewnianą!

To powiedziawszy, wyciągnął z pochwy szablę o drewnianej głowni!... Na widok owego cudu wszyscy wokół oniemieli ze zdumienia, a Harun ar-Raszid gromko się roześmiał i wyjawiał prawdę swoim dworzanom.

Ci zaś, serdecznie się ubawiwszy, obsypywali pochwałami i swojego kalifa, i amatora wesołego nocnego ucztowania Hasana. Śmiał się nawet sam skazaniec, który wciąż klęczał z wyciągniętą gołą szyją w oczekiwaniu na ścięcie.

Harun ar-Raszid ulaskawił przestępcę. A Hasana uznał za swego umiłowanego podwładnego i przyznał mu intratne stanowisko, aby ten już nigdy nie cierpiał niedostatku i aby – czymkolwiek się trudząc – nadal nie tracił swojej radości życia i uczył innych, jak zeń na tym świecie wesoło i beztrudnie korzystać.

1911

tłum. Stanisław Ulaszek

Śmierć Kikosa

Żyli sobie kiedyś pewien biedny człowiek i jego żona, mieli trzy córki.

Pewnego dnia ojciec poszedł na pole pracować, pić mu się zachciało, starszą córkę wysłał po wodę. Dziewczyna bierze dzban i idzie do źródelka. A nad tym źródelkiem wysokie drzewo rośnie. Ona to drzewo zobaczyła i tak zaczyna sobie myśleć: „Jak ja bym teraz wyszła za mąż, to urodziłabym syna, dalibyśmy mu na imię Kikos. I ten Kikos by się na to drzewo wdrapał, zleciałby z niego, rozbiłby sobie głowę o kamień i umarł...”.

– O jejku, jejku, mój Kikos, moje ty kochanie, oj-oj-o-oj!...

I od razu – w płacz; siedzi pod tym drzewem i lamentuje:

Wysłałam ci ja za mąż,
Synka-m urodziła,
Kikosem nazwała,
Czapeczkę-m uszyła.
Na drzewo mi wlaź,
O kamień się trzasł...
Och, syneczku mój!...
Och, najdroższy mój!...

A matka czeka, czeka – i widzi, że ta nie przychodzi, wysłała średnią córkę. Mówi do niej:

– Idź-no tam zobacz, czemu ta twoja siostra nie wraca.

I średnia córka poszła.

Starsza siostra, jak tylko ją zobaczyła, podnosi jeszcze większy lament:

– Ach, biedna cioteczko! Zobacz, co się stało z twoim Kikosem!...

– Z jakim Kikosem?...

– Ach, nie wiesz?!

Wysłałam ci ja za męż,
Synka-m urodziła,
Kikosem nazwała,
Czapeczkę-m uszyła.
Na drzewo mi wlaźł,
O kamień się trzasł...
Och, syneczku mój!...
Och, najdroższy mój!...

– O jejku, jejku, moje kochanie, biedny Kikos!... Oj-oj-o-oj!... – drze się średnia siostra. Siada u boku starszej i zaczyna razem z nią lamentować.

Matka czeka i czeka, widzi, że tamte nie przychodzą, wysyła najmłodszą. Mówi do niej:

– Idź-no tam zobacz, co się z tymi twoimi siostrami dzieje.

I teraz najmłodsza córka idzie. Przyszła, patrzy – obie siostry siedzą przy źródelku i płaczą.

– Ojej, dlaczego płaczecie?

A starsza siostra na to:

– Słuchaj:

Wysłałam ci ja za męż,
Synka-m urodziła,
Kikosem nazwała,
Czapeczkę-m uszyła.
Na drzewo mi wlaźł,
O kamień się trzasł...
Och, syneczku mój!...
Och, najdroższy mój!...

– O jejku, jejku, Kikos, moje ty kochanie!... Oj, biedna ci ja, biedna, twoja nieszczęsna cioteczka!... Oj-oj-o-oj!... – Już i ona rwie włosy z głowy, siada obok tamtych i drze się wniebogłosy.

Matka czeka i czeka, widzi, że żadna z nich nie przychodzi, w końcu sama do nich idzie.

A te, ledwie ją tylko ujrzały, wszystkie naraz wołają:

– Ach, biedna babuniu! Zobacz, co się stało twojemu wnusiowi!...

– Jakiemu wnusiowi?... Powiedzcie mi, dziewczyny, co się stało!

A starsza córka mówi matce tak:

– Ach, mamó!...

Wysłałam ci ja za męż,
Synka-m urodziła,
Kikosem nazwała,
Czapeczkę-m uszyła.
Na drzewo mi wlaź,
O kamień się trzaśł...
Och, syneczku mój!...
Och, najdroższy mój!...

– O jejku, jejku, Kikos, moje ty kochanie!... Bodaj oślepyły stare oczy moje, twojej nieszczęsnej babki!... Oj-oj-o-oj!... – Już i matka załamuje ręce, siada obok córek i lamentuje razem z nimi.

Tymczasem mąż patrzy: żonka poszła po córki i nie wraca. Myśli sobie: „Muszę iść zobaczyć, co się stało, że poszły jedna za drugą i wszystkie zostały przy źródle”.

I poszedł.

Żonka i córki, ledwie tylko go zobaczyły, już wołają do niego z daleka:

– Ach, biedny dziaduniu!... Zobacz, co się stało twojemu wnusiowi Kikosowi!...

– Jakiemu znowu Kikosowi?... Co wy gadacie?!... – dziwi się chłop. – Jakiemu wnusiowi?... Powiedzcie mi, kobiety, co się stało!

A starsza córka mu na to:

– Ach, ojczu!...

Wysłałam ci ja za męż,
Synka-m urodziła,
Kikosem nazwała,
Czapeczkę-m uszyła.
Na drzewo mi wlaź,
O kamień się trzaśł...
Och, syneczku mój!...
Och, najdroższy mój!...

– O jejku, jejku, Kikos, nasze ty kochanie!... Oj-oj-o-oj!... – Matka i córki załamują ręce, siedzą i lamentują.

Wśród nich jedynym rozsądnym człowiekiem był ojciec. Więc powiada:

– Ależ wy jesteście głupie! Czegoście tu się rozsiadły i lamentujecie?... Choćbyście nie wiem ile lamentowały, to i tak życia Kikosowi nie przywróćcie. Ruszcie się, chodźmy do domu, zbierzemy ludzi, odprawimy modły, nabożeństwo za jego duszę, urządzimy stypę, a samym płakaniem nic się nie działa. Tak już jest na świecie: co przychodzi, musi kiedyś odejść.

A trzeba wam wiedzieć, że cały ich majątek stanowił krzywonogi byczek i oprócz tego jeszcze worek mąki.

Przyszli, zarżnęli tego byczka, z tego worka mąki napiekli chleba, skrzyknęli gości, odmówili modły i odprawili nabożeństwo, za duszę Kikosa zjedli i wypili.

I zapanował spokój.

1913

tłum. Jerzy Szokalski

Głupiec szuka szczęścia

Był sobie niegdyś pewien bardzo ubogi człowiek. Ileż się on napracował, ileż się namozolił – ale jak był biedakiem, tak biedakiem pozostawał. Któregoś dnia, zdesperowany, podniósł się i tak sobie myśli: „Pójdę, poszukam Pana Boga, dowiem się, jak mam się uwolnić od tej mojej nędzy, i poproszę Go, żeby obdarzył mnie pomyślnością”.

Na swej drodze spotyka wilka.

– Szerokiej drogi! Dokąd to idziesz, bracie-człowieku?...

– Do Pana Boga idę – odpowiada mu biedak. – Muszę Mu opowiedzieć o swojej niedoli.

– Aha... No to jak pójdziesz do Pana Boga – prosi go wilk – to Mu powiedz, że jest tu taki jeden wilk, co bez końca błąka się, dniami i nocami, po górach i dolinach, zawsze głodny, i nie może znaleźć nic do jedzenia. Zapytaj Go, jak długo mam jeszcze chodzić głodny. Skoro mnie już stworzył, to czemu nie zapewnia mi pożywienia?...

– Dobrze, zapytam – obiecał wędrowiec i idzie dalej.

Długo tak wędrował, a może niedługo, aż napotkał piękną dziewczynę.

– Dokąd to idziesz, bracie? – pyta dziewczyna.

– Do Pana Boga idę.

– Jak tylko spotkasz Pana Boga – błaga go piękna dziewczyna – to Mu powiedz, że jest tutaj taka jedna dziewczyna – młoda, zdrowa, zamożna, ale nie jest w stanie cieszyć się życiem, czuć się szczęśliwą. Co ją może uleczyć?...

– Powiem – obiecał wędrowiec i rusza dalej.

Zobaczył drzewo, które było uschnięte, choć rosło nad samą wodą.

– Dokąd to idziesz, wędrowcze? – zapytało uschnięte drzewo.

– Do Pana Boga idę.

– Ach, zaczekaj chwilę! – poprosiło go drzewo. – Muszę ci coś powiedzieć. Zapytaj Go, jak to się dzieje, że wyrosło tutaj nad samą wodą, a przecież wciąż suche jestem, czy to zimą czy latem – kiedy się wreszcie zazielenię?...

Wysłuchał biedak i tych słów, ruszył w dalszą drogę.

Tak sobie idzie, idzie, aż w końcu ujrzał Pana Boga. Siedzi Pan Bóg pod wysoką skałą, plecami do skały, pod postacią siwowłosego starca.

– Dzień dobry! – powiada biedak i staje przed Panem Bogiem.

– Witaj, wędrowcze – odpowiada Pan Bóg. – Czego ci potrzeba?

– Tego mi trzeba, żebyś Ty, Panie, na każdego człeka jednakie miał baczenie, żebyś nie zsyłał jednym radości, a innym ciemności. Tak ciężko pracuję, a nigdy nie mogę nawet porządnie się najeść, a ileż jest ludzi, którzy nie przepracowali nawet połowy tego co ja, i żyją sobie w spokoju i dostatku.

– No, dobrze. Idź w pokoju, teraz się wzbogacisz, daję ci szczęście – idź i ciesz się nim – powiada Pan Bóg.

– A, jeszcze miałem Ci, Panie, coś powiedzieć – dodaje biedak. No i opowiedział Panu Bogu o wszystkich zmartwieniach wilka, pięknej dziewczyny i uschniętego drzewa.

Pan Bóg na to wszystko dał odpowiedź, a biedak podziękował i ruszył w drogę.

W drodze powrotnej spotyka uschnięte drzewo.

– Co ci o mnie powiedział Pan Bóg?

– Powiedział, że pod tobą jest złoto. Dopóki ktoś tego złota nie wykopie i korzenie nie sięgną głęboko do ziemi, dopóty się nie zazielenisz – odpowiada człowiek.

– Zaraz, ale gdzie idziesz?... Weź wykop to złoto, to i ty skorzystasz, i ja: ty się wzbogacisz, a ja się zazielenię.

– O, nie, ja nie mam czasu, śpieszę się – odpowiada biedak. – Bóg obdarował mnie szczęściem i muszę szybko podążać dalej, żeby odnaleźć to swoje szczęście i cieszyć się nim.

Tak powiedział i odszedł.

Potem napotyka znowu piękną dziewczynę, a ta wychodzi na drogę i pyta:

– Jakie przynosisz mi wieści?

– Pan Bóg powiedział, że musisz sobie poszukać miłego towarzysza życia, a wtedy już nie będziesz się smucić, będziesz radosna i szczęśliwa.

– Ach, jeśli tak, to pójdz do mnie, ty będziesz mi miłym towarzyszem życia – namawia go dziewczyna.

– Oj, nie, nie mam czasu, żeby się z tobą przyjaźnić. Pan Bóg obdarował mnie szczęściem, muszę podążać dalej, żeby odnaleźć to swoje szczęście i cieszyć się nim – powiada biedak i odchodzi.

Dalej przy drodze czekał na niego zgłodniały wilk; ujrawszy wędrowca z oddali, podbiega do niego i pyta:

– No i co powiedział Pan Bóg?

– Słuchaj, bracie. Jak szedłem do Pana Boga, to po spotkaniu z tobą napotkałem jeszcze piękną dziewczynę i uschnięte drzewo. Dziewczyna dopytywała się, dlaczego nie jest w stanie cieszyć się życiem, a drzewo – dlaczego wciąż jest suche, czy wiosną czy latem. Ja to wszystko Panu Bogu powtórzyłem, a On na to: dziewczynie powiedz, niech znajdzie sobie towarzysza na całe życie, a będzie szczęśliwa. A drzewu powiedz: pod tobą jest złoto, trzeba to złoto wykopać, wtedy twoje korzenie sięgną głęboko do ziemi i znów się zazielenisz. No więc przyszedłem i powtórzyłem im słowa Pana Boga. Na to drzewo powiada: weź wykop złoto, zabierz sobie wszystko, a dziewczyna mówi: to właśnie ciebie upatrzyłam sobie na swego ukochanego. Ale ja im odpowiadam: nie, nie mogę – Pan Bóg obdarował mnie szczęściem, więc muszę iść, odnaleźć to szczęście i cieszyć się nim.

– A czy o mnie coś mówił Pan Bóg? – pyta się zgłodniały wilk.

– Tobie?... Kazał powiedzieć, że dotąd będziesz o głodnym pysku błąkać się po świecie, póki nie spotkasz prawdziwego głupca, wtedy zjesz go i będziesz syty.

– A gdzież ja znajdę głupszego człowieka niż ty?... – powiedział wilk i zjadł głupiego biedaka.

1894

tłum. Jerzy Szokalski

Pechowy Panos

Jak ktoś ma pecha, to go nawet na wielbłądzie pies ukąsi.

przysłowie ludowe

[J.Sz.]

Żył sobie kiedyś człowiek imieniem Panos. To był dobry człowiek, ale wszystko, czego się tylko tknął, wyglądało jak nieszczęście. I właśnie dlatego otrzymał przydomek Pechowy Panos. Cały jego majątek stanowiła para wołów, wóz i siekiera.

Pewnego dnia swoje wołki zaprzął do wozu, wziął siekierę i udał się do lasu po drzewo. Przybył do lasu, myśli sobie: „Coś tu nie tak – jak już drzewo będzie ścięte, to będę miał wielki kłopot z tym, żeby wciągnąć taką wielką kłodę na wóz; już lepiej od razu postawię zaprzężony wóz pod samym drzewem; jak tylko drzewo zrąbię, to prosto na ten wóz niech spadnie”.

I tak też uczynił.

Wóz z parą wołów postawił pod wielkim drzewem, sam stanął z drugiej strony, wziął się za siekierę i – łup-łup! – rąbie drzewo, ile siły. Długo tak rąbał, czy też niedługo – już tylko on sam mógłby to wiedzieć, w końcu drzewo z łoskotem runęło, miażdżąc swoim ciężarem wóz i woły razem z nim. Panos stanął osłupiały. Co tu robić?... Bierze siekierę i, drapiąc się w głowę, rusza w drogę powrotną.

Kiedy już wracał, przychodzi nad brzeg stawu. Patrzy, po stawie pływają dzikie kaczki.

Myśli sobie: „Poszło fatalnie, ale co się stało, to się nie odstanie; zdałoby się tak teraz upolować kaczkę, żeby choć cokolwiek żoncy do domu przynieść”. Tak sobie pomyślał, potem zamachnął się i cisnął siekierą, bo kto wie, może trafi chociaż w jedną, ale kaczki z kwakaniem zerwały się i odfrunęły – niektóre w trzciny, a niektóre dalej. Siekiera wpadła w najgłębsze miejsce stawu, chlupnęła i poszła na dno. Panos stanął nad

brzegiem i duma: co tu robić?... Rozbiera się, kładzie ubranie na brzegu i wchodzi do wody, żeby odszukać siekierę. Idzie, idzie, wchodzi coraz głębiej, widzi w końcu, że mało brakuje, a mógłby utonąć. Pośpiesznie zawrócił i wyszedł z wody.

No i co dalej? – zapytacie. Ano właśnie. W tym samym czasie, kiedy Panos wszedł do stawu i zanurzył się pod wodę, koło stawu przechodził jakiś człowiek. Patrzy, a tu leży na brzegu rozrzucone ubranie. Panosa, który wlaźł gdzieś w szuwały, nie było widać, więc pozbierał wszystkie kawałki odzienia, zabrał sobie i poszedł.

Panos wychodzi z wody, patrzy, a tu nie ma ubrania. Staął goły na brzegu i tak stoi. Myśli sobie: „Mój Boże, co ja teraz zrobię?!... Gdzież ja taki goły pójdę?!...”.

Postanowił zaczekać, aż się ściemni. Jak się ściemniło, ruszył w drogę, wraca do domu. Już prawie dochodzi do swojej wsi, ale myśli sobie: „I jakże ja wejść taki goły do domu? Co moi domownicy powiedzą?... Pójdę, wezmę od brata jakieś ubranie, ubiorę się i dopiero wtedy będę mógł się żonie pokazać na oczy”.

I podkrađa się skrajem drogi pod dom swojego brata.

No i co dalej, jak myślicie?... Tego wieczora brat wyprawił wielką ucztę, akurat trafił się moment, kiedy wszyscy najlepiej się bawili. Panos leciutko drzwi uchylił, żeby zobaczyć, kto jest w domu, co za ludzie tam są. Któryś z gości pomyślał sobie, że to pies, i cisnął ogryzioną kość w stronę uchylonych drzwi, a ta kość trafiła w Panosa i wybiła mu oko.

Panos, jęcząc z bólu, wybiegł z powrotem na dwór, ale psy, jak tylko go usłyszały, zaraz się wszystkie zbiegły; widzą, że nie ma żartów – z ciemności wyłazi jakiś goły stwór, więc go opadły ze wszystkich stron i obrabiają mu boki. Usłyszeli ludzie ujadanie psów, wybiegają z domu i widzą, że jakaś goła postać ucieka w popłochu, a psy za nią. Nie bawiąc się w długie dociekania, uznali, że jest to ani chybi sam diabeł.

Wyrażając mu i klnąc, wrzeszcząc na całą okolicę, rzucili się za nim w pogon i zapędzili go w głęboki las. Psy mu wygrzyły poniżej pleców spore dziury; w końcu – golusienki, z wybitym okiem i okulały – biedaczysko Panos przepadł na amen.

Następnego dnia rozeszły się plotki po całej wsi. „Rzecz niesłychana! Panos przepadł!... Poszedł do lasu po drzewo i już nie wrócił”. Uradzili, że trzeba zwołać wszystkich ludzi; razem idą go szukać po

lesie – znaleźli tylko przywalony drzewem wóz i parę wołów, ale jego samego nie znaleźli.

Wypytyują się o Panosa i tu, i tam, aż w końcu trafili na ślad: znaleźli u kogoś jego ubranie.

– Słuchaj no, bracie, skąd się u ciebie wzięło to ubranie?...

– Wiecie, jak to było?... To ubranie po prostu leżało sobie na brzegu stawu, a ja tylko pozbierałem te rzeczy i zaniósłem do domu.

Obeszli ten staw ze wszystkich stron, wołają: „Panos!... Paanos!...”, ale Panosa jak nie ma, tak nie ma.

Uznali więc, że się utopił.

Wrócili do wsi, odmawiają modły, odprawili nabożeństwo, urządzili stypę. Żona też trochę popłakała, uczciła jego pamięć, rozczuliła się co nieco. Potem innego sobie znalazła, wzięła z nim ślub i odeszła razem z nim.

1914

tłum. Jerzy Szokalski

Waleczny Nazar³²

1

Był sobie niegdyś (a może i nie?) pewien żalosny człek imieniem Nazar. Jakiż to był tchórz!... Taki tchórz, że nigdy w pojedynkę nie ruszyłby się z miejsca, choćby go mieli zabić. Przez cały dzień nie odstępował ani na krok swojej żony, mało brakowało, a trzymałby się jej spódnicy: wychodził z domu tylko wtedy, kiedy ona wychodziła, wracał, kiedy wracała. Dlatego ludzie nazwali go Tchórzliwym Nazarem.

Którejś nocy ten nasz Tchórzliwy Nazar wychodzi z żoną przed dom. Patrzy – dookoła noc jaśniuteńka, księżyc aż razi. I powiada:

– Oj, żoneczko!... W taką noc to tylko by złupić jakąś karawanę!... Serce mi mówi: rusz się, człowieku, karawana szacha powraca z Indii, zabierzesz sobie wszystko, a w twoim domu niczego nie zabraknie!...

A żonka na to:

– Lepiej siedź cicho, jak ci dobrze!... Też mi się znalazł!... rozbójnik!... Pogromca karawan!...

A Nazar na to:

– Oj, rozzuchwaliłaś się, babo!... Co, nie chcesz mnie puścić?... Nie chcesz, żebym rozbił karawanę, zabrał wszystko i cały dom wypełnił wszelkim dobrem?... Cóż to ze mnie za mężczyzna, po co ja w ogóle portki noszę... żebyś ty do mnie ośmielała się tak przemawiać?!...

Ale jak już całkiem się rozeźlił, żonka weszła z powrotem do domu i zamknęła za sobą drzwi.

– A niech cię licho weźmie, tchórze jeden!... Możesz sobie teraz iść i napadać na karawany!...

³² Nazar – z arabskiego *naẓẓār*, „ostro widzący”, „człowiek o przenikliwym spojrzeniu” (nie wiadomo jednak, czy Ormianie rozumieli sens tego wyrazu) (AP). Przekład tej baśni ukazał się drukiem w latach 80. XX wieku w tłumaczeniu Andrzeja Pisowicza (*Dzielny Nazar*, „Literatura” 1980, nr 1).

I ten nasz Nazar został na dworze. Cały aż zdrętwiał ze strachu. Nie pomogły prośby i błagania, żeby mu otworzyć, żonka nie otwiera. Widząc, że już nic nie wskóra, zgnębiony Nazar skulił się pod drzwiami i cały dygocząc, przeczekał do rana. A rano, obrażony, siedzi pod tą chałupą, słońce przygrzewa, a on czeka, aż żonka po niego przyjdzie i zaprosi go do środka; czeka i rozmyśla sobie, coś mu chodzi po głowie. Gorąco, jak to latem – muchy brzęczą jak oszalałe. A Nazar taki leniwy, że nawet nosa wytrzeć mu się nie chce – więc muchy włożą mu na nos i chodzą po ustach, oblażyły mu całą twarz. Ale jak mu już porządnie dokuczyły, uniósł rękę i klepnął się po twarzy. I jak się klepnął, to wszystkie muchy za jednym zamachem zostały zgniecione.

– Oho-ho, to ci dopiero!... – zdumiał się Nazar.

Postanowił policzyć, ile tych much zgładził, ale nie zdołał. Uznał w każdym razie że nie mniej niż tysiąc.

– Oho, to ci ze mnie chłop!... A ja do tej pory nawet sam o tym nie wiedziałem!... Ja, który jednym ciosem potrafię zgładzić tysiąc żywych istot!... I to ja miałbym się marnować u boku tej głupiej baby?!...

Więc wstaje i idzie prosto do księdza.

– Ojcze, pobłogosław!...

– Niech ci Bóg błogosławi, synu!...

– Ojcze, chcę ci powiedzieć coś niezwykłego, posłuchaj!...

I opowiada księdzu o swoim bohaterskim czynie, obwieszczając przy tym, że będzie musiał opuścić swoją żonę. I że ma jedną prośbę: żeby wielbny ów niezwykły jego czyn utrwalił na piśmie, aby każdy mógł sobie o nim przeczytać i aby pamięć trwała wiecznie.

A wielbny dla żartu na strzępku starego gałgana napisał:

Waleczny Nazar jest bohaterem.

Raz gdy ugodzi – tysiąc umiera!

I wręczył mu skrawek z owym napisem.

A Nazar wziął ten strzępek gałgana, zaczął na kiju, przypasał sobie kawałek przedziewiałego miecza, wsiadł na osła sąsiada – i opuścił wieś.

2

Wychodzi ze swojej wsi, wchodzi na drogę i idzie. Sam nie wie nawet, dokąd droga ta prowadzi.

Idzie, idzie, jak tylko zerknął za siebie, to od razu widzi, że mocno się już od wsi oddalił, i ogarnia go przerażenie. Żeby dodać sobie animuszu, zaczyna pod nosem coś nucić, mruczeć, mówić do siebie, karcieć osła... Im bardziej się oddala, tym bardziej wzrasta jego strach, a im bardziej rośnie strach, tym głośniej wyśpiewuje, zaczyna się po prostu drzeć, woła pomocy, do wtóru i osioł jeszcze porykuje... Od tego całego hałasu i zgiełku ptaki poodfrwały z drzew, zające pochowały się po krzakach, nawet żaby z zarośli powskakiwały do wody...

Nazar drze się coraz głośniej, ale jak wszedł do lasu, wydaje mu się, że spod każdego drzewa, spod każdego krzaka, spod każdego kamienia, zewsząd czyha na niego dzika bestia albo zbój. Przerażony, zaczyna wrzeszczeć, ale – jak!... Takiego wrzasku wasze ucho nigdy nie słyszało.

A tymczasem – któżby się tego spodziewał? – pewien wieśniak, osiodławszy konia, jedzie sobie spokojnie przez las. Po jakimś czasie dobiegają jego uszu zdumiewające dźwięki i staje jak wryty.

– O, rety – powiada – że też mnie to musiało spotkać!... Ani chybi rozbójnicy!...

Porzucił konia, sam skoczył w las, a jako że obie nogi miał na swoim miejscu, to zrobił z nich użytek i rzucił się do ucieczki.

A Waleczny Nazar, obyście zdrowi byli, nie przestając wrzeszczeć, dociera w to miejsce i widzi osiodłanego konia, który stoi na samym środku drogi i czeka na niego. Przesiada się więc z osła na wierzchowca i rusza w dalszą drogę.

3

Jedzie, jedzie, może długo, a może krótko – tylko on sam mógłby to wiedzieć – aż dojeżdża do jakiejś wioski. Ani on tej wioski nie zna, ani ta wioska – jego. Nie wiadomo, któredy trzeba jechać, a któredy nie trzeba.

Z jednego domu donoszą się dźwięki zurny³³, konia więc pogania w tamtą stronę, podjeżdża pod dom, a tam – wesele.

– Dzień dobry wam wszystkim!...

– Szczęść Boże i tobie, witaj i bądź po stokroć pozdrowiony!...

I od razu: prosimy, prosimy, gość w dom, Bóg w dom; wszyscy zapraszają, nieomal siłą ciągną go z tym jego proporcem do środka, na honorowe miejsce przy stole. Ach, mówię wam, oby i wasze oczy mogły ujrzeć tyle wszelkiego dobra, tego jadła i napoju, ile przed nim postawiono...

Weselnicy zaciekawili się, jeden drugiego pyta: „Kimże jest ten tajemniczy nieznajomy?...”. Siedzący z brzegu szturchają siedzących głębiej, tamci po kolei następnych, w końcu cały ten szmer dotarł do księdza, który siedział na miejscu honorowym, niedaleko od Nazara.

Wielebnemu udało się odcyfrować słowa widniejące na proporcu przybysza:

Waleczny Nazar jest bohaterem.

Raz gdy ugodzi – tysiąc umiera!

Czyta – i zadziwiony – powtarza te słowa siedzącemu koło niego człowiekowi, ten znów – swemu sąsiadowi, ten drugi – trzeciemu, trzeci – czwartemu. Dotarły one aż do końca sali weselnej, aż pod same drzwi i całe wesele zahuczało – któż by myślał, że ten nieznajomy przybysz – Waleczny Nazar jest bohaterem.

Raz gdy ugodzi – tysiąc umiera!

– Ach, prawda, przecież to Waleczny Nazar!... – woła największy samochwała. – Ależ się zmienił! Aż go z początku nie poznałem!...

I zaraz znaleźli się tacy, którzy zaczęli opowiadać o bohaterskich czynach Walecznego Nazara, o starej z nim znajomości i spędzonych wspólnie dniach.

– Ale jak to jest, że taki człowiek nie ma przy sobie jakiegoś pacholka? – zastanawiają się ci inni, którzy poznać bohatera nie mieli okazji.

– Taki ma już zwyczaj, nie lubi podróżować ze służbą. Raz go o to zapytałem, a on mówi: „Na co mi sługa, kiedy cały świat mi służy, do nóg mi pada?”.

³³ Zob. przypis 107 w rozdziale *Opowiadania*.

– Jest coś zniewalającego w tym, że tym kawałkiem zardzewiałego żelaza uderza i powala tysiące!... Zwykłym mieczem to nie sztuka, pierwszy lepszy śmiałek tak potrafi!...

I oszołomieni ludzie powstają, piją zdrowie Walecznego Nazara. Mężowie poważani za swą mądrość występują z przemowami na cześć bohatera. Mówią:

– Od dawna słyszeliśmy o twojej sławie, ale mogliśmy tylko marzyć o ujrzeniu na własne oczy twego oblicza i oto nastała ta szczęśliwa godzina, i oto jesteś wśród nas!...

Na to Nazar tylko jęknie i ręką machnie. Ale to nie zwiedzie ludzi bywałych – robią tajemnicze miny i mrugają do siebie: oni już tam wiedzą, ile treści i znaczenia kryją w sobie te jęki i machanie ręką.

Był tam wśród nich poważany przez wszystkich pieśniarz-aszugh, który od ręki pieśń ułożył i zaśpiewał:

Witaj!... Po stokroć bądź pozdrowiony!...

Ty, coś mężniejszy niż górskie orły,

Tyś laurów godzien jest i korony!

Śmiałku Nazarze!... Tyś bohaterem!...

Raz gdy ugodzisz, tysiąc umiera!...

O, nieszczęśników biednych podporo,

Których od bólów wszelkich wybawiasz –

I nas wyzwalamy wciąż ode złego.

Śmiałku Nazarze!... Tyś bohaterem!...

Raz gdy ugodzisz, tysiąc umiera!...

Oddamy życie za twe chorągwie,

Twój miecz i galop twego rumaka,

Za jego grzywę, kopyta, ogon!...

Śmiałku Nazarze!... Tyś bohaterem!...

Raz gdy ugodzisz, tysiąc umiera!...

I kiedy wreszcie rozeszli się podchmieleni goście, po całej okolicy z ust do ust powędrowała opowieść, kim jest ów przybysz:

Waleczny Nazar jest bohaterem.
Raz gdy ugodzi – tysiąc umiera!

I płyną opowieści o jego dokonaniach i zdumiewającym bohaterstwie, opisy jego budzącej grozę postury. I wszędzie naokoło nowo narodzonym nadają imię Nazar.

4

Oddalił się Nazar od domu weselnego i jedzie dalej. Jedzie, jedzie, dojechał na zieloną równinę. Na tej zielonej równinie puścił konia luzem – niech się popasie, wbił swój proporzec w ziemię, sam położył się w jego cieniu i zasnął.

I jak myślicie, co dalej?... Ano rzecz w tym, że żyło sobie tam siedmiu braci olbrzymów, siedmiu zbójców srogich, i ta cała okolica należała do nich właśnie, a zamek swój mieli nieopodal, na szczycie góry.

I te olbrzymy zerkają w dół, widzą: przybył jakiś człowiek, który się szarogęsi na ich włosciach. I dziwią się – coś to musi być za śmiałek o lwim sercu, musi mieć chyba wiele głów, jeśli bez zbędnych skrępułów przyjechał na ich włosci, spokojnie się tam rozłożył i puścił konia luzem na łąkę. A każdy z nich ma maczugę czterdziestofuntową. Biorą oni te czterdziestofuntowe maczugi i idą. Przychodzą – i coś widzą?... Wielki koń się pasie, nieopodal człowiek sobie leży i śpi w najlepsze, a nad głową ma zatknięty proporzec, a na nim taki oto napis:

Waleczny Nazar jest bohaterem.
Raz gdy ugodzi – tysiąc umiera!

„Oho-ho!... – myślą sobie. – A więc to jest właśnie Waleczny Nazar!...” Olbrzymy rozdziawiły gęby i stoją w miejscu jak wkopani. No bo niby cóżecie myśleli – pogłoski rozpuszczone przez podpitych weselników nie ominęły również i tych olbrzymów.

Stoją bracia przestraszeni aż w gardle im zaschło i doczekać się nie mogą, kiedy się ten Nazar obudzi. A Nazar w końcu się budzi, otwiera oczy, widzi nad sobą siódemkę strasznych olbrzymów z czterdziestofuntowymi

maczugami w rękach i dusza ucieka mu w pięty. Włazi pod swój sztandar i zaczyna drzeć jak jesienny liść na wietrze. A te olbrzymy widzą, jak zbłądł i zaczyna się cały trząść, i myślą sobie: „Rozgniewał się, zaraz tu nas wszystkich siedmiu zabije jednym ciosem”, więc padają przed nim na kolana i wołają:

Śmiałku Nazarze!... Tyś bohaterem!...

Raz gdy ugodzisz, tysiąc umiera!...

– ...Znamy two groźne imię i śniliśmy o spotkaniu z tobą... i oto spotyka nas to szczęście: stajesz przed nami we własnej osobie. A my, jak tu jesteśmy – siedmiu braci, twoi niegodni słudzy – prosimy: podnieś swój wzrok, ujrzysz górę, na jej szczycie jest nasz zamek, a w nim – nasza piękna siostra. Błagamy cię, okaż nam łaskę i racz spożyć z nami wieczerzę!...

Nazar, który dopiero teraz odważył się odetchnąć, wsiada na konia, oni zaś ruszają przodem, niosąc jego proporzec, i z wielką paradą prowadzą go do zamku. Zaprowadzili go do zamku, oddając mu królewskie honory, a tyle przy tym naopowiadali o jego bohaterskich czynach, że ich piękna siostra nie mogła się w nim nie zakochać. Czy można się dziwić, że jego sława i chwała rozniosła się jeszcze bardziej?...

5

Ale w owym czasie w tamtych stronach pojawił się tygrys i ludzie żyli pogrążeni w strachu. Kto zabije tygrysa, kto się go nie ulęknie?... Oczywiście, że Waleczny Nazar!... A czy ktoś inny odważyłby się pójść na tygrysa, podnieść na niego rękę?... Wszyscy się tylko na niego oglądają: Bóg na niebie, a na ziemi Waleczny Nazar...

Słyszając o tygrysie, Nazar rzuca się do ucieczki, chce pędzić do swojego domu, ale ludzie są pewni, że on tak biegnie, żeby jak najszybciej dopaść i zabić tygrysa. Narzeczona powstrzymuje go:

– Jak możesz pędzić tak lekkomyślnie, z gołymi rękami, przyjmij oręż i dopiero goń za nim!...

Przynosi broń i mu ją daje, by nowym bohaterskim czynem przysporzył sobie chwały. Nazar bierze broń i się oddala. Wchodzi do lasu, wdrapuje

się na drzewo i szuka takiego kącika, skąd ani tygrys go nie dojrzy, ani on tygrysa. Skurczył się na tym drzewie, dygocze ze strachu. A tu, jak na złość, ten podły tygrys akurat tamtędy przechodził i ułożył się do drzemki pod tym samym drzewem. Nazar ledwie go zobaczył, a od razu żołądek mu podszedł do gardła, w oczach pociemniało, ręce i nogi mu zdrętwiały; nagle – buch! – spada z drzewa prosto na bestię. Tygrys, przestraszony, zrywa się z miejsca, z kolei Nazar ze strachu wczepia się w jego grzbiet. I tak oto spłoszony tygrys z przerażonym Nazarem przyklejonym do jego grzbietu ucieka, gdzie pieprz rośnie, po górach i dolinach, po największych wertepach, nie zważając na nic.

A wszyscy ludzie patrzą i widzą tylko jedno: Oho, ho! Waleczny Nazar dosiadł tygrysa i jedzie na nim jak na koniu!

– Chodźcie no, ludziska, i patrzcie: Waleczny Nazar zrobił sobie konia z tygrysa!... Oj, dostanie zaraz ten tygrys, na co zasłużył!...

I w końcu sami, nabierając coraz większej śmiałości, osaczają tygrysa, z wrzawą i szyderczym śmiechem walą w niego czym popadnie: kindzálami, mieczami, kijami, kamieniami – zatłukli go na śmierć.

Nazar, jak tylko trochę doszedł do siebie, powoli odzyskuje mowę:

– Szkoda – powiada – żeście go zabili, z takim trudem znalazłem sobie odpowiedniego wierzchowca. Świetnie by się na nim jeździło, oj, świetnie!...

Wiść dotarła i do zamku. Mężczyźni i kobiety, starsi i dzieci, wszyscy ludzie powychodzili z domów, by powitać Nazara. Na jego cześć śpiewają już pieśni:

Nikt nie odnajdzie
Na świecie całym
Równego tobie,
Nazarze Śmiały!...

Jak grom i ogień,
Z wysokiej skały
Spadłeś jak sokół,
Nazarze Śmiały!...

Tygrys pod tobą
Jak konik mały,
Pomknąłeś na nim,
Nazarze Śmiały!...

Nas czyny twoje
Uratowały,
Wieczna ci chwała,
Nazarze Śmiały!...

I wydali za Walecznego Nazara piękną siostrę olbrzymów. Siedem dni i siedem nocy trwało wesele, wystawiano w pieśniach króla i królową:

Księżyc nad górami w nowiu,
Lecz do kogoś jest podobny...

To nie księżyc stanął w nowiu,
Tylko nasz Waleczny Nazar!...

Słońko góry rozświetliło,
Lecz do kogoś jest podobne...

To nie słońko zaświeciło,
Tylko nasz Waleczny Nazar!...

To on, nasz król, ma tyle wdzięku –
Słoneczko! – ileż on ma wdzięku!
Na tronie – ileż on ma wdzięku!
W koronie – ileż on ma wdzięku!
W szkarłacie – ileż on ma wdzięku!
W piernacie – ileż on ma wdzięku!
A ileż wdzięku ma królowa!...
Słoneczko!... Światło jego oczu!...
Ach, ile wdzięku, ile wdzięku!...

Bądź pozdrowiony! Bądź pozdrowiony!
Śmiałku Nazarze, bądź pozdrowiony!
Jego wybranko, bądź pozdrowiona!
Nasz świecie cały – bądź pozdrowiony!

6

A trzeba wam wiedzieć, że do tej dziewczyny posyłał już swatów król sąsiedniej krainy. Kiedy się dowiedział, że jemu odmówiono, a z innym wzięła ślub, zebrał wojska i wyruszył na wojnę z siedmioma braćmi.

A ci bracia pospieszyli do Nazara: mówią mu o wojnie, padają przed nim na twarz, gotowi podjąć walkę, czekają na jego rozkazy.

Ale Nazar na sam dźwięk słowa „wojna” przeląkł się nie na żarty; wylatuje biegiem z zamku, planując ucieczkę do swojej wioski. A ludzie pomyśleli od razu, że tak się spieszy, by niespodzianie rzucić się na wroga i jego hufce. Zachodzą mu więc drogę, zatrzymują, znów proszą, aby bez broni nigdzie nie wyruszał – albo to życie mu niemile?...

Przynoszą mu miecz i tarczę, a żona prosi swych siedmiu braci, by nie dopuścili do tego, ażeby Nazar, powodowany swą walecznością, sam, w pojedynkę, atakował wojska przeciwnika. I oto nowa wieść rozniosła się w szeregach wojsk i pośród ludu, potem zaś za pośrednictwem zwiadowców dotarła również do wrogiego obozu, że mianowicie Waleczny Nazar sam jeden, z gołymi rękami pomknął na pole walki, z ledwością zdołano go powstrzymać, aby najpierw zebrać wojska...

Na pole bitwy sprowadzają dzielnego rumaka i wsadzają na niego Walecznego Nazara. Całe wojsko, patrząc na niego z podziwem, podnosi straszliwą wrzawę:

– Niech nam żyje Waleczny Nazar!... Śmierć wrogowi!...

Ognisty rumak, na którego posadzono Nazara, czując, że ma na sobie byle jakiego jeźdźcę, zniecierpliwił się, zarżał, zadarł głowę i popędził naprzód, ile tylko siły – prosto na pierwszą linię wrogich wojsk. „Waleczny Nazar ruszył do boju!” – mówią do siebie wojownicy. Krzycząc „hurra!”, sami śpieszą do ataku i uderzają z wielką siłą.

A Nazar, widząc, że nie jest w stanie zapanować nad koniem i utrzymać się na jego grzbiecie, postanowił złapać się jakiegoś drzewa, chwycił za konar gruby jak belka stropowa, ale drzewo było spróchniałe i cały konar

został mu w rękach. Wojownicy wroga, którzy już zdążyli nasłuchać się o nim niejednego i mieli lęk w sercach, gdy to z dala ujrzeni, poczułi, że lęk ich się rozrasta i sięga aż do żołądka. Zawracają. Bo i jak tu nie uciekać – jeśli komuś życie miłe, jeszcze może się ratować, póki nie nadszedł Waleczny Nazar z wyrwanymi drzewami w rękę!...

Tego dnia poginęły wrogów całe krocie, oj, krocie, pozostali rzucili swe miecze pod nogi Walecznego Nazara, ofiarowując mu swoje posłuszeństwo i wierność.

I oto wraca z pobojowiska Waleczny Nazar do zamku braci olbrzymów. Lud mu stawia łuki tryumfalne, nadzwyczaj uroczyście i z nieopisanym entuzjazmem, z pozdrowieniami i owacjami, muzyką i śpiewem, z niezliczonymi pięknymi dziewczętami i kwiatami, występują dostojni mężowie z wiernopoddańczymi przemowami, słowem: tyle czci i chwały, że Waleczny Nazar aż zamarł, osłupiał i zaniemówił.

Z wielkimi honorami i dostojenstwem koronują go na swego króla i sadzają na tronie. Waleczny Nazar zostaje królem, a każdy spośród siedmiu olbrzymów staje się jego dostojnikiem. I tak niespodziewanie wszystkich ma w garści.

Powiadają, że Waleczny Nazar aż po dziś dzień żyje i króluje. I kiedy ktoś zaczyna rozprawiać o męstwie, mądrości, geniuszu – śmieje się tylko i mówi:

– I cóż znaczy całe to wasze męstwo, mądrość i geniusz?... To tylko puste słowa i nic więcej. Chodzi tylko o to, żeby mieć szczęście. Jak ci się poszczęściło, to baw się i korzystaj z życia!...

I powiadają, że Waleczny Nazar aż po dziś dzień bawi się i korzysta z życia. I śmieje się z nas wszystkich.

1912

thum. Jerzy Szokalski

Indeks wyrazów obcych i imion własnych

Numer bez liter wskazuje numer przypisu w *Opowiadaniach* Howannesa Tumaniana. Numer z literami wskazuje numer przypisu w *Baśniach*, przy czym „tor” to przypis A. Tadeosjana, tłumacza ormiańsko-rosyjskiego (AP).

Abbasydzi – B28AP

Abraham – 33

achmach – B15AP

aga – 13

agha – 13

Aghanik – 104

aghwes – B1AP

Ahmad – 49, 51

Akop – 29

ala basz – 63

alabaj – 63

Allāh – B31AP

Andreas – 95

Andrias – 95

Antelias – 46

api – 26

arka – 130

arkalik – 130

arkałyk – 130

Armenia – 6, 14, 40, 43, 44, 46, 110,
128, 131, B18AP

Arut – 92

Asli – 78

Astwac – 89

Astwacatur – 89

aszug – B7AP

aszugh – B7AP

Awo – 104

Azerbejdżan – 56

Azerbejdżanie – 56

Azerowie – 56

Azrael – 102

âvar – 58

âvordan – 58

'aḥmaq – B15AP

ʿāšiq – B7AP

baba – B30tor

Bagdad – B28AP

baghardż – B11AP

bala-dżan – 54

Barekendan – B20tor

barekentan – B20tor

bari – B20tor

baron – 17, 114

baszłyk – 65

Basz-Szoragial – 110

bazaz – 8

bazzāz – 8

bidza – 39, 68, 91, 115

buchari – 10

- buchārī – 10
Caghik – 22
carra – 53, B17AP
Caturanc – 89
ceruni – 117
Chaczaturian – 87
chalīfa – B28AP
chanum – 13
chardż – 21
chazein – 19
choziain – 19
chyszt – 80
Ciran – 100, 101, 103
cit – B3AP
consistere – 82
cucha – 34
cybuch – 5
Cylicja – 46
Czachczach – B10tor
czibuch – 5
czoban – 61, 106
czubuk – 5
czucha – 34
czynczyghuk – B3AP
czyrr – 93
çubuk – 5
dam-kasz – 108
dam-kaš – 108
Danel – 87
davul – 109
davulcu – 109
Dawo – 41
dawuǵǵu – 109
derwisz – B29tor
derwisz-baba – B30tor
diadia, дядя – 95
diwān – 83
diwanapah – 83
dmak – 99
dyhol – 111
dyhol-czi – 109
Dysegh – 131
Dzoraget – 128
Dżalal-oghlu – 128
dżan – 51, 54, 103, 123, B6AP
Dżawachetia – 6
Eczmiadzyn – 45, 46
Eliezer – 113
Erywań – 42, 46
Gabo – 38
gaz – B22AP
Ghazar – 77
ghonagh – 4
Ghukas – 20
Ghusz – 121, 125
Gikol – 3, 27
Gikor – 1, 11, 18, 19, 23, 27
Gili tala – 105
Grigor – 1
Gruzini – 129
Gruzja – 6, 129
Hakop – 29
Hambarcum – 2
Hambo – 2, 6, 24
haracz – 21
haram – B19AP
harç – 21
hars – 75
Harun ar-Rasid – B28AP
Harutian – 92
hawar – 58
hekâyat – 119

- hekijāt – 119
hikāye – 119
Howakim – 76
Howannes – 37, 68, 117, 127
Howsep – 69, 76
Hrasz – B16AP
Huri – 120, B24AP
huryśa – 120, B24AP
ḥarām – B19AP
ḥikāya(t) – 119
ḥūriyya – 120
igit – 57
Izaak – 115
Jeghiazar – 113
Jegho – 113
jjit – 57
Kaczal – 126
kahana – 85
kalif – B28AP
Kapycz-oghły – 59
Kapydzy-oghłu(-oghły) – 59
karas – 118
Kars – 67, 110
katolikos – 46, 47, 48
Kaukaz – 56
kawor – B13AP
kayf – B27AP
kef – B27AP
kejf, кейф – B27AP
kendani – B20AP
kentani – B20AP
kerri – 81, 95
Kiaram – 78
kinto – 15
kiriv – 66
kirwa – 66
kohen – 85
koloz – 65
konak – 4
konsistor – 82
konsistorija, консистория – 82
Kosak – 126
kriw – 66
Kur – 124
Kura – 9
kurdiuk – 99
Kurdowie – 56, 60
kusz – 121
kuş – 121
kuyruk – 99
lawasz – B4AP, B5AP
leheb – 90
Liban – 46
lidr – B26tor
liḥāf – 90
Lis u Mut aszchar – 122
lis – B1AP
Lori – 40, 94
Lot – 33
loti – 33
lujs – 122
macun – 12
Mahomet – 49
manet – B18AP
Marusz – 30
mastak – B25tor
matagh – 50
Matewos – 88
Matnanc – 87
Matosanc – 88
mâr – B14AP
Meleto – 44

- Muhammad – 49
Musz – 44
Mut-dzor – 55
nan – 25, 52
nani – 52, 97, B6AP
Nazar – 132
nazẓār – 132
Neso – 91, 123
oda – 112
odaliska – 112
Ormianie – 43, 48, 56, 71, 73, 74,
89, 110, 129, B32AP
Osep – 69
Osetyjczycy – 56
Owakim – 76
Owsep – 76
pah – 83
pahel – 83
pari – 120
paron – 17, 114
Pasztuni – 56
patriarcha – 46, 47, 48
pecz – 11
pelou – B23AP
peri – 120
Persowie – 56
piecz – 11
pilaw – B23AP
pocz – 99
poczat – B1AP
polou – B23AP
pristaw – 14
pud – B21AP
Rosja – 14, 67, 82, 110, B18AP
Rosjanie – 129
Sahak – 115, 117
Sandro – 32, 36
Sargis – 96
Sarkis – 96
sarwor – 64
Sasun – 44
sâz – 79, B8AP
sažen (sażeń) – 116
Sebastia – 73
Simon – 28, 31, 32, 36, 98
Sivas – 73
Siwas – 73
smáragdōs – 121
Stepan – 89
Stepanawan – 128
sułtan – B9AP, B10AP
surma – 107
Szah-Mar – B14AP
szasz-Simon – 28
szmaragd – 121
Tadźycy – 56
tagawor – B9AP
takawor – 124, B9AP
tal – 89
tan – 35
tanur – B4AP
tanuter – 35
tat – 52
tavlaçı – 7
tawlaczi – 7
tawlaczy – 7
Tbilisi – 6, 129
ter – 35, 46, B17AP
ti-kin – 16, 17
tonir – B4AP
tun – 35

-
- | | |
|----------------------------------|-----------------|
| tur – 89 | usta – 31, 70 |
| Turcja – 43, 44, 48, 67, 73, 110 | Wan – 44 |
| Turcy – 56 | Wanadzor – 131 |
| Turk – 56 | warżapet – 117 |
| tuti – 125 | yiğit – 57 |
| Tyflis – 6, 9, 129 | Zadurowicz – 89 |
| tygha – 98 | zornâ – 107 |
| tabla – 7 | zurna – 107 |
| Uhanes – 68, 72 | zymrucht – 121 |

Spis treści

Wstęp.	5
Opowiadania.	9
Gikor (<i>S.U.</i>).	11
Honor biedaka (<i>S.U.</i>).	31
Jak dziadek Gabo jedwabniki hodował (<i>S.U.</i>).	39
Dwaj ojcowie (<i>S.U.</i>).	41
Ahmad (<i>S.U.</i>).	45
Zakład (<i>S.U.</i>).	49
O tym, jak w naszych górach pojawiła się droga żelazna (<i>S.U.</i>).	55
Jeleń (<i>S.U.</i>).	61
Wujaszek Checzan (<i>S.U.</i>).	69
Łaźnia kamienna (<i>S.U.</i>).	73
Świerszcz (<i>S.U.</i>).	77
Wilk (<i>S.U.</i>).	83
Mój kolega Neso (<i>S.U.</i>).	105
Baśnie.	111
Lisica bez ogona (<i>S.U.</i>).	113
Koziołek (<i>S.U.</i>).	117
Wróbel (<i>S.U.</i>).	121
Niesforny topór (<i>S.U.</i>).	125
Łgarz (<i>S.U.</i>).	127
Sułtan Czachczach (<i>S.U.</i>).	129
Mówiąca ryba (<i>S.U.</i>).	137
Dzban złota (<i>S.U.</i>).	143
Gospodarz i parobek (<i>S.U.</i>).	145
Niepokonany kogut (<i>S.U.</i>).	151

Barekendan (<i>S.U.</i>)	153
Myśliwy – łgarz (<i>S.U.</i>)	157
Leniwa Huri (<i>S.U.</i>)	161
Kto biednemu zabroni radośnie spędzać czas? (<i>S.U.</i>)	165
Śmierć Kikosa (<i>J.S.</i>)	173
Głupiec szuka szczęścia (<i>J.S.</i>)	177
Pechowy Panos (<i>J.S.</i>)	181
Waleczny Nazar (<i>J.S.</i>)	185
Indeks wyrazów obcych i imion własnych	197

Publikacje książkowe Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego

1. Anna Danilewicz, *Ormianie z prawego brzegu Czeremoszu*, 1994 (nakład wyczerpany)
2. Jacek Chrzęszczewski, *Ormiańskie świątynie na Podolu*, 1998
3. Edward Tryjarski, *Ormianie w Warszawie. Materiały do dziejów*, 2001
4. Ks. Tadeusz Zaleski, *Słownik biograficzny duchownych ormiańskich w Polsce*, 2001
5. *Pomniki minionej chwały. Ormiański Lwów w opisie Krzysztofa Stopki i w fotografii Andrzeja Plachetki*, 2002
6. Anna Danilewicz, *Z rumuńskiej Bukowiny na Dolny Śląsk. Krótka opowieść z długiego życia*, 2004
7. Malachiasz Ormanian, *Kościół ormiański. Historia, doktryna, zarząd, reguły kanoniczne, liturgia, literatura, stan współczesny*, z języka francuskiego przełożył i komentarzem opatrzył Krzysztof Stopka, 2004
8. Jacek Chrzęszczewski, *Ormianie polscy i ich chaczkar w Krakowie*, 2007 (tekst w językach: polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim, ormiańskim)
9. Erna Kierkorowicz, *Polscy potomkowie rodzin ormiańskich*, 2009
10. Edward Tryjarski, *Zapisy sądu duchownego Ormian miasta Lwowa za lata 1625-1630 w języku ormiańsko-kipczackim*, 2010
11. Grzegorz Pełczyński, *Restauracja „Kresowa”*, 2011
12. Andrzej Bohosiewicz, *Ormiańska rodzina Bohosiewiczów*, 2011
13. Renata Król-Mazur, *Działalność polityczna arcybiskupa Józefa Teofila Teodorowicza w latach 1888-1923*, 2013
14. Chaczatur Abowian, *Rany Armenii*, 2018
15. Hagop Baronian, *Wielce szanowni wydrwigrosze oraz inne utwory*, 2022
16. Muracan (Grigor Ter-Howannisjan), *Geworg Marzpetuni*, 2023
17. Wahan Totowenc, *Życie przy starodawnym rzymskim trakcie i inne opowiadania*, 2024



Howannes Tumanian (1869-1923), klasyk nowej literatury wschodnioormiańskiej, był synem wiejskiego duchownego ormiańskiego. Urodził się we wsi Dysegh leżącej w północnej Armenii w pobliżu dzisiejszej granicy z Gruzją. Z jego inicjatywy w 1899 r. powstała w Tyflisie grupa literacka Wernatun (Górne Piętro), skupiająca wielu znanych ormiańskich pisarzy. W latach 1912-1921 był przewodniczącym Kaukaskiego Towarzystwa Pisarzy Armenii.

Tumanian był pisarzem bardzo wszechstronnym: zarówno utalentowanym poetą (pisał wiersze, poematy [*Dawid z Sasunu*], ballady [*Parwana*] i rymowane felietony), jak i prozaikiem – spod jego pióra wyszły opowiadania (*Gikor*) i baśnie (*Waleczny Nazar*), często zabarwione stylem ludowym.

O popularności i ważnej pozycji tego twórcy w historii literatury ormiańskiej świadczy powszechna znajomość jego dzieł w Armenii. Na podstawie treści jego poematu *Anusz* kompozytor Armen Tigranian napisał operę pod tym samym tytułem. Inny kompozytor ormiański, Aleksander Spendiarian, jest twórcą opery *Almast* (*Diament*), czerpiącej inspirację z poematu Tumaniana *Zdobycie twierdzy Tmuk*.

W niniejszym zbiorze polskich przekładów utworów Howannesa Tumaniana znalazły się tłumaczenia Jerzego Szokalskiego z ormiańskich oryginałów oraz Stanisława Ułaszka z języka rosyjskiego.